

Nr 2 (279). Rok XXV. LUTY 2019 r.

www.slaskgtl.pl

WYDAWCA
GÓRNOŚLĄSKIE TOWARZYSTWO LITERACKIE
W KATOWICACH

WSPÓŁWYDAWCA

TADEUSZ SIERNY
Redaktor naczelnyANDRZEJ JARCZEWSKI
Zastępca naczelnego redaktoraMARIAN KISIEL
Zastępca naczelnego redaktora

TOMASZ BIENEK Sekretarz redakcji

MARIA KORUSIEWICZ
Kultura, literatura, sztuka

LAURA RYNDAK Korekta

Stali współpracownicy:
EWA BARTOS,
MAGDALENA DZIADEK,
RYSZARD JASNORZEWSKI,
PAWEŁ MAJERSKI,
PIOTR GRELLA-MOŻEJKO,
WIESŁAWA KONOPELSKA,
JAN MIODEK,
KATARZYNA NIESPOREK,
JERZY PASZEK,
HENRYK SZCZEPAŃSKI,
JOANNA WAROŃSKAADRES REDAKCJI:
40-036 Katowice, ul. J. Ligonia 7
e-mail: redakcjasklask@onet.plDTP: Tomasz Kowalski
e-mail: tomekk1959@tlen.plDruk: Zakład Poligraficzny Moś i Łuczak Sp.j.
ul. Piwna 1, 61-065 Poznań tel. 61 633 71 65Materiałów nie zamówionych nie zwracamy.
Redakcja zastrzega sobie prawo skrótów, poprawek
i zmian tytułów w tekstach przyjętych do druku oraz
skracanie korespondencji.Wydawca nie przewiduje honorariów
za publikowane materiały prasowe.

Warunki prenumeraty: poprzez Oddziały i Delegatury „RUCHU” – na terenie całego kraju. Bezpośrednio – w Wydawnictwie Naukowym „Śląsk” 40-036 Katowice, ul. Ligonia 7, p. 120. Wpłaty należy dokonywać na konto: GTL – redakcja miesięcznika „Śląsk” BGŻ BNP Paribas o/Katowice 08 2030 0045 1110 0000 0407 9490

Prenumerata roczna – 84 zł, półroczna – 42 zł, kwartalna – 21 zł. Pismo w prenumeracie jest dostarczane pod wskazany adres bez dodatkowych opłat.

Prenumerata zagraniczna: poprzez Dział RUCH SA Infolinia 0800 120 029. Tel. +48 022 532-87-31 www.ruch.com.pl

Cena egzemplarza – 7 zł (w tym 5% VAT)
ISSN: 1425-3917 Nr indeksu: 33328XEgzemplarze archiwalne można zamówić pod adresem:
handel@slaskwn.com.pl; tel. 32 258-07-56

Czasopismo „Śląsk. Miesięcznik społeczno-kulturalny” jest dostępne w wersji elektronicznej w ŚLĄSKIEJ BIBLIOTECE CYFROWEJ

W NUMERZE

PUBLICYSTYKA

- 2 *Tadeusz Sierny* OD REDAKTORA
4 INTENSYWNY ROK ZESPOŁU PIEŚNI I TAŃCA „ŚLĄSK”
6 *Andrzej Jarczewski* MARZEC 1968 W GLIWICACH
10 *Marian Gerlich* WOJNA KARNAWAŁU Z POSTEM
16 *Marian Kisiel* FUGA NA TRZY WIERSZE I ŻART
20 *Jan Cofalka* JAN GOCZOŁ – POETA ŚLĄSKIEGO DOMU
23 *Tadeusz Sierny* JÓZEF GÓRDZIAŁEK (26 WRZEŚNIA 1928 – 27 STYCZNIA 2019)
24 *Henryk Szczepański* KARNAWAŁ W DAWNYCH KATOWICACH
38 *Bożena Witosz* MISTRZ. O PROFESORZE ALEKSANDRZE WILKONIU
40 *Marian Kisiel* HUMANIŚCI NA ŚLĄSKU: MIŁOSZ PIOTROWIAK
50 ŚLĄSKIE TAJEMNICE *Julia Montewska* PAŁAC W MAŃCZYCACH: PIĘKNO ZAKŁĘTE W BAROKU
52 HISTORIE PACHNĄCE BETONEM *Dariusz Pietrucha* KOŁOS U WRÓT DĄBRÓWKI WIELKIEJ
56 *Marek Skwara* WYZWALANIE ŚWIĘTOŚCI MIEJSCA
58 PO-GWARKI PROFESORA *Jerzy Paszek* PROFESOROWIE PISZĄ ARCYDZIEŁA?
68 *Urszula Kozakowska-Zauch*A NAJPIĘKNIEJSZY KRAJ
74 *Joanna Warońska* DUSZNO, CORAZ DUSZNIEJ...
75 *Wiesława Konopelska* IV MIĘDZYKRAJOWY KONKURS WOKALISTYKI OPEROWEJ
77 BIAŁE KRUKI *Jan Malicki* LISTY GUSTAWA MORCINKA
80 *Lech Korusiewicz* CODZIENNA UWAŻNOŚĆ CIAŁA

PLASTYKA, MALARSTWO, FOTOGRAFIA

- 29 *Pierre Sobotta* O SZTUCE I NIESZTUCE
69 GALERIA: KRESY W MALARSTWIE POLSKIM ZE ZBIORÓW MUZEUM NARODOWEGO W KRAKOWIE
76 *Krzysztof Gałuszka* FERMATA CHEBZIE
88 *Joanna Styrylska-Gałażyn* MANIFEST

POEZJA I PROZA

- 3 WIERSZ NA OTWARCIE *Walter Whitman* PIOSENKA W PORZE BZÓW
14 *Walter Whitman* WIERSZE
19 *Jakub Strumień* WIERSZE
44 *Jacek Durski* OKNO. PIERWSZA CZĘŚĆ CYKLU (FRAGMENT)
48 *Walter Whitman* WIERSZE

FELIETONY

- 35 MIĘDZY NUTAMI. *Magdalena Dziadek* GENIUSZ I UP(I)ÓR
36 ŚLĄSKA OJCZYZNA POLSzczyzna. *Jan Miodek* WYZGIERNIE BŁYSKOŁ
37 Z NOTATEK O KONRADZIE S. *Ryszard Jasnorzewski* GIMNAZJUM I KILKA TEATRÓW
43 *Marian Gerlich* PO CO TA (KA) MOWA?
73 JĘZYK W STRUNACH *Piotr Grella-Możejko* MUZYKA WEDŁUG JERZEGO

KSIĄŻKI

- 60 *Urszula M. Benka* NIE ŚPIESZ SIĘ. NIE MA DO CZEGO. NIKT CIĘ NIE GONI
62 *Aleksandra Charyga* DOJRZAŁY TOM DOJRZAŁEGO POETY
63 *Ryszard Jasnorzewski* PODRÓŻ DO SIEBIE I TROCHĘ DALEJ
64 *Andrzej Juchniewicz* POWIERNICE SEKRETÓW, AKUSZKERKI NOWEGO ŁADU
65 *Agnieszka Lenart* W POSZUKIWANIU NOWYCH ZNACZEN
66 *Marian Kisiel* W HOŁDZIE MIASTU
67 KSIĄŻKI NADEŚLANE

NOTATNIK KULTURALNY

82 CZĘSTOCHOWA, KATOWICE

Na okładce: Joanna Styrylska-Gałażyn, Parabola 2, olej

WEWNĄTRZ NUMERU TAKŻE:

Marta Domagała, Bogna Skwara

Od Redaktora!

Czy sobie nawzajem ufamy? Jak odnosimy się do naszych sąsiadów, nieznajomych, urzędników? Jak oceniamy nasze środowisko, miejsce zamieszkania?

W blisko 14 tysiącach gospodarstw domowych ankieterzy GUS w pierwszej połowie 2018 roku, zapytali 13 tysięcy osób w wieku 16 i więcej lat o ich poziom zaufania do innych obywateli naszego kraju. To badanie było jednym z wielu cyklicznie realizowanych w ramach rozpoznawania poziomu tzw. **spójności społecznej**. Zaprezentowano tam także dane dotyczące województwa śląskiego na tle innych regionów Polski.

W 2018 roku *relatywnego ubóstwa dochodowego* w naszym województwie doświadczało 10% gospodarstw domowych (w kraju 13%, w 2018 granica ubóstwa dla gospodarstwa jednoosobowego: 1 280 zł), relatywnie *wysokie dochody pozyskiwało* 16% gospodarstw domowych (w całej Polsce 15%, w 2018 granica wysokich dochodów dla gospodarstwa jednoosobowego wynosiła: 3 556 zł).

W województwie odnotowano w 2018 roku najwyższe, subiektywne *wskaźniki zadowolenia z własnej sytuacji finansowej*, 46% mieszkańców deklaroowało zadowolenie z własnej sytuacji finansowej (wskaźnik zadowolenia dla Polski wynosi 42% mieszkańców Polski, tj. o 5% więcej niż w analogicznym badaniu w 2015 roku).

Od tego wyżej wymienionego wskaźnika należy odróżnić *wskaźnik ubóstwa warunków życia*, i *wskaźnik dobrych warunków życia* na który składa się aż 30 różnych symptomów dotyczących m.in. jakości mieszkania, poziomu jego wyposażenia, braku lub skali możliwości zaspokojenia potrzeb materialnych i niematerialnych ze względów finansowych i in.

W województwie śląskim wskaźnik dobrych warunków życia odnotowano w 21% gospodarstw domowych (Polska: 27%), a ubóstwo warunków życia odnotowano w 6% gospodarstw domowych (Polska: 5%).

Na poważne problemy z hałasem wskazywali mieszkańcy naszego województwa w 15% gospodarstw domowych (w całej Polsce 10%), na złą jakość powietrza narzeka w wojewódz-

twie śląskim aż 35% gospodarstw domowych zimą i 9% latem (15% w kraju zimą, latem 6%), 71% mieszkańców województwa dobrze ocenia stan terenów zielonych w miejscu zamieszkania (w Polsce pozytywnie stan tych areałów waloryzuje 79% mieszkańców).

Wskaźnik poczucia bezpieczeństwa w miejscu zamieszkania (obywatele czują się bezpiecznie lub raczej bezpiecznie chodząc samotnie w swojej okolicy po zmroku, w obrębie 15 minutowego spaceru od miejsca zamieszkania) w naszym województwie deklaruje 84% mieszkańców, w tym bardzo bezpiecznie zaledwie 14% (Polska 89%), co sytuuje nasze społeczeństwo niestety w „dole tabeli”.

W pierwszej połowie 2018 roku ogólne zaufanie do innych osób deklaroowało w Polsce 89% naszych mieszkańców, mieszkańcy województwa śląskiego gotowi byli zaufać 76% współobywateli; osobom nieznanym okaże zaufanie na Śląsku zaledwie 27% mieszkańców (34% w Polsce).

Władzom lokalnym ufała ponad połowa mieszkańców Polski (56%) i tyleż samo z naszego województwa, policji w Polsce ufa 72% Polaków, ale w naszym województwie 67% mieszkańców.

Zaufanie do Kościoła Rzymskokatolickiego deklaruje 67% osób w skali kraju, w województwie śląskim 58%.

W 2018 roku 81% mieszkańców Polski określiło się jako wierzące lub głęboko wierzące, niewierzących rodaków w naszym kraju jest 3%. W województwie śląskim jako głęboko wierzących deklaruje się 11% rodaków; wierzących 66%; poszukujących 13%; obojętnych 7%; niewierzących 3%.

W pierwszej połowie 2018 roku subiektywne zadowolenie (satisfakcję) z własnego życia deklaroowało 83% mieszkańców Polski (o 5% więcej niż w 2015 roku), w naszym województwie 84% mieszkańców tego regionu.

Wszystkie te dane można i trzeba różnicować analizując ich wartości w odniesieniu do środowisk miejskich i wiejskich, różnego poziomu wykształcenia naszych współobywateli, wieku, rodzaju wykonywanych prac i ról społecznych oraz

wielu innych okoliczności. Lecz te dane ogólne, uśrednione nie mogą być przez nas ignorowane wówczas, gdy spieramy się w gronie rodzinnym, lub z naszymi politykami, publicystami o teraźniejszość i przyszłość naszego społeczeństwa.

Na co dzień atakowani jesteśmy dziesiątkami, setkami a bywa, że i tysiącami perswazyjnie skomponowanych informacji, udostępniają nam je elektroniczne środki przekazu, w tym przede wszystkim telewizja i Internet oraz umieszczone tam narzędzia (Wikipedia i in).

Codziennie emocjonalnie spieramy się o dawkowane nam pojedyncze informacje, nie zwracając częstokroć uwagi, że nie sumują się one w coś co nazywamy wiedzą, że tworzą tylko swobodną encyklopedię incydentalną, chwilowej codzienności, o której – za chwilę, po upływie jednego dnia, za tydzień, miesiąc, rok – całkowicie zapomnimy, nawet wówczas gdy oddziaływały na nas z całą swą perswazyjną, propagandową mocą. Sięgnijmy lub przypomnijmy nam dane z tej „encyklopedii” specjaliści od marketingu politycznego lub inni kreatorzy świata wirtualnego gdy tylko uznają, że jest im to potrzebne i będzie efektywne w procedurach zmierzających do wywołania kolejnych, naszych – pozytywnych lub negatywnych – emocji, których skutkiem będą także tylko nasze, pożądane zachowania np. polityczne, finansowe, kulturalne itp.

Dlatego nie powinny nas dziwić wyniki innych badań nad „konsumpcją” informacji w naszym społeczeństwie, wg których utrzymuje się ogólny trend odchodzenia od czytelnictwa prasy i książek na rzecz Internetu i telewizji, ale w grupach czytelników wyżej wykształconych i lepiej sytuowanych systematycznie wzrasta poczytność prasy specjalistycznej, kulturalnej oraz tzw. „słuchalność” wybranych stacji radiowych. Czyżby kolejny trend w ramach zmiany kulturowej?

Nawet ta najbardziej nastrajająca nas emocjonalnie informacja nie jest równoważna wiedzy, a od wiedzy do mądrości wiedzie długa, najeżona wieloma edukacyjnymi zatorami droga, często niestety – wielopokoleniowa.

PIOSENKA W PORZE BZÓW

Rozśpiewaj mnie radością w porze bzów (co wraca wspomnieniem),
Nastrój mi usta i język na nutę Natury, na pamiątki najwcześniejszego lata,
Zbierz mile widziane oznaki (jak dzieci z kamykami, czy nizające muszelki),
A także kwiecień i maj, żaby rechoczące w stawach, elastyczne powietrze,
Pszczoły, motyle, wróbla z prościutką piosenką,
Droзда i szybującą jaskółkę, i błyskającego złocistoskrzydłego dzięcioła,
Lekką słoneczną mgiełkę, lepki dym, parę,
Połykujące wody z rybami i błękit wysoko,
Wszystko, co się skrzy i weseli, płynące strumienie,
Klonowe lasy, skrzypiące dni w lutym, produkcję cukru,
Skaczącego bystrookiego rudzika o czerwonej piersi,
Nucącego czystą melodię o wschodzie, a potem o zachodzie słońca,
Albo śmigającego między drzewami jabłoniowego sadu, budującego gniazdko dla samiczki,
Marcową odwilż, wierzbę wypuszczającą żółto-zielone pędy,
Bo właśnie nadeszła wiosna! bo mamy lato! a co się pod tymi nazwami kryje?
Ty – duszo skrepowana – i tęsknota za czymś niewiadomym;
Dalej, nie zwłóczmy już dłużej! powstańmy, ruszajmy w drogę!
Gdyby tak można polecieć jak ptak!
Gdyby tak uciec, popłynąć statkiem przed siebie!
Szybować z tobą, duszo, nad wszystkim, we wszystkim, jak statek nad wodami;
Zbierać te zwiastuny, preludia, niebieskie niebo, trawę, krople porannej rosy,
Zapach bzu, krzewy z ciemnozielonymi liśćmi w kształcie serca,
Leśne fiołki, delikatne, blade kwiatuszki zwane niewinnością,
Rodzaje i próbki nie dla nich samych, ale dla ich aury,
By uhonorować krzew, który kocham – by śpiewać z ptakami
Piosenkę radości w porze bzów, co wraca wspomnieniem.



Walter „Walt” Whitman (1819–1892) – jeden z najwybitniejszych poetów amerykańskich, prekursor XX-wiecznej poezji amerykańskiej, m.in. Beat Generation. Jego dzieło wywarło również wpływ na rozwój filozofii amerykańskiej, przede wszystkim transcendentalizmu i pragmatyzmu. Jest autorem opowiadań i powieści, ale jego najbardziej znanym dziełem pozostaje tom poetycki *Żółta trawa* (ang. *Leaves of Grass*, 1855) fascynujący swoją siłą wyrazu i rozległością poetyckiej wizji, widziany jako pierwszy głos wyrastający już nie z brytyjskiej, czy europejskiej gleby, lecz z doświadczeń Nowego Świata.

Intensywny rok Zespołu Pieśni i Tańca „Śląsk”, czyli co słyszeć w Koszęcinie

Zespół Pieśni i Tańca „Śląsk” nie zapadł w zimowy sen, chociaż przykryty śnieżną pierzyną zespół pałacowo-parkowy w Koszęcinie wygląda na wyciszone domostwo. Siedziba Zespołu tętni artystycznym życiem, koncepcyjna praca wre, a instytucja przygotowuje się do intensywnego roku działalności. Przed Zespołem kilkanaście miesięcy bogatych w przedsięwzięcia związane z obchodami Roku Stanisława Hadyny, jubileuszem 200-lecia urodzin Stanisława Moniuszki i świętowaniem 100-lecia Powstań Śląskich. Wciąż także w kalendarzu wiele koncertów nawiązujących do 100-lecia odzyskania niepodległości oraz ciekawostka: 100-lecia polsko-japońskich stosunków dyplomatycznych. Oprócz licznych występów i działań edukacyjnych będzie także nowa płyta, wystawy, konferencje naukowe oraz tematyczne spotkania szkół. Będzie się działo!

Decyzją Sejmiku Województwa Śląskiego ubiegłej kadencji, rok 2019 został ogłoszony **Rokiem Stanisława Hadyny**. Uroczyste obchody 100-lecia urodzin swojego założyciela Zespół Pieśni i Tańca „Śląsk” zainaugurował 4 stycznia koncertem kołęd i pastorałek w Kościele Ewangelicko-Augsburskim w Wiśle. W wydarzeniu wziął udział Prezydent RP Andrzej Duda wraz z małżonką Agatą Kornhauser-Dudą. Przez cały rok Zespół Pieśni

i Tańca „Śląsk” zaplanował różnorodne przedsięwzięcia artystyczne i edukacyjne, które będą formą uczczenia pamięci Stanisława Hadyny i oddania hołdu Jego wieloletniej pracy artystycznej. To także wyraz wielkiego uznania za całokształt twórczości, bezcenny wkład w utrwalanie i tworzenie wartości w kulturze polskiej i europejskiej w zakresie tradycyjnej muzyki ludowej.

Wśród najważniejszych wydarzeń znajdują się m.in. koncerty w całej Polsce, w tym edukacyjne dla dzieci i młodzieży ze specjalnym programem nawiązującym do twórczości Stanisława Hadyny. W atrakcyjnej dla młodego widza, multimedialnej formie „lekcji hadynowskiej” – artyści Zespołu „Śląsk” będą przypominać najmłodszej publiczności, kim był i co po sobie zostawił założyciel Zespołu. Koncerty edukacyjne odbędą się m.in. w szkołach z tzw. Rodziny Szkół Hadynowskich w Chorzowie, Frydku, Piekarach Śląskich, Bystrzycy na Zaolziu i w Warszawie, od lat pielęgnujących pamięć o Profesorze pod egidą Zespołu „Śląsk”. Placówki te będą miały także we wrześniu swoje coroczne spotkanie w siedzibie Zespołu – Zlot Szkół Hadynowskich. Dla najmłodszych powstaje też specjalna książeczka – opowieść o Hadynie – w formie przystępnej dla dzieci.

Twórczość patrona Zespołu zostanie

mocno wyeksponowana podczas tegorocznej XXVI edycji Regionalnego Przeglądu Pieśni „Śląskie Śpiewanie”. Zadaniem uczestników konkursowych zmagania będzie przygotowanie utworów Stanisława Hadyny oraz pieśni powstańców, a to z kolei w związku z obchodzonym 100-leciem Powstań Śląskich. Co roku w czerwcu, w ramach Święta Edukacji Regionalnej, „Śląsk” kładzie także szczególny nacisk na wypuklanie regionalnych wartości w kształceniu młodego pokolenia. Odbywający się podczas tego przedsięwzięcia finał Konkursu „Edukacja Regionalna w Szkole” będzie poświęcony tematyce życia i twórczości Hadyny. Imprezę współorganizuje od lat Śląskie Kuratorium Oświaty, a w tym roku po raz pierwszy dołączą także instytucje województwa śląskiego, których celem jest upamiętnianie historii naszego regionu.

W Roku Stanisława Hadyny zaplanowano reedycję filmu biograficznego o Profesorze „W pogoni za wiosną” (premiera w roku 2012) oraz wydanie płyty, zawierającej jego najpopularniejsze kompozycje i opracowania muzyczne. Kolekcja przebojów, które nieprzerwanie od blisko 66 lat są w repertuarze Zespołu „Śląsk”, to wizytówka artystów z Koszęcina i część hadynowskiego dziedzictwa, które z taką pieczołowitością pielęgnują. Założyciel Zespołu będzie również boha-

Pałac w Koszęcinie, siedziba Zespołu. Fot. <http://www.zespolslask.pl>



terem kilku wystaw, m.in. przygotowywanej przez sam Zespół mobilnej ekspozycji, która będzie prezentowana podczas koncertów i wydarzeń.

W ramach porozumienia z Parafią Ewangelicko-Augsburską w Wiśle oraz tamtejszym Urzędem Miejskim – w przygotowaniu jest wystawa zdjęć z życia i twórczości Hadyny, którą będzie można podziwiać na wiślańskim deptaku. W koszęcińskim pałacu na ukończeniu są prace nad Salą Pamięci Profesora, która wkrótce zostanie udostępniona zwiedzającym siedzibę Zespołu „Śląsk”. Hadynie dedykowane będą także konferencje naukowe, realizowane zarówno w porozumieniu z podmiotami zewnętrznymi, np. Wydziałem Artystycznym w Cieszynie oraz Instytutem Muzyki Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach, jak i organizowana przez sam Zespół „Śląsk” w swojej siedzibie (konferencja poświęcona stylowi hadynowskiemu w muzyce).

Z ważniejszych koncertów, których bohaterem szczególnym będzie Profesor, należy wymienić koncert w wiślańskim Amfiteatrze im. Stanisława Hadyny (30 sierpnia) czy Trzyńcu na Zaolziu (25 maja) na festiwalu organizowanym przez Zarząd Główny Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego w Czeskim Cieszynie. Szczególnie ciekawie zapowiada się kameralny koncert z repertuarem wybranych pieśni Hadyny w wykonaniu artystów Zespołu i zaproszonych gości (Koszęcin, 24 września), ponadto duże, galowe koncerty „Śląska” podczas Pikniku Leśno-Łowieckiego „Cietrzewisko”, „Święta Śląska” (28–30 czerwca), Międzynarodowego Festiwalu Folklorystycznego w Koszęcinie (2–8 września) oraz w 100. rocznicę urodzin Stanisława Hadyny podczas dnia jego pamięci (25 września).

Ale Rok Hadyny to nie jedyne święto, jakie Zespół „Śląsk” wziął pod uwagę, planując przedsięwzięcia na najbliższe miesiące. **W ramach Roku Stanisława Moniuszki**, ustanowionego przez Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego, artyści w marcu wchodzą do studia nagrań, aby przygotować płytę z twórczością sakralną kompozytora. „Śląsk” już kilka lat temu postanowił przybliżyć melomanom tę nieco mniej znaną twórczość Moniuszki. W swoim repertuarze Zespół ma koncerty na solistów, chór i orkiestrę z mszami łacińskimi Des-dur i Es-dur, „Msze Piotrowińską” oraz „Litania Ostrobramskie”.

Z okazji jubileuszu 200-lecia urodzin Stanisława Moniuszki „Śląsk” przypomni słuchaczom, że ten narodowy kompozytor był nie tylko autorem muzyki operowej i pieśniarskiej, ale także twórcą ok. 80 utworów muzyki sakralnej: mszy, kantat, hymnów, litanii i psalmów. Znakomite dzieła sakralne Moniuszki nawiązują do muzycznej kultury ludowej i doskonale korespondują z poziomem artystycznym Zespołu „Śląsk”. Koncerty moniusz-



Stanisław Hadyna. Fot. <http://www.zespolslask.pl>

kowskie w 2019 roku zaplanowano m.in. w Łodzi, Kudowie Zdroju, w częstochowskiej Bazylice Jasnogórskiej czy w Zielonej Górze (we współpracy z Filharmonią Zielonogórską), a nawet w Wilnie. W październiku w ramach Dnia Stanisława Moniuszki w Koszęcinie, „Śląsk” wraz z Centrum Edukacji Artystycznej i Państwową Szkołą Muzyczną w Lublińcu będzie gospodarzem tematycznego spotkania uczniów szkół muzycznych.

Jako instytucja głęboko zakorzeniona w regionie, Zespół Pieśni i Tańca „Śląsk” **będzie aktywnie uczestniczył w celebrowaniu rocznic Powstań Śląskich**. Upamiętnienie niepodległościowych zrywów to jedno z ważniejszych zadań na najbliższe trzy lata, a podejmowane przez „Śląsk” działania będą się wpisywały w porozumienie o współpracy w ramach obchodów stulecia Powstań Śląskich, zawarte pomiędzy Marszałkiem Województwa Śląskiego a Wojewodą Śląskim. Znajdujący się w repertuarze Zespołu program z pieśniami powstańców górnośląskich to gotowa oferta do uświetnienia wszelkich uroczystości związanych z Powstaniami. Wydana w 2007 roku płyta pt. „Idą Powstańcy”, zawierająca 19 utworów pochodzących z pierwszej antologii śląskich pieśni powstańczych opracowanej przez prof. Adolfa Dygacza, będzie uzupełniona o nowe utwory w opracowaniach muzycznych Ireneusza Łojewskiego. W siedzibie Zespołu udostępnione zwiedzającym będą także okolicznościowe wystawy przygotowane przez Muzeum Powstań Śląskich czy katowicki oddział IPN. Wszystkie koncerty i wydarzenia dedykowane powstańczym rocznicom będą łączone z kontynuacją obchodów 100-lecia odzyskania niepodległości. W związku z tą okazją, w 2019 roku jeszcze nie raz zabrzmiał więc patriotyczny program Zespołu pt. „Pieśń o Ojczyźnie”.

„Śląsk” włączy się także w **wydarzenia związane z setną rocznicą nawiązania polsko-japońskich stosunków dyplomatycznych**. Oprócz dużej trasy koncertowej po Japonii, która odbędzie się na przełomie października i listopada 2019 roku, „Śląsk” wystąpi także dla członków japońskiego chóru „Sakura” – podczas ich wizyty w Polsce. Planowany jest koszęciński koncert polsko-japońskiego duetu: pianistki Miho Kurihara i solisty Zespołu „Śląsk” Piotra Nikla oraz udział artystów Zespołu w wystawieniu japońskiej opery na deskach Opery Krakowskiej.

Jeśli dodać do tego plan koncertów, który już na początku roku szczerze wypełnia kalendarz, premierę nowatorskiego widowiska z udziałem artystów baletu do muzyki Wojciecha Kilara pt. „Exodus” (kwiecień), coroczne imprezy plenerowe gromadzące w Koszęcinie wielotysięczną widownię: „Święto Śląska” (czerwiec), Piknik Leśno-Łowiecki „Cietrzewisko” (maj), Międzynarodowy Konkurs Powołenia Tradycyjnego o Trofeum Zespołu „Śląsk” (sierpień) czy Międzynarodowy Festiwal Folklorystyczny (wrzesień) oraz tysiące działań edukacyjnych realizowanych przez Śląskie Centrum Edukacji Regionalnej: warsztaty artystyczne (na miejscu i wyjazdowo, dla dzieci i seniorów), letnie szkoły tańców narodowych i tańca współczesnego, warsztaty doskonalące dla nauczycieli i instruktorów, wycieczki, festiwale i przeglądy – otrzymamy obrazy niezwykle intensywnego roku w działalności Zespołu Pieśni i Tańca „Śląsk”. Szczegóły przedsięwzięć są na bieżąco aktualizowane na stronie internetowej Zespołu „Śląsk” oraz w mediach społecznościowych: Facebooku, Instagramie i Twitterze. Zespół zaprasza także do osobistych odwiedzin w ramach wycieczek. Szczegółowa oferta i wszelkie informacje dostępne są na stronie www.zespolslask.pl

Kolejnymi artykułami i referatami próbowałem dawać opis różnych aspektów i momentów Marca. Po opublikowaniu obszernej relacji w powieści pt. *Selma* (2012), otrzymałem od czytelników sporo nowych materiałów, zmuszających do uzupełnienia opisu i pewnej zmiany interpretacji. Pouczającym spotkaniem sprzyjała też moja wieloletnia praca na stanowisku kierownika historycznej Radiostacji Gliwice. W latach 2003–16 miałem okazję podejmować tam dziesiątki tysięcy gości z całego świata, w tym również uczestników wydarzeń marcowych.

Głównym tematem moich wykładów w Radiostacji była – rzecz jasna – niemiecka prowokacja, którą przeprowadzono tam w przeddzień wybuchu II wojny światowej. Ale w badaniach zjawiska prowokacji i w licznych publikacjach, zwłaszcza w książce pt. *Provokado* (2008), starałem się wydobywać „stałe fragmenty gry”, powtarzające się w bardzo różnych zdarzeniach: fragmenty polityczne, radiotechniczne i psychologiczne.

Odżegnując się więc od spiskowej teorii dziejów, już na wstępie wyraźnie zaznaczam, że hipotezą roboczą będzie tu... prowokacja. Nie jest to jedyny punkt widzenia. Każde zjawisko inaczej opíše astronom, inaczej mikrobiolog, a inaczej poeta. Niniejszą opowieść sporządza specjalista od radiostacji i od... prowokacji. Być może takie zinterpretowanie wydarzeń w Gliwicach przybliży zrozumienie całego polskiego Marca. Ta gra toczyła się wszak na dużej szachownicy. Akcji w jednym miesiącu nie da się pojąć, jeżeli nie będziemy jej rozpatrywać na tle tego, co zdarzyło się gdzie indziej. A zwłaszcza – co równoległe działo się w Warszawie, w Moskwie i... na Syaju.

Tradycja insurekcyjna

Jakkolwiek dziwnie to brzmi – Marzec dobrze wpisuje się w polską tradycję insurekcyjną. Nikt co prawda nie strzelał, ale warto odnotować typowe składniki tej tradycji, różniące polski Marzec od innych zbiorowych wystąpień przeciwko władzy. Po pierwsze – Marzec był powstaniem przeciwko najeźdźcy. Cokolwiek wtedy było głoszone, jakiegokolwiek postulaty stawiane – wszystko to układało się w jedno wielkie, powszechne żądanie: precz ze Związkiem Radzieckim!

Po drugie – byliśmy (jako naród) duchowo przygotowani do jakiejś walki i do nieuniknionych ofiar. Nikt rozsądny nie miał wątpliwości, że jeśli tylko pojawi się iskra, coś na pewno eksploduje. W różnych miejscach struktury polskiej świadomości materiału wybuchowego było aż nadto. Nie dało się tylko przewidzieć, który element strzeli pierwszy i czy inne społeczne składniki będą akurat wtedy gotowe.



Marzec 1968 w Gliwicach

ANDRZEJ JARCZEWSKI

Dziwne rzeczy działy się w Gliwicach 11 i 12 marca 1968. Uczestniczyłem w tym jako student pierwszego roku automatyki, ale w ogóle nie rozumiałem, o co, komu chodzi. Ot, przytrafiła się okazja, by jakoś wyładować powszechne uczucia względem komunistycznej władzy, więc wyładowywało się je bezrefleksyjnie. Później jednak – z uwagi na międzynarodowe znaczenie tych wydarzeń – przez pół wieku próbowałem Marzec zrozumieć (jeżeli nazwę tego miesiąca piszemy dużą literą, wiadomo, że mowa o roku 1968).

Po trzecie – Marzec wszedł do katalogu „polskich miesięcy”. Nie został zapomniany, ale przez całe lata i dziesięciolecia był punktem odniesienia dla dalszych analiz teoretycznych i kolejnych przygotowań praktycznych. Po czwarte – Marzec, choć był najmniej znaczącym z polskich powstań narodowych, wywołał największy i najdłuższy trwający rezonans międzynarodowy. Po półwieczu nikt na świecie nie pamiętał o naszym powstaniu listopadowym ani o styczniowym. O Marcu pamiętają.

Pars pro toto

W roku 1967 i 1968 Polacy jako naród byli zorientowani zdecydowanie i radykalnie proizraelsko. Wszyscy się cieszyli: „nasi Żydzi biją ich Arabów!”. W dodatku nie było w tym nawet cienia postawy anty arabskiej. Emocje narodowe dotyczyły tylko tego, że Sowieci wspierali państwa, które przegrały w konfrontacji z Izraelem. I na tym polegała satysfakcja: w końcu ktoś – co prawda pośrednio – pokonał ZSRR!

Beznadziejna bierność polskiej polityki historycznej i medialnej sprawiła, że Marzec jest przedstawiany w świecie jako swoje moralne przeciwieństwo. W Ra-

diostacji miałem okazję wielokrotnie dowiedzieć się od Amerykanów, Niemców, ale też od Izraelczyków, że Polacy w 1968 wygonili Żydów, bo „antysemityzm wyszali z mlekiem polskiej matki”. Słyszałem to wielokrotnie, nawet nie pytając o nic przyszłych. Musiałem długo tłumaczyć, że przecież z Polski nie wyjeżdżali wtedy bezpartyjni górnicy ani włókiarki. Dla nich granica była zamknięta jak brama więzienna. Z nadzwyczajnej szansy na wyjazd skorzystali dyrektorzy, pracownicy cenzury, pułkownicy, redaktorzy gazet i inni dygnitarze. Niemal w komplecie: komuniści!

Wyjeżdżali na własne życzenie, a później dorobili czarną legendę. Piszę to z pozycji człowieka, który był wielokrotnie wyrzucany ze studiów i z pracy. Na bezrobociu przetrwałem w różnych odcinkach dobre 30 miesięcy, ponadto rok w więzieniu, kilka dni w psychuzce, liczne szykany, zatrzymania i przesłuchania. Wielokrotnie nakłaniano mnie do wyjazdu na Zachód. Nie skorzystałem. Piszę o tym pierwszy raz i tylko po to, by wylegitymizować swoje prawo do wypowiedzenia się na temat czarnej legendy Marca. Wielu wyjechało, wielu pozostało. Bywały różne motywacje, ale nikt nikogo

na siłę nie odstawał na lotnisko. Można było zostać, trochę pocierpieć niewygody i żyć tu dalej. Ci, co pozostali, szybko odzyskali swoje pozycje. Ja też.

Wewnętrzna rozróbę w aparacie komunistycznej władzy przedstawia się jako przejaw wrogości Polaków do Żydów, czego pod żadnym pozorem ani wtedy, ani później nie było. Owszem, jedni towarzysze rozprawiali się z innymi towarzyszami, bo ci drudzy nagle utracili oparcie w Moskwie, zaangażowanej akurat w konflikt z Izraelem. Ten moment został wykorzystany przez część aparatu przeciwko innej części, ale jedni i drudzy byli tylko przedłużonym ramieniem Moskwy i nic wspólnego z większością polskiego narodu nie mieli.

Obracali się na salonach władzy, gdzie zawsze ktoś czyha na chwilę, gdy ktoś inny wypadnie z łask suzerena. A potem zmagali się z nieprzyjazną petentowi peerelowską biurokracją, którą sami współtworzyli. Ani jedni, ani drudzy nie mogą wypowiadać się o narodzie polskim, bo funkcjonowali tylko jako nadzorcy i nie wiedzą, co myślał, czuł i robił naród. Prezentowanie Marca jako przejawu „polskiego antysemityzmu” jest strasznym kłamstwem, błędem *pars pro toto* (część prezentowana jako całość). Tej absurdalnej, szkodzącej tak Polakom, jak i Żydom narracji musimy przeciwstawić rzetelny, spokojny opis faktów. Punkt po punkcie, krok po kroku.

Jakie tam Dziady?

Wśród przyszłych inżynierów, kształconych na Politechnice Śląskiej, kwestia teatralnych *Dziadów* – to może brzmieć niesympatycznie, ale tak było – otóż kwestia *Dziadów* nie miała żadnego znaczenia. Mówimy o młodzieży uzdolnionej matematycznie, która w większości bez zainteresowania prześlizgiwała się w szkole po lekturach obowiązkowych, a już „*Dziady*”, wymagające zupełnie innej wrażliwości niż biegłość w trygonometrii, naprawdę nie stanowiły przedmiotu powszechnej adoracji. Nigdy, przynajmniej nigdy się o tym nie mówiło!

To byli studenci Politechniki Śląskiej, nie historycy czy socjologowie z Warszawy. Synowie robotników, córki chłopów. Na naszą świadomość nie nakładały się uniwersyteckie mody i później dodawane dezinterpretacje. Przyszli inżynierowie odzwierciedlali swoim działaniem to, co naprawdę wynieśli z domów. Nasi ojcowie nie mieli okazji, by wystąpić przeciw komunizmowi, więc zrobili to studenci. I w tym sensie było to szczere, bo wyrażało ducha narodu; nie wynikało z jakiegokolwiek doraźnego podżegania. Kwestia *Dziadów* sprowadzała się do marszu „pod Adasia”. W każdym większym mieście stał pomnik Mickiewicza, więc był to po prostu wygodny punkt zborny. I tyle.

Zdjęcia mówią od nowa

W roku 2008, Instytut Pamięci Narodowej utworzył (aktywną do dziś) stronę www.marzec1968.pl. W serwisie IPN-u znalazło się też miejsce dla fotografii, wykonywanych przez bezpiekę z ukrycia podczas gliwickiej manifestacji marcowej. Na podstawie tych zdjęć wyłuskiwano uczestników wydarzeń. Niektórych zamknięto na kilka dni w areszcie, innych powołano do wojska w trybie natychmiastowym. Nazywało się to „wcielaniem”. W ten sposób skomplikowano, a może nawet zniszczono życie 26 studentom Politechniki Śląskiej. Wielu dalszych wyleciało z uczelni lub też borykało się z niezrozumiałymi trudnościami na każdym kroku przez jeszcze wiele lat.

Wyobraź sobie, P.T. Czytelniku, uczucia osób, które – nie wiedząc wówczas, że są fotografowane – rozpoznały siebie na tych zdjęciach po 40 latach! Paru ludzi dokonało tego rodzaju odkryć. Należy do nich piszący te słowa.

Wróćmy teraz do zdjęcia, zamieszczonego na poprzedniej stronie obok tytułu. Zauważmy, że tam nie ma żadnej grupy. Każdy patrzy w inną stronę, nikt nie wie, że jest inwigilowany; nawet za bardzo się nie rozmawia. Zdjęcie kapitalnie odzwierciedla nastrój chwili: znaleźliśmy się na Placu Krakowskim... nie wiadomo po co! Jeszcze nie wiadomo. Ów zdeorientowany, zagubiony osobnik w kracastym płaszczu na pierwszym planie z fantastycznym cieniem nosa kolegi na prawym ramieniu – to właśnie niespełna osiemnastoletni Andrzej Jarczewski. Widać, że zdjęcie robiono z dołu, z ukrycia, z poziomu torby. W tle – zachowane do dziś świetliki kreślarni i gmach Wydziału Górniczego.

Tymczasem w Warszawie...

W piątek 8 marca 1968 o godzinie 12.13 na Uniwersytecie Warszawskim „aktyw robotniczy” siedmioma autobusami wjechał na wiec studentów. Jak się za chwilę okaże – minutowe przypomnienie terminu rozpoczęcia tego pogromu ma istotne znaczenie dla zrozumienia jednoczesnych wydarzeń na Śląsku. Już po paru godzinach, dzięki Wolnej Europie, cała Polska usłyszała, co działo się w Warszawie. Wchodziliśmy w tę historię ze świadomością taką, że jacyś „oni” biją jakichś „naszych”, tzn. studentów, których – rzecz jasna – nikt nie znał. Nikt też nie wiedział, co się w takich sytuacjach robi.

Doświadczenia (słabo znane) z Powstania Warszawskiego były tu nieprzydatne. O tzw. „wypadkach poznańskich” (1956) wiedzieliśmy trochę więcej, ale była to co najwyżej wiedza o faktach. Żadnych wskazań. Żadnej teorii. Czysta, surowa, nieskażona refleksją, nieprzepracowana empiria. Za mało, by zorganizować zbiorowe działanie studentów. Radio Wolna Europa było świetnym dostarczycielem informacji, niekiedy nawet do przesady

podgrzewało nastroje, ale nigdy nie powiedziało, jak należy postępować. W tej kwestii każdy musiał liczyć tylko na siebie, bo żadnych przywódców ani organizatorów oporu nie było.

...i w Katowicach

Pierwszy sekretarz wojewódzki, Edward Gierek, wiedział wtedy, co robić. Wezwał do siebie rektorów śląskich uczelni, uczelnianych sekretarzy PZPR i szefów organizacji studenckich. Kilkadziesiąt osób. Dziwnym trafem zebranie zwołano akurat na godzinę 12.00 w piątek 8 marca! Bynajmniej nie po to, by paniom wręczyć po goździku w uroczystości celebrowanych przez komunistów Dniu Kobiet. Kwadrans później funkcjonariusze służb tajnych i mundurowych bili już studentów w Warszawie.

Gierek życzył sobie, by w Katowicach dokładnie w tej chwili, gdy z autobusów mieli w Warszawie wyspać się „cywile”, słuchali go wszyscy śląscy decydenci akademicy! Mówił długo i pryncypialnie, ale zamiast tradycyjnego pustosłowia – tym razem podarował słuchaczom szczegółowe, do niedawna ściśle utajniane informacje o istnieniu różnych koterii w partii i o ich wpływach. Co kilka minut wzywano go do telefonu. Raczej nikt na sali nie wiedział, o co chodzi. Milczano. Gierek nikomu żadnych poleceń nie wydawał. Grzmiał tylko, że: *tutaj, w województwie katowickim, przodującym w realizacji idei socjalizmu, żadnych ekscesów i tym podobnych rzeczy nie będzie.*

Rektorzy wracają na swoje uczelnie cokolwiek zdeorientowani. Na tak dużym zebraniu nie mogli otrzymać szczegółowych wytycznych. To nie są dzieci. Wiedzą, że w takiej chwili muszą być w pracy, na posterunku. Za chwilę wytyczne przyjdą same, choć – jaką drogą – możemy się tylko domyślać.

Kto uruchomił zapalnik?

Gliwiczcy studenci w sobotę i w niedzielę (9 i 10 marca 1968) słuchają Wolnej Europy. Napięcie rozładowują w dyskusjach. Podziwiają Warszawę. Pewnie chętnie by też pouczestniczyli w jakiejś zadymie, ale nie ma jądra krystalizacji. Nie ma ośrodka decyzyjnego, który mógłby cokolwiek pokierować. I teraz dochodzimy do momentu najważniejszego. Przez 50 lat pytałem wszystkich, którzy mogliby cokolwiek na ten temat powiedzieć. Przez 50 lat dociekałem tego jednego: kto i kiedy podjął decyzję, że wiec studentów ma się odbyć w poniedziałek 11 marca o godz. 16.00 na Placu Krakowskim w Gliwicach! I nadal nie wiem, choć to pytanie zadawałem prywatnie i publikowałem w różnych mediach wielokrotnie.

W raportach milicyjnych, ale też w wielu rozmowach pojawia się motyw „emisariuszy”, którzy mieli przyjechać z War-

szawy lub z Krakowa. Próbowaliśmy dowiedzieć się czegoś więcej. Chodzi o to, że jeśli jest emisariusz, to ma on imię i nazwisko, a przede wszystkim – reprezentuje coś lub kogoś i przybywa w jasno sprezywanym celu do kogoś, kto też ma nazwisko. Do tej pory nie uzyskałem odpowiedzi. Owszem, gliwiczanie studiujący w Krakowie i Warszawie przyjeżdżali niekiedy na niedzielę do domu, ale jakkolwiek akcja mogła być postanowiona tylko w akademikach.

Tu należy przypomnieć, że soboty były wówczas dniem normalnej pracy i nauki we wszystkich szkołach i tylko wyjątkowo gdzieśgdzie udawało się, zwłaszcza na starszych latach studiów, załatwić sobie wolną sobotę. Drugi – absurdalny dziś aspekt – to powszechny brak telefonów. Przecież nie mieliśmy komórek, a w każdym akademiku był zazwyczaj tylko jeden telefon dostępny dla studentów. Panowało też przekonanie, że rozmowy są podsłuchiwane, więc przez telefon niczego poważnego nie można było zorganizować. Nawet na mieście telefony nie były powszechne. Na podłączenie linii czekało się dziesięcioleciami!

W dostępnych dziś raportach milicyjnych czytamy, że dwie odręczne ulotki, wzywające studentów na ten wiec, wisiały chyba ze 2 godziny w jednym z akademików na tablicy ogłoszeń i zostały zerwane o pierwszej w nocy 11 marca (właśnie zaczynał się ów słynny poniedziałek). Kolejne dwie ulotki znalezione po północy na drewnianym parkanie w dzielnicy akademickiej i wkrótce je zerwano. Następne raporty mówią o dalszych egzemplarzach na ulicy i o wieszaniu, ściąganiu i ponownym wieszaniu rękopiśmiennych ulotek w poniedziałek rano: wewnątrz gmachu Wydziału Górniczego. Ani jednej sugestii, kto mógł te ulotki kolportować. W tej sprawie nigdy nie wszczęto śledztwa! Czyżby milicja знаła „nieznanych sprawców”?

Pojawia się też plakat w stołowce przy ul. Łużyckiej. Nikogo jednak nie złapano, choć ulotki były wieszane w widocznym miejscu. Do dziś nikt nie przyznał się do wypisywania tych papierów! Dokładniej: nikt nie przyznał się do wytworzenia pierwszych ulotek i do podjęcia decyzji o terminie i miejscu wiecu. Później wiele działań podejmowano spontanicznie. Przecież materiału wybuchowego był nadmiar. Chodzi tylko o to, kto i jak uruchomił zapalnik, kto dysponował wówczas siecią sprawnych i sprawczych kontaktów.

Zapraszamy na mordobicie!

Mamy już poniedziałek 11 marca 1968. Zbliża się godzina 15.00. Większość studentów skończyła właśnie zajęcia. W stołówkach, wydających obiady do 16.00, jak zwykle pełno, ale bez oznak szczególnego poruszenia. Krążą słuchy, że coś, gdzieś... Dezorientacja. Nie wiadomo, co robić. Raczej nic. Minie kolejny dzień tłumionej

wściekłości. Nowe wiadomości z Warszawy, nadawane przez „Wolną Europę”. Słuchamy na małych tranzystorkach na falach średnich. Nic dobrego. Biją.

I nagle – ni stąd ni zowąd – w akademikach, przez radiowęzeł, odczytywany jest komunikat rektora Jerzego Szuby. Treści już nikt nie pamięta, ale teza główna była zrozumiana przez wszystkich tak samo. Rektor stanowczo zakazywał studentom udziału w wiecu, który ma się odbyć o 16.00 na Placu Krakowskim! Reakcja natychmiastowa: skoro władza zakazuje, to – oczywiście – trzeba tam koniecznie iść! Dziś, znając cynizm i zakłamanie ówczesnego rektora, powiedziałbym inaczej: to nie był zakaz, to był nakaz! A co najmniej zaproszenie: zaczynamy awanturę dokładnie wtedy, gdy zamykają pobliskie stołówki!

Milicyjne meldunki, udostępnione teraz przez IPN, co kilka minut relacjonują zdarzenia. Godzina 16.00 – jest 50 osób na Placu Krakowskim, drugi meldunek: grupa 100 ludzi idzie z ulicy Pszczyńskiej. Trzeci: już 500 osób na placu, okrzyki „Uwolnić studentów Warszawy!”. 16.15 – tysiąc osób idzie pod pomnik Mickiewicza, mają transparent: „Niech żyje demokracja! Żądamy wolności słowa!”. Kolejna notatka z godz. 16.45 – Około 3.000 ludzi idzie pod pomnik Mickiewicza! Okrzyki, skandowanie: Precz z cenzurą! Precz z Moczarem! Prasa kłamie! A na odwrocie przekrzywionego zdjęcia, wykonanego z poziomu pasa esbeckim aparatem ukrytym w torbie, znajdujemy opis: Studentka oznaczona lit. X jest działaczką na Wydz. Bud. – III rok (zdjęcie publikujemy obok bez „prostowania”).

Telemakiada

Jeśli do tego momentu manifestacja miała jakiś konkretny cel (przemarsz pod pomnik Mickiewicza), to po wręczeniu kwiatów „Adasiowi” zaczyna się prawdziwa odyseja kosmiczna. Studen-

ci wpadają w trans maszerowania. Przez kilka godzin bez wyraźnego celu przemierzają Gliwice wzdłuż i wszerz, dzielą się na grupy, łączą...

Meldunek kolejny: Przemarsz studentów ulicą Dworcową, Dolne Wały, Zwycięstwa, Bohaterów Getta Warszawskiego, Dworcowa, Kłodnicka, Gottwalda i z powrotem Wrocławska, Plac Krakowski. Liczba osób 1.900. Okrzyki „Nie kupować gazet”, „Wolność słowa”...

O 17.45 milicjant melduje: z okien budynku HPR przy ul. Zwycięstwa wyrzucano kartki papieru w czasie demonstracji i z innych domów. To się powtarzało w wielu miejscach. Milicjanci podają niekiedy dokładne adresy, np.: z budynku nr 14 przy ul. Bytomskiej, I piętro nad wejściem, mężczyzna wyrzucił większą ilość gazet.

Gdy przed szóstą zaczynało zmierzać – z gazet robiono pochodnie, co wraz ze skandowanymi okrzykami „Prasa kłamie!” sprawiało oszołamiające wrażenie. To, że studenci byli oszołomieni, możemy uważać za normalne i raczej do przewidzenia. Ale czy to studenci szli na czele pochodu? Czy studenci nadawali kierunek marszowi?

Prowokator

Oto milicyjna fotografia z opisem na odwrocie: Czołówka manifestacji, na czele której kroczy „Brodacz”, aktywny organizator manifestacji w dn. 11.03.68. Zdjęcie to wykonano ok. godz. 16.20 na ulicy Strzody tuż przed skrzyżowaniem z ulicą Zwycięstwa, gdzie chwilę później legenda tego miejsca, 200-kilowy sierżant Garcia tak pokierował ruchem, by manifestanci mogli bezpiecznie skręcić w stronę Rynku.

Z relacji Stanisława Tarasewicza, opublikowanej w książeczce, zawierającej kilka marcowych opowieści (w tym i moją) dowiadujemy się, że ów „Brodacz” – to znany gliwicki bandzior: współpracu-





jący z bezpieką Bogdan Pancewicz, któremu rzecz jasna włos z głowy nie spadł. (Wspomniana książeczka pt. „Marzec 1968 na Politechnice Śląskiej” wyszła w listopadzie 2018 z okazji II Zjazdu Absolwentów Wydziału Automatyki, Elektroniki i Informatyki, co podają na użytek przyszłych badań historycznych).

Przebieg manifestacji, starannie monitorowany przez funkcjonariuszy, wygląda co najmniej dziwnie. Gdy po latach patrzymy na plan miasta i szukamy jakiegoś sensu w tej całej telemekadzie, dochodzimy do wniosku, że albo przekazującym co chwilę nowe informacje milicjantom dwoiło się w oczach, albo przewodnik był pijany, albo przeciwnie: był bardzo trzeźwy i miał zadanie jak najdłużej utrzymać kolumnę. Ja sam o wielu rzeczach dowiedziałem się dopiero z tych meldunków.

Manifestanci w różnych momentach pojawiali się na wszystkich głównych placach i na łączących je ulicach. Od Górnych Wałów do Jagiellońskiej i od Powstańców Warszawy do Pszczyńskiej. Dobry tysiąc studentów trafił nawet pod kamienicę przy ul. Gottwalda 17 (dziś Częstochowska), gdzie na drugim piętrze mieszkał rektor Jerzy Szuba. Rektor się nie pokazał, więc poszli dalej, ale w repertuarze studenckich piosenek rajdowych na wiele lat zapanował refren „Szują Szuba” po raz pierwszy wykrzyczany pod domem rektora. Inne zaimprovizowane wtedy hasło: „Idzie wiosna – czas zdjąć Szubę!”.

Pałowanie na Zwycięstwa

Manifestacja poniedziałkowa (11 marca 1968) przebiegała bez interwencji ze strony milicji, która też była targana wewnętrznymi walkami o władzę i jeszcze nie wiedziała, którą stronę poprzeć. Zdecydowano się stłuc studentów dopiero następnego dnia. Mój rok we wtorki chodził na Studium Wojskowe. Mieliliśmy własne (tzn. wypożyczone na kilka lat) mundury i o 7.30 raz w tygodniu – jako kanonierzy – rozpoczęliśmy siedmio-

godzinne szkolenie z zakresu artylerii przeciwlotniczej w siedzibie dawnego seminarium duchownego, przerobionego na potrzeby armaty S-60, kaliber 57 mm. (O tych mundurach, zwłaszcza o świetnych kurtkach i niezniszczalnych butach należy dopowiedzieć, że były prawdziwym dobrodziejstwem dla biednych studentów i decydowały o trzech czwartych frekwencji na studenckich rajdach górskich:).

12 marca pod koniec dniówki, do sali wykładowej wezwał nas dowódca kompanii i – w wojskowej stylistyce – powtórzył wczorajszy manewr rektora: *Żeby mi żaden (...) nie pojawił się o 16.00 na Placu Krakowskim, bo go (...) (...)! Oczywiście – natychmiast pobieglismy zrzucić mundury i na Placu Krakowskim stawiliśmy się w cywilu punktualnie. Ale wczorajszego entuzjazmu już nie było. Ktoś coś wykrzykiwał przez bateryjną tubę, a studenci, których początkowo mogło być z pół tysiąca, po kilkunastu minutach zniknęli z placu. Widać było, że z tego nie wykroi się żadna manifestacja; roziło się od niebieskich i „cos” już wisiało w powietrzu. Poszedłem więc z kilkoma kolegami spokojnie do Domu Studen-*

ta „Gwarek” na Rynku (akademiki zajmowały cały kwartał między Rynkiem a Placem Inwalidów) i tam stanęliśmy w oknie narożnego pokoju, skąd widać było spory odcinek ulicy Zwycięstwa.

Ruch, jak w każde popołudnie. Nagle z Dolnych Wałów wyjechało kilka milicyjnych nysiek, a z nich wyskoczyli zomowcy w kurtkach i śmiesznych motocyklowych kaskach. Za chwilę nikomu nie było do śmiechu. W każdej nysce było po kilku drabów z długimi, białymi pałami i po jednym przewodniku z psem. Te psy prowadzono na smyczy i w kagańcach. Nikogo nie ugryzły, ale strach był wielki. Zomowcy rzucali się na przypadkowych przechodniów, walili każdego trzy, cztery razy, biegli do następnego, nie przebierając w płci i wieku, potem do jeszcze jednego lub dwóch, wskakiwali do jadących za nimi nysiek i odjeżdżali w kierunku dworca. Znikali nam na kilka minut z oczu, by po chwili, gdy ludzie znów pojawią się na chodnikach, w tym samym miejscu robić to samo.

Nie zauważyłem, by nad kimś znęcali się nadmiernie. Raczej ściśle odrabiali lekcję z przedmiotu „terroryzowanie społeczeństwa” i bili chyba dość lekko. Ludzie szybko uciekali, a jak kto się przewrócił, mógł spokojnie wstać, bo zomowiec już biegł do przodu. Liczyła się ilość pobitych a nie jakość i wcale nie wybierano studentów, bo ich po prostu na ulicy prawie nie było. Ta operacja powtórzyła się kilka razy.

Jeżeli mamy jakąś naukę wyciągnąć na przyszłość, to musimy sobie odpowiedzieć na pytanie, czy przebieg opisanych zdarzeń był przypadkowy, czy sterowany. A jeśli sterowany, co wydaje mi się oczywiste, to: kto tym kierował i w jakim celu. Innymi słowy: mieliśmy tu do czynienia z prowokacją, czy nie. To zadanie pozostawiam już historykom. A może ktoś z drugiej strony się w końcu odważy na prawdę? To byli też młodzi ludzie. Większość pewnie żyje... ■



Wojna karnawału z postem

MARIAN GRZEGORZ GERLICH

Od wieków trwa szczególna walka tych dwóch odmiennych porządków i sposobów naszego życia; wprawdzie bezkrwawa, ale jednak bezlitosna i zarazem uparta, a nawet nieustępliwa. Bo przecież uczestnicy i zarazem zwolennicy jednej i drugiej strony sporu nie chcą zrezygnować ze swoich racji i priorytetów. Bo i po co? A zastanawiając się nad tym zjawiskiem mamy od razu wiele skojarzeń. W naszym europejskim kręgu z całą pewnością na wstępie rodzi się wiele odniesień do kultury, zwłaszcza ludowej. Ale jawi się nam też przed oczyma słynny obraz Petera Breughla z 1599 roku, którego treścią jest właśnie owa odwieczna konfrontacja. Obraz ukazuje z jednej strony – lewej – rzeczywistość rozpasanego czasu karnawału. Jest więc charakterystyczna grupa rozweselonych ludzi, a wśród nich dominuje przede wszystkim postać otyłego mężczyzny siedzącego na beczce wina. W prawej ręce trzyma rożen między innymi z głową prosięcia i pieczoną kaczką, i kielbasą. Na głowie zaś owego rubasznego mężczyzny jest pasztet. To wszystko to oczywista personifikacja karnawału. A po prawej stronie obrazu inna grupa; i inna postać. To już postać rodem z innego porządku, to jest postu. Tu dominuje postać wychudzonego mężczyzny siedzącego na jakimś przedziwnym tronie. Ów asceta dzierży w prawej ręce łopatę piekarską, a na niej ułożone są dwa suszone śledzie, czyli oczywisty symbol postu. Człek ten ubrany jest w szary niby habit, i jest przepasany różańcem. A zatem naprzeciwko siebie idą dwa odrębne „pochody”. W sensie ogólnym obraz manifestuje jednak coś więcej, to znaczy znaczącą – może nawet fundamentalną myśl – znamienne dla ówczesnej epoki. Chodzi o czasy dramatycznej Reformacji. Obraz odzwierciedla istotny dylemat epoki, to jest istniejące różnice światopoglądowe w łonie chrześcijaństwa. Kościół katolicki był w owym czasie postrzegany „jako instytucja wskazująca wiernym przede wszystkim kwestię wiecznego zbawienia jako abso-

lutny cel, do którego należało dążyć poprzez umartwienia i ascezę oraz zapewnienie sobie darowania win za grzechy. Zauważmy też, że owa wojna karnawału z postem trwa od wieków. Piękne i charakterystyczne przykłady owej konfrontacji dostarcza nam – w naszych polskich realiach, i nie tylko – kultura różnych warstw społecznych, bo i szlachty, i arystokracji, nawet mieszczaństwa, ale także chłopstwa. Fakt pozostaje faktem, iż oba interesujące nas okresy różnią się zawsze – niezależnie od struktury społecznej – po prostu diametralnie. Zawsze też wyraźnie różnicują one czas i przestrzeń, no i ludzkie zachowania. Dlaczego? Bo w okresie karnawału następuje swoisty prymat cielesności, a nawet pojawia się jej afirmacja. To potwierdza obżarstwo, opilstwo, miłostki, tańce, barwne ubiory, żarty, ogólna wesołość, niekiedy i wyuzdana zabawa. Natomiast w okresie postu sytuacja jest odwrotna, bo to już jakość inna; jakościowo odrębna, bo to czas prymatu duchowości, wstrzemięźliwości, konieczności umartwienia, i wszelkich innych ograniczeń. Zwróćmy jednak uwagę, że nawet w czasie postu ujawniają się jednak również ludzkie ułomności i przywary. Tak było i jest. Znamienne, że z początku III Rzeczypospolitej jeden z bardów „Solidarności” napisał – w dniu szczególnym, bo – 1 listopada 1990 roku pieśń niezwykłą. Tak oto powstała Jacka Kaczmarskiego niezwykła

wizja wojny rozbawionych grzeszników z pokornymi jałmużnikami,

która zrodziła się z inspiracji zarówno obrazem wspomnianego Flamandczyka, ale i tym, co ów bard widział w Polsce – wokół siebie. Kiedy? W czasie transformacji ustrojowej, ale nie tylko. Śpiewał ją razem z dwoma innymi bardami „Solidarności” to jest Przemysławem Gintrowskim i Zbigniewem Łapińskim. Już jej początek jest znamieny i bardzo charakterystyczny:

*Niecodzienne zbiegowisko na śródmiej-
skim rynku
W oknach, bramach i przy studni,
w kościele i w szynku.
Straganiarzy, zakonników, błaznów
i karzełków
Roi się pstrokate mrowie, roi się wśród
zgiełku.
Praca stała się zabawą, a zabawa –
pracą:
Toczą się po ziemi kości, z kart się
sypią wióry,
Nic nie znaczy, ten co nie gra, ci
co grają – tracą
Ale nie odróżnić w ciżbie, który z nich
jest który.
W drzwiach świątyni na serwecie
krzyże po trzy grosze,
Rozgrzeszeni wysypują się bocznymi
drzwiami.
Kłęczą jałmużnicy w prochu pomiędzy
mnichami....*

I trudno rozróżnić – „który z nich jest który” – a nade wszystkim odróżnić „który święty, a który świętoszek”.



Zatem powtórzmy raz jeszcze, iż oba omawiane okresy, to przede wszystkim

dwa odrębne światy, dwie odrębne ideologie

i dlatego karnawał i post to w perspektywie każdego roku dwa zdecydowanie odrębne okresy; zawsze inne w sferze zachowaniowej. A u ich podstaw leżą odrębności nade wszystko zawarte w kategoriach aksjologicznych, myślowych, ale i estetycznych. Zawsze też następują one – po sobie – wedle utrwalonej przez wieki tradycji, a także usankcjonowanej praktyki kulturowej, teologicznej, liturgicznej. Ale przede wszystkim to dwa odrębne sposoby życia; także inne sposoby przejawiające się też stosunkiem i postawą wobec rzeczywistości. W tych przypadkach ujawnia się też sposób pojmowania, opisu oraz relacjonowania, a nawet definiowania świata. I to w sensie ogólnym, jak i szczegółowym. Znajduje to swoje odzwierciedlenie także – jak

to określają antropologowie – w „ludowej ontologii”. Oba okresy są kategorycznie odrębne, ale i pozostające w swoistym układzie komplementarnym, swoiście się uzupełniającym, o czym śpiewają choćby dawne pieśni ludowe. Zastanówmy się nad czymś nader prostym. Jaki bowiem miałby sens post – nawet najbardziej liberalny, albo przeciwnie najbardziej groźny gdyby nie było wcześniej karnawału. Taka jest ludzka potrzeba, i taki też jest sens życia człowieka, jak i wspólnoty. Bo przecież w każdym wymiarze zarówno zaplanowanym, jak i przypadkowym splatają się i koegzystują: radość i smutek, zabawa i zaduma, swoboda i rygor, wyuzdanie i wstrzemięźliwość, obżarstwo i poszczenie. Tak by można dalej podawać inne przykłady, bo przecież sens ludzkiego życia zawiera się między radością narodzin i smutkiem odchodzenia. Ale jest jeszcze nadzieja, że po śmierci następuje ciąg dalszy; inne lepsze życie. Gdzie? Oczywiście „w domu Pana”. Właśnie taki

układ – układ kategorycznie opozycyjny – oddaje prawdziwy sens ludzkiej egzystencji, w tym szczególne następstwo zabawy i radości, ale też działań uduchowionych wpisanych w twarde rygory postu. Ten sens odnajdujemy konkretnie w perspektywie roku liturgicznego. Odzwierciedlenie tego znajdujemy nadto w samorodnej literaturze ludowej, w opowieściach, i podaniach, w pieśniach oraz paremiach. W tych wytworach ludzkiej twórczości jest też zawarta istota karnawału i postu; ich geneza, sens, struktura, chronologia, etc. No cóż polski rok świąteczny jest pełen tajemniczości, zawiloci, ale też wyraźnej prostoty. Wyraża przecież przede wszystkim sens wiary. Ale poza sferą sacrum jest i sfera profanum. Potwierdza to w efekcie w sensie ogólnym otoczek kulturowy roku liturgicznego i tzw. rok obrzędowy. Są one bogate i skomplikowane, nawet zawile; i są w nich obecne treści religijne, mistyczne, parareligijne, jak i magiczne. Są opozycyjne wo-



bec siebie, ale niekiedy koegzystują ze sobą. Ale na pewno zawsze sensem wszystkim jest – powtórzmy – wiara, umiłowanie Najwyższego, Matki Bożej, świętych, wreszcie konieczność przestrzegania praktyk – tych oficjalnych i tych wytworzonych przez samych wiernych – a wreszcie jakaś zaskakująca wrażliwość i pobożność. W tym zawiera się też zrozumienie drugiego człowieka, i to w tym wymiarze, który by zachwycił i Ewangelistów, i ks. Józefa Tischnera, teologa i filozofa, i Ryszarda Kapuścińskiego, dziennikarza, reportażysty, czy Umberto Eco, pisarza i semiotyka; i wielu innych. Ale nim o tym zauważymy, że oba te okresy w tradycji chrześcijańskiej poprzedza zawsze:

Adwent i bożonarodzeniowe świętowanie,

o czym niezastąpiony Jan Stanisław Bystron w swym dziele *Dzieje obyczajów w dawnej Polsce, wiek XVI – XVIII* z 1933 roku pisze: „Po ukończeniu robót jesiennych następował czas spokoju, ciszy, postu i nabożeństw: adwent. Gwarne zazwyczaj życie domowe i sąsiedzkie stawało się na przeciąg kilku tygodni przyciszzone, poważne, bardziej niż zazwyczaj pobożne. Zbliżały się wielkie święta godnie (czyli bożonarodzeniowe – przyp. MGG), których należało oczekiwać w skupieniu i modlitwie; Kościół nakładał długie posty”. A dawne przysłowia mówiły w tym kontekście:

*Święta Katarzyna klucze pogubiła
Święty Jędrzej znalazł, zamknął skrzypki zaraz,*

czyli – jak pisze dalej Bystron – „ustawał śmiech, śpiew i muzyka, zaczynały się codzienne nabożeństwa (...). Okres skupienia i ciszy kończył się z nadejściem świąt Bożego Narodzenia”. A już zaraz potem nastaje

czas radosnego karnawału,

który zgodnie z tradycją zaczyna się dnia 6 stycznia w Dzień Objawienia się Boga człowiekowi i pokłonu Trzech Króli (a nie jak niektórzy sądzą w momencie sylwestrowej hucznej zabawy kończącej stary, i rozpoczynającej nowy rok) i trwa do wtorku. Do wtorku zwanego też „kusym” czy „diabelskim”, który przypada przed Środą Popielcową. I któżby w tym szale zabawy czy w banalnej codzienności pamiętał, iż rok liturgiczny rozpoczyna się z początkiem adwentu. Jak już wiemy karnawał to czas zabaw. Znanych było sporo pieśni zapowiadających jego początek. W dawnej polskiej kulturze szla-

checkiej, w czasach Zygmunta Augusta – śpiewano pieśń zapowiadającą jego początek, zwany zwyczajowo zapustami:

*Mięsopusty, Zapusty,
Nie chcą Panie kapusty,
Pięknie za stołem siędą,
Kuropatwy jeść będą.
A kuropatwy zjadłszy,
Do taneczka powstawszy,
Po tańcu z małmazyją
I tak sobie podpiją.*

Karnawał zaczyna się szaleństwem. Prace historyczne i etnograficzne dostarczają nam bogatego materiału ilustrującego kulturę karnawału. Dowiadujemy się z nich jak drzewiej bawiła się szlachta, arystokracja, jak bawiono się w polskich miastach i to nawet w dobie rozbiorów, przykładowo w Krakowie, Warszawie, Lwowie, czy choćby Wilnie. A jakże szalone były zabawy karnawałowe w okresie międzywojennym. Podobnie w realiach polskiego realnego socjalizmu, w epoce PRL-u. Interesujące są też badania kultury chłopskiej. W tych jednak realiach zabawy były skromniejsze. Ale i tak w porównaniu z chłopską codziennością karnawał wprowadzał jednak nową jakość, bo w szarej znojnjej powszedności – jak pisała antropolożka Anna Zadrożyńska – następowała wyraźna ekspansja ludyczności. Normalny rytm życia ulegał znamiennej, rygorystycznej „dekompozycji”. Natomiast historyk obyczaju Bohdan Baranowski pisał że „karnawał w ciężkich warunkach życia chłopskiego nie miał jakiegось bardziej uroczystego charakteru. Jednak w tym okresie częściej zbierała się młodzież, czy to w karczmie czy to w poszczególnych chałupach na zabawy”. Natomiast przykładowo śląski folklorysta Jerzy Pośpiech dodaje, że choć chłopą górnośląskiego gnębiła bieda, to „w okresie karnawału zawsze znalazł okazję aby rozweselić się nieco i urozmaicić sobie szare i monotonne miesiące zimowe. I tak na przekór trudnym warunkom bytowania karnawał stawał się okresem radości i zabaw ...”. Ale wiemy także, że był to czas urządzania weseł i dodajmy jeszcze za „ojcem etnografii śląskiej” czyli Józefem Lompą, iż w 1845 roku w owym szalonym czasie karnawału „dziewki” chadzały – o dziwo – do karczmy; przynosiły stoninę, masło, jajka częstując nimi siebie i zaproszonych parobczaków; i płaciły „za muzykę”. Tańczono zaś podówczas w górnośląskich karczmach mazurki, polonezy a młodzie preferowali walce, lendry i szotysze. I dodajmy jeszcze, że gorzałka jednak się lała; i to w nadmiarze. Zastanówmy się wreszcie

co się działo w górnośląskie Ostatki?

czyli w końcu karnawału kiedy następowała erupcja ludyczności. Nader ciekawe przykłady dostarcza nam kultura przemysłowej części Górnego Śląska. Te najbardziej wesołe dni przypadają na koniec karnawału, na czas zwany tradycyjnie Ostatkami, czyli okres od Tłustego Czwartku do wtorku przed Środą Popielcową. Wtedy na Górnym Śląsku – zarówno nawet w biednych wsiach, ale i często w osadach i osiedlach przyzakładowych – pojawiało się wiele oryginalnych zabaw, i to już we wspomniany Tłusty Czwartek. Najbardziej charakterystyczna zabawa związana z tym dniem to oczywiście tradycyjny „babski comber”, o którym pisał już w odniesieniu do kultury staropolskiej ksiądz Jędrzej Kitowicz, w swym sławnym dziele to jest *Opisie obyczajów i zwyczajów za panowania Augusta III*: dowodząc, iż przykładowo „W Krakowie tylko samym był ten zwyczaj, że w pierwszy czwartek postny przekupki sprawiały sobie ochotę, nęjęły muzykantów, naznosiły rozmaitego jadła i trunków i w środku rynku, na ulicy, choćby po największym błocie, tańcowały. Kogo tylko z mężczyzn mogli złapać, ciągnęły do tańca. Chudeuszowie i hołyszowie dla jadła i łyku sami się narażali na złapanie; kto zaś z dystygowanych niewiadomy nadjechał albo nadzedł na ten comber, wolał się opłacić niż po błocie, a jeszcze z babami, skakać”. Szczególnie wesoło ów dzień był też obchodzony w XIX wieku, jak i ubiegłym stuleciu na Górnym Śląsku. Interesująco o tym oraz innych zwyczajach, dawnych jak i nowych, piszą ostatnio w pracy *Czas niezwykły. Obrzędowość doroczna na Górnym Śląsku* młodzie śląscy badacze; to jest Robert Garstka oraz Aleksander Lysko. Informują „o wodeniu niedźwiedzia”, czy pochodach „ostatkorzy”. W owych zespołach przebiekańców spotkać można różne postaci, bo i wampira i Czerwonego Kapurka, ale i pajaca, a nawet wielbłąda, etc. A w sobotę przed końcem karnawału pojawia się jeszcze zabawa szczególna, bo „chodzenie z kozłem”. Jakże charakterystyczna jest natomiast finalna zabawa ostatkowa, której piękny opis dostarcza nam materiał pomieszczony w „Zaraniu Śląskim” z 1938 roku. Dowiadujemy się, że o godzinie 23 we wtorek „kusy” „pojawia się na sali uroczyste ubrane gospodarz zabawy, który głosem pełnym powagi ucisza zebranych i wzywa ich by wybrali „wdowę” gdyż zbliża się godzina śmierci starego, zmęczonego zabawami basu. To powiedziawszy, podchodzi

do orkiestry i odpina jedną z czterech strun. Młodzi tymczasem dokonują wyboru wdowy, a zwykle zostaje nią najlepsza tancerka. Co 15 minut powtarza się scena odpinania struny a nastrój na sali staje się coraz poważniejszy. Wreszcie punktualnie o północy orkiestra ucisza się zupełnie (...). Wszyscy milczą a na twarzach maluje się ponura powaga ...". Rzekoma wdowa szlochła za utraconym mężem czyli owym pozbawionym strun basem. A w pewnym momencie wyciąga spod „zapaski” przygotowanego wcześniej śledzia i mówi:

*Tego śledzia za pokuta łostowcie w pamięci
I niech wam się cały post przy obiedzie kręci.*

Wtedy następował moment szczególny bo wszyscy zebrani ustawiali się parami idąc w smutku za czterema mężczyznami ubranymi na czarno. Nieśli oni na ramionach niby trumnę, ów rozstrojony instrument. Tak oto odbywała się zwyczajowa zabawa zwana „pogrzebaniem basa”. Takich zabaw drzewiej było sporo, które kończyły czas karnawału, były ostatnim akordem czasu zabawy. I dodajmy tylko, że dziś ów zwyczaj odbywa się często nie we wtorek lecz w poniedziałek przed Środą Popielcową. Cały ten czas łącznie z jego schyłkiem, to już swoisty i finalny

„świat na opak”,

czyli świat ze specyficznymi cechami – jakże niezbędnymi jednostce i wspólnocie – na które dobitnie swego czasu odkrywco wskazał rosyjski badacz Michaił Bachtin w swym znakomitym dziele *Twórczość Franciszka Rabelais’go a kultura ludowa Średniowiecza i Renesansu*. Tkwi w zachowaniach czasu zabaw i radości, głównie dni ostatnich, potrzeba buntu i negacji wobec zmurszałego świata, z jego antyhumanizmem codzienności. Mierzi zaś szczególnie banalna szara codzienność. A już wizja nadchodzącego postu przeraża, bo głosi akceptację refleksji, zadumy, smutku, narzuca też poniżanie radości i szczęścia. Bo zaważmy że w naturze ludzkiej trwa ustawiczna potrzeba karnawalizacji życia, a także negacja ustawicznej potrzeby powagi, akceptacji ustalonych hierarchii, zaprzeczenie tego, co ustalone odgórnie. Ale wreszcie następuje wielka

porażka karnawału, a ostatnia bitwa jest klęską

i rodzi się czas Postu w tym „Wielki Tydzień”. Wcześniej pisaliśmy, iż w lu-

dziach w każdym z nas jak i we wspólnocie tkwi potrzeba, i to ustawiczna radości ale i zadumy oraz refleksji. To dwa odrębne stany, które jednak pozostają w układzie komplementarnym. Bo przecież ludzie potrzebują zarówno zabawy jak i refleksji nad czasem minionym, teraźniejszym jak i tym co ma nastąpić. Kapitalnie samą ideę wielkiego Postu wyjaśnia ks. abp. dr Damian Zimoń stwierdzając, iż „Wielki Post może być porównany do trudnego szlaku górskiego, po przebyciu którego człowiek staje na szczycie i cieszy się z osiągniętego celu”. W tym kontekście warto przywołać fragment niezwykle popularnej niedyś pieśni o początkach tego okresu:

*Wstępna środa na ogrodzie
Wszyscy warzą żur
Dobre łostow już w komodzie
A a droga weź tyn wór.*

Symbolem jest w tym przypadku... i „droga” i „wór”, bo Wielki Post to nowa droga w czasie, której człowiek winien nieść swoisty wór pokutnika. Zarazem powinien zastanawiać się jak żył i jak żyć powinien. Powinien zastanowić się nad tym, jakie popełnił przewiny wobec samego Boga jak i wobec wszystkich swoich bliźnich. To znaczy wobec członków rodziny, wspólnoty sąsiedzkiej, wszystkich innych, których napotykał przed tym okresem na swej drodze. W tym kontekście szczególnie znaczenie nabiera przede wszystkim to, aby ludzi – którym wyrządziło się jakakolwiek krzywdę – prosić o wybaczenie. Jakże symptomatycznie brzmi w tym kontekście charakterystyczna dawna forma przeprosin: „Wybaczom mi bo zech źle Wom robił”. W tym kontekście pojawiał się też obowiązek, aby wyjaśniać istotę własnych przewin wobec bliźniego. A już w rozmowie z Bogiem – „tak po cichu, jak się z Pon Bockiem godo” – należało wyjawiać Mu wszystkie grzechy. Lecz dodajmy, co było jednak istotą tradycyjnej religijności ludowej, że mimo istnienia owego zróżnicowania, starki upominały: „Co się źle zrobi drugiemu człowiekowi to tak jakby się zrobiło samemu Panu Bogu”. W tej też perspektywie wskazywano na szczególną złożoność ludzkiej natury, bo z jednej strony ludzie potrafią wielbić Boga, ale i zarazem czynić zło człowiekowi. Warto dlatego przywołać tradycyjne śląskie opowieści o zachowaniu mieszkańców Jerozolimy w Niedzielę Palmową, kiedy wiwatowali na cześć Jezusa, a już w Wielki Piątek spokojnie patrzyli na Mękę Jezusa. Śpiewano więc dawniej:

*W Niedziela Palmowo
Idymy razem jedną drogą
Z Bogiem się uradujemy*

Do jednego miejsca idemy Naszom wspólną drogą

Jakże to jest zbieżne z wypowiedzią wspomnianego abp. Damiana Zimoń, który pisze, iż

„Razem z Chrystusem idziemy do Jerozolimy,

do Jerozolimy aby tam dokonało się dzieło naszego zbawienia. Idziemy z palmami w rękę na znak, że nowe życie rodzi się na drzewie życia”. Jakże w tym kontekście zastanawiająca jest opowieść rodem z Katowic kiedy to sędziwa kobieta mówiła mi w 1979 roku: „My są tacy jak te Żydy w Jerozolimie. Umiemy chodzić do kościoła i rzykać, a minie trocha czasu, a już my som yno niedobrzy. Łoni – znaczy te Żydy – to łoni się radowali w Niedziela Palmowo, a radowali się i piyknie witali Jezusa (...). Minęło pięć dni i już widzieli męka Jezusa, i nic nie zrobili. Doga krzyżowo była. Tako i my widzimy męka drugich ludzi (...). Nic dło takich ludzi nie robimy, i im nie pomogomy, a nieroz to my sami im durch ta krzywda robimy (...). I momy w te dni tako możliwość coby iść tom drogą do Jerozolimy, a po tym w tyn dziyn taki cynzki, bo jak się to robi to jest się z Bogiem”. W efekcie takiego pojmowania Wielkiego Postu, jego istotą powinna być wedle tradycji, także górnośląskiej refleksja, modlitwa, i to często odmawiana, wstrzeźliwość w jedzeniu i picciu, zakaz spożywania alkoholu, „taki prawdziwy jak sie należy post”, „powstrzymywanie się od radowania się”, zakaz udziału w zabawach. Podkreślano, że w owym czasie powinna pojawić i obowiązywać „pobożność tako jako mo być w poście” oraz

refleksja o godnym życiu i nakaz czynienia dobra,

bo tak mówiły dawne opowieści ludowe, dziś już zapomniane, a obecne w lokalnej tradycji – co mogą potwierdzić etnografowie – jeszcze w latach 70. ubiegłego stulecia. Prawie zawsze jako swoisty imperatyw zawierały one nakaz zadumy nad własnym życiem, nad sposobem postępowania, nad tym by czynić ustawicznie rachunek sumienia, zastanowić się nad „proporcją” między grzechami, a „dobrymi uczynkami”. Ale po okresie Wielkiego Postu nastają święta, a potem nastaje oczywiście powszedniość wiosenna, letnia, potem jesienna, oczywiście z banalnością naszych przywar.

przełożył Andrzej Szuba

Widowisko na Broadwayu

1 Zachodnim Morzem przybyli tutaj z Nipponu
Układni, smagłolicy, zbrojni w dwa miecze posłowie:
Gołe głowy i beznamiętne twarze
W otwartych powozach przemierzają Manhattan.

Libertad! nie wiem, czy inni widzą to, co ja widzę:
Oto orszakowi japońskich arystokratów towarzyszą pieszo
posłańcy,
Albo polatują nad nim, za nim, albo po bokach —
Ale zaśpiewam ci pieśń o tym, co widzę, Libertad.

Gdy wielostopy, wolny Manhattan zstępuje na swoje chodniki,
Gdy gromowładne działa budzą mnie dumnym rykiem, który
kocham,
Gdy krągłopyskie działa z dymem i zapachem prochu, który
kocham, wypływają swoje saluty,
Gdy ziejące ogniem działa stawiają mnie na nogi, a chmu-
ry przykrywają moje miasto delikatną, cienką mgiełką,
Gdy cudowne, niezliczone, proste łodygi, lasy na nabrzeżach,
gęstnieją od kolorów,
Gdy każdy statek pod pełną galą szczyci się swoją flagą,
Gdy ulice stroją się w proporce i girlandy,
Gdy Broadway oddaje się we władanie przechodniom i ga-
piom, gdy tłumy są najgęstsze,
Gdy fasady domów roją się od ludzi, gdy dziesiątki tysięcy
oczu pochłaniają widowisko,
Gdy goście z wysp się zbliżają, gdy orszak widać już z daleka,
Gdy wezwanie zostało wysłane, gdy po tysiącach lat docze-
kało się odpowiedzi,
Ja też wstaję, zstępuję na chodniki, stapiam się z tłumem
i z nim obserwuję.

2 Manhattanie o pięknym obliczu!
Przyjaciele Amerykanie! to do nas, w końcu, zawitał Orient.

Do nas, do mojego miasta,
Gdzie po obu stronach ulicy stoją niebotyczne cuda z żela-
za i marmuru,
Dzisiaj zawitały antypody.

Pojawia się Twórczyni,
Gniazdo języków, spadkodawczyni poematów, starożytna rasa,
Krwistorumiana, melancholijna, rozmarzona, namiętna,
Duszna od aromatów, w obszernej, powłóczyściej szacie,
Spalona słońcem, o żarliwej duszy i skrzących się oczach,
Pojawia się rasa Brahmy.

Zważcie na moje cantabile! to wszystko i więcej mruga do nas
z procesji,
Kiedy tak sunie migotliwie przed naszymi oczami jak bo-
ski kalejdoskop.

Bo nie tylko japońscy posłowie przybywają, ogorzali wyspiarze,
Ale także gibcy, milczący Hindusi, sam azjatycki kontynent,
zamierzchny i martwy,
Mroczny noco-poranek cudu i nieprzeniknionej baśni,

Skrywane tajemnice, stare i nieznanne roje pszczół,
Północ, parne południe, wschodnia Asyria, Hebrajczycy, pra-
dawna starożytność,
Ogromne, opustoszałe miasta, umykająca terażniejszość,
wszystko to i więcej jest w tym widowisku-procesji.

Jest w nim świat, geografia,
Wielkie Morze, gromada wysp, Polinezja, potem wybrzeże,
Wybrzeże, ku któremu kierujesz wzrok, Libertad! z twoich
złoty, zachodnich brzegów,
Tamte kraje z ich mieszkańcami, miliony, które dziwnym
sposobem są tutaj,
Ludne targowiska, świątynie z bożkami po bokach albo przy
końcu, bonza, bramin i lama,
Mandaryn, farmer, kupiec, robotnik i rybak,
Śpiewaczka i tancerka, ludzie w transie, niedostępni cesarze,
Konfucjusz we własnej osobie, wielcy poeci i bohaterowie,
wojownicy, kasty, wszyscy,
Gromadzą się, walą tłumem ze wszystkich kierunków, z Ałtaju,
Z Tybetu, od czterech wijących się, potężnych rzek Chin,
Od południowych półwyspów i wysp przybrzeżnych, z Malezji,
Oni to i wszystko, co do nich należy, maluje mi się wyraźnie
i biorę ich w posiadanie,
I ja z kolei staję się ich własnością, a oni przygarniają mnie
do siebie,
Aż wszystkich tutaj opiewam, Libertad! dla ciebie i dla nich
samyh.

Bo ja też natężam głos i przyłączam się do orszaku,
To ja śpiewam, śpiewam głośno nad tym orszakiem,
Opiewam świat na moim Zachodnim Morzu,
Opiewam obfitość wysp za tym morzem, niezliczonych jak
gwiazdy na niebie,
Opiewam nowe imperium wspanialsze od wszystkich wcze-
śniejszych, nawiedza mnie jego wizja,
Opiewam panią Amerykę i większą jej supremację,
Opiewam tysiąc miast, co rozkwitną na morskich wyspach
w przyszłości,
Moje żaglowce i parowce pozszywają archipelagi,
Flaga Stanów załopocze na wietrze,
Rozwinie się handel, po długim śnie odrodzą się pełne ży-
cia rasy,
Życie, podjęte na nowo dzieła — celu nie znam — ale stara
Azja będzie musiała się zmienić,
Otoczona przez świat, poczynając od dziś.

3 A ty, Libertad świata!
Trwać będziesz w centrum niewzruszona przez tysiące lat,
Gdy dzisiaj ze wschodu przybywają do ciebie szlachet-
ni Azjaci,
A jutro królowa Anglii wyśle do ciebie z zachodu swoje-
go najstarszego syna.

Znak się odwraca, koło się zamknęło,
Dopełnił się okrąg, podróż zakończona,
Wiek szkatuły ledwo uchylone, ale i tak cudowna woń wy-
lewa się z niej w obfitości.

Młoda Libertad! z sędziwą Azją-wszechmatką,
Zważ na jej wiek, zawsze namiętna Libertad, bo ty jesteś
wszystkim,
Zegnij swój dumny kark przed długo nieobecną matką, któ-
ra teraz śle ci nad archipelagami komunikat,
Zegnij swój dumny kark choć raz, młoda Libertad.

Czyż nie błąkały się dzieci? nie wędrowały na zachód już
dość długo?
Czyż dawne mroczne czasy nie uchodziły z Raju i nie zmie-
rzały ku zachodowi?
Czyż stulecia nie podążały stale tą drogą przez cały czas, z ja-
kichś powodów, tobie obcych?

Miały do tego prawo, bo są doskonałe, a teraz także zmienia
kierunek podróży i wyruszą ku tobie stamtąd.
One także posłusznie podążą na wschód, dla ciebie, Li-
bertad.



Bujna. Rys. Maria Domagala

Na początek, jako preludium, pieśni

NA początek, jako preludium, pieśni,
Które delikatną melodią budzą dumę i radość mojego
miasta, pieśni o tym,
Jak prowadziło innych do broni, jak dało sygnał,
Jak bez chwili wahania sprężyło się do skoku,
O, wspaniała i niezrównana! moja Mannahatto!
O, najdzielniejsza w godzinie próby, w kryzysie! O, twar-
dza od stali!
Jak się zerwałaś — jak obojętną ręką zrzuciłaś z siebie strój
codzienny,
Jak zmieniała się twoja słodka muzyka operowa, a zamiast niej
zabrzmiały piszczałki i bębny,
Jak prowadziłaś na wojnę (żołnierskie pieśni posłużą nam
za preludium),
Jak prowadziły werble Mannahatty.

Przez czterdzieści lat oglądałem w moim mieście defilują-
cych żołnierzy,
Przez czterdzieści lat oglądałem parady, kiedy nagle pani tego
rojnego, niespokojnego,
Zawsze czuwającego miasta, z jego statkami, domami, nie-
zmierzonym bogactwem,
Z milionem jego dzieci, niespodziewanie,

W środku nocy, na wieść z południa,
Rozsierzdzona wałęsa pięścią w bruk ulicy.

Noc echem odbiła elektryczny szok,
I świtem nasz ul ze złowieszczym brzęczeniem wypuścił mi-
riady swych mieszkańców.

Z domów, z warsztatów, drzwiami
Wysypały się gniewne roje, i oto Mannahatta się zbroi!
Na głos werbla młodzi ludzie
Chwytają za broń i stają w szeregu,
Chwytają za broń robotnicy (pospiesznie rzucają kielnie, stru-
gi, kowalskie młoty),
Adwokat wychodzi z kancelarii i chwyta za broń, podobnie
sędzia wychodzący z sądu,
Woźnica zeskakujący na ulicy z furmanki i spiesznie zarzu-
cający lejce na końskie grzbiety,
Sprzedawca wychodzący ze sklepu, szef, buchalter, tragarz —
wszyscy rzucają pracę;
Wszędzie, za powszechną aprobatą, powstają zbrojne oddziały
Złożone z nowych rekrutów, nawet chłopców; starsi mężczyź-
ni pokazują im, jak nosić ekwipunek, młodzi starannie
zapinają rzemyki,
Pod gołym niebem, w domach — wszędzie gotują się do wal-
ki, błyszczą lufy muszkietów,
Obozy pełne białych namiotów, wszędzie warty pod bronią,
o brzasku i pod wieczór pojawiają się działa,
Zbrojne pułki przybywają codziennie, maszerują przez mia-
sto, na nabrzeżach wchodzą na pokład
(Jaki to piękny widok, kiedy tak schodzą ku rzece, spoceni,
z karabinami na ramionach!
Jakże ich Kocham! mógłbym ich uściskać, takich ogorzałych,
w mundurach, z plecakami pokrytymi kurzem!),
Miasto wrze — słyhać krzyki: idą! idą!
Flagi na wieżach kościołów, na wszystkich publicznych bu-
dynkach i magazynach,
Smutne pożegnanie, matka całuje syna, syn całuje matkę
(Matce niesporo jest się rozstawać, ale nie śmie go zatrzy-
mywać),
Hałaśliwa eskorta, policjanci na czele torują drogę,
Wybuch entuzjazmu, gromkie wiwaty tłumu na cześć ulu-
bieńców,
Artyleria, milczące złociste działa z lekkim dudnieniem to-
czą się po kamieniach
(Milczące działa, wkrótce przemówicie,
Nabite, wkrótce rozpoczniecie swoje krwawe żniwa);
Rozgardiasz przygotowań, szykowanie broni,
Szpitalny personel, szarpie, bandaże i leki,
Kandydatki na pielęgniarki, to już nie żarty, ale odpowie-
dzialna praca;
Wojna! zbrojne starcie tuż-tuż! niech się już zacznie, nie
ma odwrotu;
Wojna! za tydzień, miesiąc, czy rok, zbrojne starcie tuż-tuż,
trzeba się gotować.

Mannahatta w marszu — O, wyśpiewać to pięknie!
I to męskie życie w obozie.

I ciężką artylerię,
I złociste armaty, które obsłużyć mogą chyba tylko giganci,
Nabijać! (po czterdziestu latach czas skończyć z salutami ho-
norowymi
I częstować czymś więcej niż przybitką i prochem).

A ty, pani okrętów, ty, Mannahatto,
Stara strażniczko tego dumnego, przyjaznego, niespokojnego
miasta,
W czas pokoju i dobrobytu często zamyślałaś się albo ukrad-
kiem okazywałaś swym dzieciom dezaprobatę,
Ale teraz, stara Mannahatto, promieniujesz radością.

Fuga na trzy wiersze i żart

MARIAN KISIEL

TW

W eseju *Architekt, czy też koń* Adam Czerniawski napisał: „Wiersz składa się ze słów”, a w *De amicitia*, nawiązując do swoich lat gimnazjalnych: „Wiersz należało traktować jako przedmiot autonomiczny. Należało go czytać i badać w izolacji, w zupełnym oderwaniu nie tylko od życiorysu autora, ale również często w oderwaniu od całokształtu jego dorobku”. W tych wzajemnie uzupełniających się sformułowaniach kryje się klucz do zrozumienia postawy lekturowej poety. Jest on uczniem szkoły New Criticism i wyznawcą *workshop criticism*. Dlatego w swoich opiniach na temat poezji jest drobiazgowy i bezwzględny. Pyta o wiersz w jego stanie tworzenia i kontekst w jego prawdziwości. W eseju *Pro domo sua* napisał jednak: „Mamy do wody na to, że wbrew powszechnym mniemaniom, dzieło niełatwo tłumaczy się warunkami, w jakich powstało. [...] Nie od dziś i nie tylko przy ocenie poezji teoria idzie swoją drogą, a kapryśna, nieokiełzana ludzkość, swoją”.

Mimo to poeta jest platonikiem, a nie arystotelikiem. Wierzy w obiektywną wartość dzieła i do niej dąży. Zastanawia go nawet tak wtórny, zdawałoby się, czynnik wierszotwórczy jak interpunkcja. Powiada w eseju *Interpunkcja i strofy*: „Bardziej przekonują poeci, którzy [...] strukturę wiersza traktują jako rzecz otwartą. Decyzji w sprawie dużych liter, interpunkcji i rymów nie należy podejmować apriorycznie: wszystko musi być podporządkowane naczelnemu celowi, mianowicie stworzeniu zharmonizowanego dzieła sztuki”.

Czerniawski stoi po stronie liryki trudnej, stronie Norwida, Eliota, Pounda, choć potrafi docenić także poetów sobie obcych, np. Jana Lechonia. U podstaw jego koncepcji poetyckiej, jego akceptacji i odrzucenia poszczególnych wierszy, tkwi przekonanie, że – jak czytamy w eseju *Poemat dla niepalących* – „żaden poeta nie chce, by wartość jego utworu była kwestionowana”. Jeżeli tak, to należy dołożyć wszelkich starań, by możliwie najdokładniej wniknąć w sens wiersza. Możemy na drodze dochodzenia do prawdy, obiektywizmu, pewności myśli się, błędzić, spierać się z sobą samym. Tego nie uda się uniknąć. „Wiersz – napisał Czerniaw-

ski w eseju *Dziś, tylko cokolwiek dalej* – nie jest składnikiem chemicznym, który można ująć w formułę wykluczającą wszelką wieloznaczność. Dwie nawet sprzeczne interpretacje mogą okazać się równie wartościowe”.

W czym tkwi zatem tajemnica wiersza i dlaczego staramy się do niej dotrzeć? Tkwi ona, naturalnie, w słowach i we właściwym, dokładnym ich odczytywaniu. Poetę – krytyka denerwuje nonszalancja, z jaką czytelnicy (także krytycy) podchodzą do tej niewielkiej – i ostatecznie skróconej – formy wyrazu, wybierając z niej tylko fragment i nie zważając na całość. Tu ujawnia się radykalizm interpretacyjny Adama Czerniawskiego.

Dokładność czytania pozwala na tłumaczenie sensów ukrytych, odkrywa w wierszu pola istniejące w nim również potencjalnie, lokalizuje tekst w przestrzeni literatury i sztuk pokrewnych. Poeta – krytyk bardzo zwraca uwagę na tę kwestię, ponieważ – dowodzi – wiersz, który nie jest zakorzeniony w sztuce traci coś niezwykłego, mianowicie uodpornia się, by tak rzec, na dialog tworzywa. W eseju *Światy umowne* czytamy: „Właśnie sztuka jest od tego, by tworzyć światy, które poznajemy tylko w snach i marzeniach”. Sztuka, czyli wszystkie formy artystycznej ekspresji człowieka; nie tylko poezja, lecz także muzyka i malarstwo.



W poezji, prozie i eseistyce Adama Czerniawskiego refleksja nad istotą (ontologią), znaczeniem (epistemologią) i wartością (aksjologią) literatury zajmuje jedno z centralnych miejsc. Pytania o sens tworzenia są dla autora *Jesieni* równie ważne, jak pytania o sens egzystencji. Zagadka istnienia pisarskiego jest przez niego przywoływana wielokrotnie: już to pod postacią polemiki ze „skostniałymi postawami emigracyjnymi” (tak było – między innymi – w debiutanckim zbiorze *Polowanie na jednorożca*), już to w bezpośrednim dialogu z poetami rówieśnymi i – odważny pojedynek! – z poetami uznanymi za rewelatorów liryki dwudziestowiecznej (tak było w późniejszych tomikach). Czerniawski, jak przypuszczam, swoje rozważania metapoetyckie prowadzi z jednego powodu: są one dla niego gwarancją świadomego uczestnictwa w „te-

atrze słowa”, chociaż poeta dobrze wie, że w tym „teatrze” można grać zarówno rolę króla, jak i błazna.

W polskiej poezji po II wojnie światowej najwięcej miejsca kwestiom metapoetyckim poświęcił w swojej twórczości Tadeusz Różewicz. Wcześniej przed nim to zagadnienie interesowało w takim stopniu bodaj tylko Norwida i Przybosa. Ale, rzecz jasna, również wielu innych znaczących twórców tym rozważaniom się oddawało (nie bez powodu Artur Sandauer ukuł najpierw termin „samotematyzm”, a później „autotematyzm”). Na ogół w jednym celu: aby przekazać czytelnikom – a pewnie także i krytykom – swoje wyraziste *confessio fidei*. Wiersze o metapoetyckim charakterze pełniłyby wówczas funkcję tzw. *preambula fidei*.

Zwykle takich *confessiones* nie było wiele. Inaczej niż u Przybosa, który głosił w swojej dziesiątej tezie z roku 1938: „Spostrzegłem, że zazwyczaj co innego głosiłem w teorii, a co innego praktykowałem w poematach. Czyżby moje świadome wymogi teoretyczne były tylko niechęcią do przyjętej w danej chwili postawy poetyckiej, zabiegami przeciw skostnieniu? Wbrew tym, którzy budują teorie na przykładzie swoich osiągnięć, budowałem ją przeciw tym osiągnięciom”. I jak u Różewicza, którego przedustawną zasadą twórczości jest stawianie znaku równości między pisaniem i życiem. Pisanie jest bowiem wstępowaniem w głąb życia (a czasem: wstępowaniem w jego somnambuliczne rejony), a i samo życie „pisze się” wedle określonego porządku. Nie ma tu miejsca na „maski” i „aktorstwo w pisaniu”, „największą chorobę poezji”. Czym jest owo „aktorstwo”? Różewicz mówi: „Nadużyciem słowa”. Pożą, teatralizacją, zbędnym naddatkiem. Kiedy poeta odrzuca „maskę” i „kostium”, „Opada «poezja». Przemawia się głosem ludzkim, przerywanym przez wzruszenie”. Przywołując Mickiewiczowski arcyfragment *Uciec z duszą na listek...*, Różewicz powie: „Odkryta została przed nami krawina nowej poezji, za którą kroczy milczenie. Najdoskonalsza i ostateczna forma poezji – jeśli można wierzyć wyznaniom poetów”.

Skoro padło nazwisko Norwida i Różewicza, warto przypomnieć fragment komentarza *Poeci o Norwidzie* (odpo-

wiedź na ankietę), w którym pojawi się to, o czym chcemy mówić: zdrowy rozsądek i żart. Oto ta interesująca nas cząstka:

Rocznicy antologista szuka u mnie motywów Norwidowych. Idąc jego śladem znajduję tych sugestii sporo: wśród nich jest „Norwidowa rosa”, która tak się spodobała Tadeuszowi.

Przepowiadał sobie sławę pośmiertną, ale domagał się również uznania tu i teraz, był też przekonany, że nawet ci, którzy nim i jego pracą gardzą, winni go finansowo wspierać i z ostatecznej nędzy ratować. Dumny patrycjusz nie wstydził się zebrać, przechwalać i mistyfikować.

Był więc, jak wszyscy opętani poezją – zespołem sprzeczności; uparty w swym posłannictwie, drażliwy i nieporadny; myślał – naiwny – że coś mu się od współczesnych należy.

W wierszu Czerniawskiego „dialogującym” z Norwidem i Różewiczem pojawia się to, co swoiste, nie do podrobienia i nie do powielenia. Tutaj (i w całej swojej w poezji) autor *Wieku złotego* wprowadza jako zasadę semantyczną kryterium zdrowego rozsądku. W odróżnieniu od poetów krajowych, często nader serio i pompatycznie piszących o samej poezji, Czerniawski – zgodnie z zasadą „zdrowego rozsądku” – tam, gdzie inni są patetyczni, jest swobodny i lekce sobie waży patos i wszelką pompatyczność. Przypuszczam nawet, że z niechęcią „sztywność” reguł i formuł poetyckich. Apodyktyczny (a przynajmniej: niedialogowy) jako krytyk, uparcie domagający się jasnych kryteriów w ocenie sztuki poetyckiej i konsekwencji w tej ocenie, liberalny w odniesieniu do formuł interpretacyjnych (przypomnijmy: „nawet sprzeczne interpretacje mogą okazać się równie wartościowe”), zupełnie inaczej podchodzi w swojej poezji do poezji jako aktu pisarskiego. Tutaj wie, że krytyk jest zaledwie ułomnym odbiciem poety, że „prawdy” krytyka częstokroć odbiegają od „prawd” twórcy.

Znakomicie oddaje to wiersz *Lekcja poezji*:

Poeta
który kiedyś napisał
„kocham cię do szaleństwa”
a potem
„nóż ci w bżuh”

Teraz pisze
„Twoja twarz już nieczytelna
jak starta tablica nagrobna”

Krytycy tropią przemiany formalne
notując meandry stylu i wymowy

Lekcja poezji traktuje o ewolucji, jaka zachodzi w samym poecie. Czerniaw-



Adam Czerniawski, rys. Feliksa Topolskiego

ski przywołuje trzy stadia rozwoju twórczego. Wpierw – czas niedojrzałości poetyckiej, kiedy próbujący dopiero swoich sił w sztuce wiersza poeta nie tyle oddaje swoją myśl, ile ulega pierwszym emocjom. Dalej – czas buntu (nie bez powodu został tutaj przywołany lekko zniekształcony tytuł futurystycznej jednodniówki), wyrażający się w radykalnym przekreśleniu swojego niedawnego myślenia, swoich naturalnych emocji, własnego (niedojrzałego jeszcze) światobrazu. W końcu wreszcie – przywołany zostaje obraz doświadczonego poety, który mówi o zawodnej pamięci, ale mówi też i to, że ta zawodna pamięć jest dopiero zdolna oddać wagę wszystkich poprzednich stanów: biologicznej aprobaty i emocjonalnego buntu, naskórkowego widzenia świata i niedojrzałego sprzeciwu. Konkluzja wiersza jest – oczywiście – ironiczna. Wspomnienie krytyków, doszukujących się większych treści nad te, jakie są zawarte w jawnych przytoczeniach poetyckich, musi wywołać uśmiech. Bo przecież w tym wierszu, tak przekornie nazwanym *Lekcją poezji*,

nie o poezję w sensie dosłownym chodzi, a przynajmniej nie o nią.

Wiersz Adama Czerniawskiego jest w gruncie rzeczy utworem o miłości, zapisem reakcji człowieka na to uczucie. Wpierw tych reakcji pierwszych, zwanych „zakochaniem”, później – reakcji na odrzucenie przez ukochaną osobę (tytuł futurystycznej jednodniówki, będąc poetyckim intertekstem, pełni tu funkcję eufemistycznego przekleństwa), w końcu – wspomnienia o tej dawnej (pierwszej?) miłości, kiedy się już nic, a przynajmniej niewiele pamięta, poza może jakimś mgławicowym uczuciem, zatartą twarzą. Stąd właśnie jest tutaj mowa o nieczytelnej twarzy, przypominającej startą płytę nagrobną.

Tak oto została zapisana owa reguła, którą powtarzamy za Lechoniem: „miłość i śmierć – obydwie zarówno”. A tytuł wiersza – przecież ważny? Jest skonstatowaniem faktu, że „przemiany formalne”, których doszukują się krytycy, są zmianami reakcji ludzkich, wyrażonych w języku odpowiednio do aktualnego stanu emocji, pamięci, i tym samym

– ducha. I że w tym właśnie zawiera się poezja. Bo poezja jest – w najwyższym sensie tego słowa – życiem.



O związku poezji z życiem traktuje wiersz *Poeta współczesny*, w którym Adam Czerniawski z właściwą sobie ironią kreśli wizerunek dzisiejszych wieszczów. Utwór zbudowany z siedmiu punktów (więc niejako z siedmiu tez, czy też z siedmiu aksjomatów) pokazuje rzeczywiste relacje między poetą (obojętnie jakim: „natchnionym” [*furiosus*] czy „uczonym” [*doctus*]), a światem, w jakim on żyje. Łączy się on z *Lekcją poezji* na zasadzie przeciwieństwa. O ile w tamtym wierszu poeta mówi o życiu ubranym w płaszcz poezji, to tutaj o poezji mówi się jakby w tle. Poezja (jej rola we współczesnym świecie) widziana jest przez pryzmat sytuacji egzystencjalnej poety, który:

1. zdobywa fortunę
2. rozbraja kombatantów
3. poskramia ideologie
4. kocha się szczęśliwie
5. wstępuje do nieba
6. żyje w sercach licznych czytelników
7. idzie do łazienki splotać z oczu resztki snu

Punkt pierwszy (teza pierwsza) jest jawną kpina. Wiadomo, że na pisaniu poezji nikt się majątku nie dorobił (poza Noblistami, rzecz jasna). Więcej nawet: w dzisiejszych czasach do poezji trzeba dołożyć. Współczesny poeta, aby zaistnieć w świecie literatury, niejednokrotnie sam z własnych oszczędności finansuje wydanie tomiku wierszy. Nie są to drobne grosze. Więc tę pierwszą tezę można odczytywać i tak: poeta „zdobywa fortunę” (jakąś „znaczącą sumkę”), aby w ogóle dać się poznać czytelnikom jako poeta.

Punkt drugi jest prawdziwy. Istotą poety współczesnego jest bowiem to, że przeciwstawia się „starym poetom”, klasykom, weteranom sztuki poetyckiej, „kombatantom” właśnie. To „rozbrojenie kombatantów” odczytywać można w dwojakim sensie: literackim oraz prestiżowym. Więc najpierw – jako odrzucenie starych treści (zasadą „współczesności” jest to – przekonywali nas awangardziści – że żąda ona „nowości”, a nie ulega starym tworzydom). Następnie zaś – jako pozbawienie „starych poetów” miejsca w hierarchii literatury. „Kombatanci” bowiem zbijają kapitał czytelniczy na swoich dawnych osiągnięciach, „odcinają kupony” od zajmowanej kiedyś pozycji. Poeta współczesny musi „rozbroić kombatantów”, inaczej nigdy nie stanie na ich miejscu.

Punkt trzeci: „poskramia ideologie” jest chyba czytelny. Otóż, sztuka poetycka – jeśli pragnie być „sztuką” właśnie – nie jest przełożeniem jakichś doktryn

ideologicznych, przeciwnie – powinna powstrzymać ideologów, być wyrażeniem buntu wobec dogmatyzmów w myśleniu. Poezja ze swej natury jest adogmatyczna, ciąży ku dialogowi. Stwarzając własne systemy, burzy dawne porządki. Ideologia „zamyka”, poezja „otwiera”; „ideologia „zniewala”, poezja „wyzwala”. W tym sensie poezja jest rzeczywistym poskromieniem ideologii w sferze wyobraźni, choć – oczywiście – w sferze *praxis* nic wobec ideologii nie znaczy.

Punkt czwarty: „kocha się szczęśliwie” jest w dwójnasób ironiczny. Wiadomo ważnym czytelnikom, że we współczesnej poezji bardzo trudno jest spotkać wiersze o szczęśliwej miłości. Wydaje się więc, że poeta współczesny kochać szczęśliwie nie umie. Ale zaraz odsłania się tutaj drugi aspekt tego sformułowania: przecież nie znaczy ono, że poeta jest „kochany”, ile że to on „kocha się” – w dodatku „szczęśliwie”. Ma dar kochania, choć niekoniecznie musi być w tej miłości utwierdzony przez osobę, która on kocha. Poeta zwykle chce być kochany przez czytelników, tutaj jednak sytuacja uległa odwróceniu. Czytelnicy raczej poety nie kochają, to on „kocha się szczęśliwie” w czytelnikach. Jest to rodzaj współczesnego Guštawa do niedosiężnej Maryli.

Punkt piąty jest kreślony również w podwójnym wymiarze. Więc – z jednej strony – poeta to taki „niebieski wycieruch”, jakby powiedział Bolesław Leśmian, ale także ktoś, kto pisze o rzeczach górnych, rzadko nawiązując kontakt z czytelnikiem. „Wstępuje do nieba”, ale jakiego? Rzeczywistego czy metaforycznego? Pewnie o „nieba” sławy, która jest uwodząca, lecz przecież krótkotrwała i niepewna.

Punkt szósty: „żyje w sercach licznych czytelników” jest oczywistą ironią z sytuacji współczesnego poety. W sercach czytelników żyją raczej powieściopisarze i to raczej oferujący „pierwszorzędną literaturę drugorzędną”, a nie jakieś szarady słowne, które z trudem poddają się nawet filologicznej obróbce.

Punkt siódmy jest jednakże prawdziwy: poeta współczesny zwykle pisze po nocach (w dzień musi zarabiać na życie, wykonując inne zajęcia). Słowo „sen” użyte jest tutaj w dwojakim sensie: jako sen prawdziwy i „sen o potędzie”. W tym życiu poeta z pewnością nie osiągnie wyżyn niebiańskich, „przemycanie oczu” jest także „otręźwieniem”. W łazience poeta korzysta nie tylko z kranu, ale i rezerwuaru. W spływającej z szumem wodzie odbija się wtedy szacunek czytelnika do jego poezji.

Poeta współczesny Adama Czerniawskiego, tak detalizująco tutaj omówiony, jest – jak widać – zbudowany z trzech tez prawdziwych (1, 3, 5) i trzech tez wyraźnie fałszywych (2, 4, 6). Ostatnia teza (7) jest rodzajem syntetyzującego wniosku. Wiersz znakomity – ponuro

kreślący losy poety współczesnego, ale i przyjmującego wyroki (dopusty) boże z uśmiechem.



Jeśli *Lekcja poezji* jest wierszem o życiu odbijającym się w poezji, *Poeta współczesny* – utworem o losach i pozycji poety za jego życia, to *Dzieła zebrane* kreślą obraz twórczości (także – i praktyki pisarskiej, rozumianej jako akt egzystencjalny) już zamkniętej, poddanej próbie czasu i pamięci, oddanej do dyspozycji czytelników i badaczy, którzy mogą z tą twórczością zrobić co chcą. I otóż ten trzeci wiersz, jakkolwiek najbardziej ascetyczny, jest znakomitym dopełnieniem i wytułmaczeniem sensów dwóch wierszy poprzednich. Jest swoistą sumą ich przesłania, choć niesie także niebagatelne znaczenia własne.

Oto ten wiersz:

...niektóre wyrazy znikną już nawet
ze słowników
potem będzie wiadomo tylko że tu jest
przecinek
a tu brak zgłoski tu początek tu koniec...

Dzieła zebrane są utworem o, by tak powiedzieć, „materialnej” fakturze tekstu poetyckiego. Z upływem czasu i pamięci, słowo – jedyny składnik zdolny budować obraz myśli i emocji – narażone jest na zniszczenie. Z czasem zmieniają się sensy słowa, a i ono samo wylatuje ze słowników, bywa zastępowane innym. Dzieło, jakie człowiek pozostawia po sobie, nie jest tworem doskonałym. Bywa atakowane zarówno przez „nowy język”, jak i poprzez to, co moglibyśmy nazwać „przypadłością starości”. Papier butwieje, farba drukarska blaknie, całe stronicie rozpadają się w rękach.

W *Dzieliach zebranych* Adam Czerniawski nie mówi o ideach, jakie zostały pieczołowicie zamknięte właśnie w dziele. Nie musi mówić. Idee okazują się bowiem czymś wtórnym wobec niedoskonałości języka i papieru. Stają się niezrozumiałe, gdy niezrozumiały okazuje się język, stają się martwe, gdy w popiół obraca się materiał, na którym zostały zanotowane.

Żart, ironia? Może. Ale – przede wszystkim – świadomość ironii losu, który dotyka poety. Gdy *Dzieła zebrane* okażą się „dziełami nie zdolnymi do czytania”, śmiesznym szamotaniem z życiem stanie się cały wysiłek poety. Nieważne będą jego reakcje, jakie zanotował w *Lekcji poezji*, nikogo nie będzie obchodził jego los, uwidoczniiony w *Poecie współczesnym*.



Habent sua fata libelli... Ale także poeci. Zwłaszcza poeci współcześni. ■

JAKUB STRUMIEŃ

Twarz w twarz

My też składaliśmy upiorne wizyty, a schody,
Znając nas, znów znajdowały nas na zakręcie,
Gdy pukaliśmy do pustych pokoi, gdy
szukaliśmy ukrytego piękna
E. Pound: „Pieśń VII”
(tłum. A. Szuba)

Może przyjdą do ciebie
sosny pochylone nad Bałtykiem
jakby wyglądały
dajmy na to ryb w ekonomicznej kopii
ryb na srebrnej paterze jakiegoś spokojnego
pędzla
ożywiających nieco ten płynny ołów
niczym piasek srebra rodowe z komody
na uroczystości pod wspólnym stołem
rozbiegana rybitwa świeżo po desancie
dziewczyna na wydmie która się boi
że ktoś niepożądany w najśmielszym śnie
rozdumucha jej romantyczną duszę i przyjdzie
rozzarowanie
koniczynki w mokrym piasku pięciolistne
kawałek historii polskiego
jazzu polskiego kina plakatu
topniejąca boja słońca
flegma piany z której nie da się wyciągnąć nic
co dałoby się nosić w portfelu w towarzystwie
zdjęć zwłaszcza tych a nie innych
i pozostałe puzzle landschaftu
pomieszane potracone
do kupienia w każdej dobrej księgarni

Ze wszystkich stron
otoczone miłością. To najbardziej
otwarty dom w okolicy. Pałacy przed domem
czeka
aż wszyscy wyjdą

Frazeologia

Wydarzenia w centrum. W epicentrum wydarzeń.
Jak pępek na forum. Świata? Romanum?
Na forum wielkie słowa, głębokie komentarze.
To właśnie Polska A. To tylko Polska A. A Polska –

to abecadło. I przypiecek, i sam piec, z którego się jadło –
prawdziwy chleb, na zakwasie, powszedni, jak pacierz,
lulka i spadź. To kres i Bug, nie wróg i dres,
nie motyw przewodni, nie marsz przechodni.

To Wisła w każdym biegu, to kra na Skrwie, i krew na krze,
i pierwsza, i ostatnia, przerebel w Hańczy, i w zaroślach Wieprz.
Perełki rosy, szronu, w złotawym runie, i jarzębiny – w koronach drzew.
A jeśli sól, to tylko ziemi. Słone ulice? słony chodnik?



rys. Bogna Skwara

Jan Goczoł – poeta śląskiego domu

13 maja 1934 – 22 lutego 2018

JAN COFAŁKA

Zanim poznałem Jana Goczoła znałem jego twórczość. Było to możliwe, gdy po maturze w 1958 roku w Strzelcach Opolskich, zacząłem pracować i stać mnie było na kupowanie przynajmniej dwa razy w tygodniu „Trybuny Opolskiej”, w poniedziałek z wynikami sportowymi i magazynu na niedzielę. W tej niedzielnej ukazującej się wówczas w niewyobrażalnym dziś dwustutysięcznym nakładzie, zamiast różnych celebrytek i innych dewiantów, mieli swoje stałe miejsce literaci. Jan Goczoł co tygodnia zamieszczał na jej łamach wspańnięte refleksyjne felietony, istne poetyckie perełki pisane prozą. Napisał ich chyba w sumie – jak twierdził – ok. tysiąca ośmiuset. Znikoma ich część, bo zaledwie 51 została wydana w niewielkiej książeczce pt. *Na brzoźowej korze*, w 2000 roku staraniem Biblioteki Miejskiej w Opolu w 2000 r. Wspominam o tych felietonach bowiem przez nie trafiłem do poezji Jana, a potem do niego samego. Wtedy gdy te felietony ukazywały się w cyklach: *Zapiski z wioski rodzinnej* *Kartki znad Ronda*, zaproponowałem dyrektorowi Domu Kultury w Strzelcach Opolskich, aby fragmenty tych *Kartek znad Ronda* i jego wiersze, zaprezentować na uroczystości z okazji Dni Ziemi Strzeleckiej. Udało mi się do tego pomysłu zjednać czołowych recytatorów tego miasta i przedstawiliśmy twórczość Jana, w jego rodzinnych stronach.

Jan na to nie przyjechał, ale wspomniano mu o tym i to mi otwarło drogę do niego samego, a później do naszej przyjaźni. Bo kiedy

trafiłem do pracy w Opolu a potem wywiał mnie do Warszawy, zaś on został naczelnym redaktorem miesięcznika „Opole”, ilekroć przyjeżdżałem do Opola starałem się go odwiedzać w tej redakcji. Tam poznałem niedawno zmarłego Edka Pochronia oraz, wtedy jeszcze tylko dr Stanisława Nicieję, który swe pierwsze fascynacje Kresami, wtedy cmentarzem Łyczakowskim, zamieszczał, nie bez kłopotu z cenzurą, właśnie na łamach tego miesięcznika.

Najbardziej chyba zbliżył nas z Janem Goczołem czas jego posłowania. Były to lata 1985–1991. W Sejmie tej wielkiej burzy dziejowej, zakończonej zmianą ustroju Jan czuł się wyjątkowo zagubiony, bo kogoś z rządzących wtedy interesowała kultura, którą on żył przede wszystkim. A wtedy już zaczęła nas zalewać fala zachodniej pop kultury i nawet nasi światowej sławy plakacisci z Waldemarem Świerzym na czele, stali się w kraju bezrobotnymi, bo z masowym zakupem zachodnich filmów kupowaliśmy, bezkrytycznie, towarzyszący im plakato-propagandowy chłam. Na rodzimą kulturę, na czasopisma literackie, książki, kino, teatry, było coraz mniej pieniędzy. Nie było też pomysłu na kulturę. Gwałtownie rosły ceny książek. Pamiętam jak posłowie, w tym Jan, atakowali wtedy w Sejmie ministra kultury za gwałtownie drożące książki. A pan minister, z galicyjskim spokojem, wyłuszczył niecierpliwym posłom że: „Z dobrą książką jest tak, jak z piękną kobietą – musi kosztować!” W gospodarce rynkowej zgasł również miesięcznik „Opole”,

którego nie udało się uratować i po zakończonej kadencji Jan stracił miejsce pracy zmuszony do przejścia na lichą dziennikarską emeryturę z koniecznością oszczędzania na potrzeby opały aby zimą nie zamarznąć w tym małym domku na Półwsi.

Posłowie wtedy niewiele mogli – jak to się mówiło – załatwić dla wyborców, poddawani różnym dyscyplinom, ale gorączka była wtedy w Sejmie niesamowita, wszystko się łamało i zmieniało, więc biegali z komisji na komisję, bo ta pokojowa transformacja ustrojowa wymagała uchwalenia ogromnej liczby ustaw. Nie było więc ich w sali posiedzeń Sejmu, co się nie podobało wyborcom. Gdy Jana atakowano za lichą frekwencję w sali posiedzeń na spotkaniach z wyborcami, wyciągał wówczas z teczek wydawnictwo o Bundestagu, w którym na jednej stronie były trzy zdjęcia. Pierwsze przedstawiało pustawą przerzedzoną salę współczesnego Bundestagu, zaś dwa pozostałe zdjęcia wypełnione po brzegi sale parlamentów faszystowskich Niemiec oraz NRD.

Jan ofiarował mi w czasie swego posłowania autograf jednego ze swych sztandarowych śląskich wierszy, który napisał długopisem na druku poselskim w pociągu z Opola do Warszawy w 1991 roku, pt. *Mój Śląsk*.

Mój Śląsk jest niewidoczną stroną księżycy.

*Jego prawda pozostaje w cieniu, niewidzialna
Dla oślepych jego cudzym światłem,*

Kłamiącym w żywe oczy.

Mój Śląsk jest mroczną stroną księżycy.

*Nikt, kto łaski pańskiej, okruszyny władzy oczekuje,
Spójrzec tam się nie odważy.*

Wiersz ten wisi oprawiony nad moim tapczanem, mocno wypłowiały, już ponad ćwierć wieku.

Dzięki Janowi poznałem w Sejmie jego przyjaciela, wielkiego pisarza polskiego Wiesława Myślińskiego, z którym połączyło mnie, niestety niezbyt skuteczne jak się okazało, dopinanie Jana do większej aktywności literackiej. Nie udało nam się wydusić z niego dwóch dzieł, które obiecywał, a które z pewnością byłyby znaczące w jego dorobku, myślę o tomie prozy o Starym Ślązaku i Śląsku pt. *Niewidzialny, ale jest* oraz o przetłumaczeniu na polski wielkiego eposu altajskiego *Maadaj-Kara* nie ustępującego ponoć słynnej fińskiej *Kalewali* a nawet homerskiej *Iliadzie* i *Odysei*.

Nasze późniejsze spotkania z Janem, szczególnie po tym gdy przyszło mu przeżyć potworną dla niego w skutkach powódź stulecia w 1997 roku, która zniszczyła mu znaczną część jego dorobku, kiedy oswoił ją sobie jakoś psy-

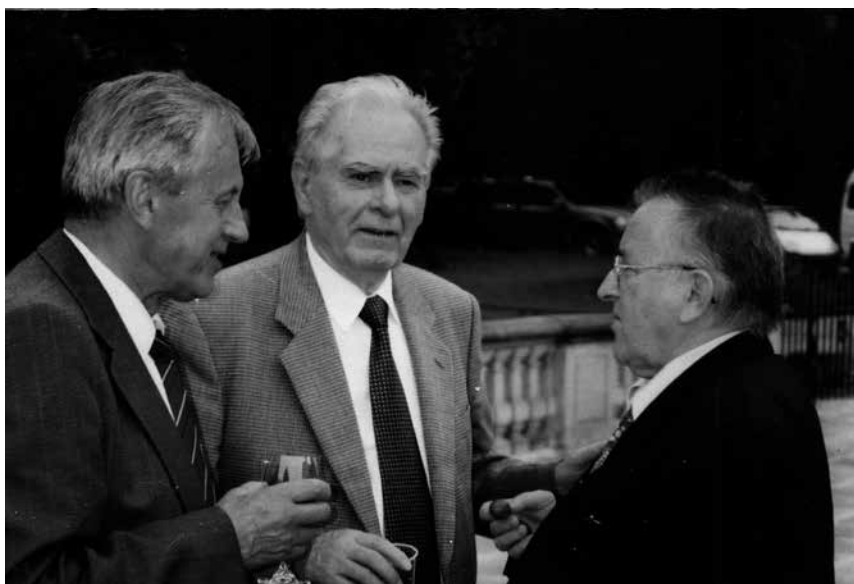
foto Jan Cofałka



Jan Goczoł w koszulce z napisem „Dziedzic śląskości”, ofiarowanej mu przez przyjaciół w 2001 roku w Jarnołtówku

chicznie, odbywaliśmy zazwyczaj w kawiarni „Europa” w Opolu, w której uwielbiał tamtejsze pyszne ciasta. Potem nadeszła pora naszych corocznych wakacyjnych spotkań w Jarnołtówku, gdzie przez ponad dwadzieścia lat spędzałem z rodziną urlopy. Rychło zostały one nazwane *Spotkaniami Przyjaciół*. Tam toczyliśmy niekończące się dyskusje o polsko-opolskich i polsko-śląskich trudnych sprawach. Tam też w 2001 roku nadaliśmy Janowi tytuł *Dziedzica Śląkości*, ubierając go w koszulkę z tym napisem. W tej koszulce potem co roku przyjeżdżał na kolejne spotkania. I tu dochodzę do najważniejszego, o czym chcę powiedzieć. Otóż chociaż obaj z Janem jesteśmy Ślązakami, z tak zwanej krwi i kości, czyli *pniokami*, to jednak nasze rozumienie Śląska było różne. Nie tylko dlatego, że Jan z chwilą zakończenia wojny miał jedenaście lat a ja tylko pięć, więc siłą rzeczy musiał więcej doświadczyć i zapamiętać. Obu nam Rosjanie zabrali ojców, tyle, że jego nigdy już stamtąd nie powrócił, zaś mojego po powrocie dopadła i zniszczyła nowa władza. Nasze różne rozumienie Śląska wynikało z tego, że moja rodzina wywodziła się z Chorzowa, czyli tej części Śląska, która po plebiscycie 1921 roku przypadła Polsce. Pokolenie Jana i Ziemia Opolska na powrót do tzw. Macierzy jeszcze musiała poczekać. Nie znali też ceny jaką przyjdzie im, tu mieszkającym Ślązakom, za ten powrót do Polski zapłacić.

Jako pięciolatek, pamiętam jak w styczniu 1945 roku, stacjonujący na podwórku i na łące za domem u babci w Chorzowie Batorym, Rosjanie z końmi, ciągle pytali: *Kuda Germania? Kuda na Berlin?* Bo tu w Chorzowie była dla nich jeszcze Polska, tu im nie wolno było za wiele, ale kilka kilometrów dalej były Gliwice, Zabrze, Bytom i Śląsk Opolski, gdzie mogli się mścić na Niemcach, gwałcić, zabijając, pałac i grabiąc. Bo to była już ta Germania, w której nie rozróżniali, że oprócz Niemców, żyją tu Ślązacy, którzy jeszcze w 1938 roku, w samym sercu Berlina, na Kongresie Związku Polaków w Niemczech, w oczekiwaniu na powrót do Macierzy, potrafiliby Hitlerowi wykrzyzczać, że są Polakami. Z końcem wojny, gdy zapadła decyzja o przesunięciu granic Polski o 250 km na Zachód, co zapewniło powrót całego Śląska – jak to się mówiło – do Macierzy, rozpoczęła się największa w naszych tysiącletnich dziejach –



Jan Goczoł, Wiesław Myśliwski i Kazimierz Kutz na „Święcie Ślązaków” w Warszawie; 2001 rok.

jak to twierdził Jan Edmund Osmańczyk – kotłowanina ludzi, wyrwanych przez huragan II wojny światowej ze swoich, domostw, osiedli i krajobrazu. W rezultacie tej kotłowaniny aż 2/3 narodu polskiego znalazła się w 1945 roku poza swymi domostwami, w zupełnie odmienionych warunkach. I wtedy najbardziej dramatyczne chwile przeżywali Ślązacy na dzisiejszej Opolszczyźnie. Z jednej strony cały Śląsk wracał do Polski, co satysfakcjonowało wielu z nich, z drugiej jednak ta wracająca tu Polska, nie zawsze jawiła się z piątej Prawdy Polaków, która głosiła: *Polska Matką naszą, nie wolno mówić o Matce złe*. Bo ta Polska, która tu wracała, często niestety była nie tą, troskliwą matką, lecz bardzo srogą macochą.

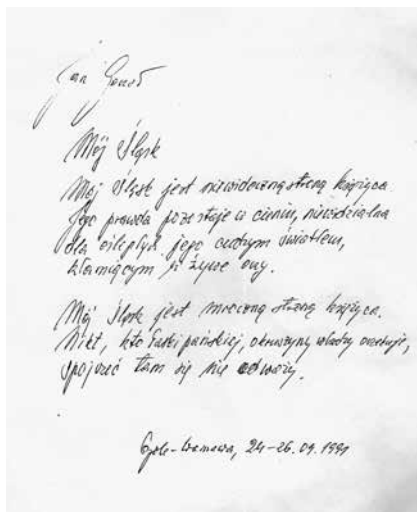
Przypomnę w największym skrócie: Niemcy nakazywali uciekać przed Rosjanami, potem weszli Rosjanie nie rozróżniając, kto tu jest kim. Za Rosjanami szły bezlitosne bandy szabrowników potrafiących wywozić stąd *na szaber plac* we Wrocławiu nawet fortepiany i rozbierać domy, bo niby potrzebna była cegła na odbudowę stolicy. Jeszcze przed końcem wojny zaczęła napływać tu fala przybyszów głównie z Kresów Wschodnich tak ogromna, że ten dawny Śląsk ze swymi wartościami, tradycjami i obyczajami, zaczął się w niej po prostu roztopiać. Natomiast przybysze z Kresów jak to określił poeta Tomasz Różycki pochodzący z rodziny kresowej, czyli pokolenie jego dziadków i ojców było „pokoleniem nierozpakowanych”. Wielu z nich trwało w przekonaniu, że znajdują się tu tymczasowo. Coś o tym wiem, bo ożeniłem się w 1969 roku w Opolu z Kresowianką ze Stanisławowa.

Popatrzmy na fakty. Opole przed wojną liczyło ok. 60 tys. mieszkańców, po przejściu frontu było tu ok. 300 ludzi. Powoli do wypalonego w centrum miasta, wracali jego mieszkańcy, którym nakazano przed frontem schronić się w Czechach. Równocześnie od kwietnia przybywają do Opola pierwsze transporty repatriantów z za Buga. 1 czerwca 1945 roku Opole liczy już pięć tysięcy mieszkańców, a 31 grudnia, jest już prawie 31 tysięcy, w tym 7,5 tys. pochodzenia miejscowego i te proporcje miejscowych do przybyszów, utrzymały się

do dziś w skali całego Śląska, na którym autochtonicznych Ślązaków, jest dziś – jak się oblicza – na 20–30 procent.

Osiadający tu po wojnie przybysze nie bardzo rozumeli tutejszych mieszkańców i gwarę jaką się oni posługiwali. Natomiast władze polskie zarządziły Ślązakom weryfikację, aby mogli otrzymać świadectwo, że są Polakami. Takie świadectwo musiała nawet uzyskać Zofia Poliвода potem Hajduk, po powrocie z obozów koncentracyjnych, w których była więziona za polskość. Inny wybitny działacz Związku Polaków w Niemczech Jan Rychel, którego wojewoda opolski chciał pozbawić ulicy w Strzelcach Opolskich, po powrocie z Buchenwaldu, musiał jeździć do polskiego obozu w Mysłowicach, w którym zamykano po wojnie Ślązaków razem z wysiedlanymi Niemcami, aby ich ratować. Dziadek Ewy Demarczyk powstaniec śląski, przedwojenny gospodarz konsulatu polskiego w Opolu, kiedy powrócił tu po wojnie, pierwszą jego czynnością było ściągnięcie z ratuszowej wieży wiszącej na niej swastyki. Ale kiedy przygotował dla swojej rodziny przydzielone mu mieszkanie, zostaje z niego brutalnie wyrzucony przez jakiegoś oficera, bo ten oficer był przecież lepszym Polakiem od Demarczyka. Dodajmy jeszcze, że tak jak Niemcy tępiłi w szkołach tych, którzy odzywali się po polsku, czyli w gwarze śląskiej, tak po wojnie czynili to niektórzy równie nadgorliwi polscy nauczyciele, w dążeniu do repolonizacji Ślązaków. Zmieniano też Ślązakom niemiecko brzmiące nazwiska i imiona. O stosunku do Ślązaków wcielonych do Wehrmachtu nie wspominał, bo to jest nadal aktualny problem. Tak jak nieliczenie się z etnicznością przy tworzeniu województw.

Rozpowiedziałem się o tych sprawach, bo one składają się na doświadczaną krzywdę Ślązaków przez to macosze przyjsie tu Polski po drugiej wojnie światowej. Ta krzywda Ślązaków i bojaźń przed zanikiem Śląska, głęboko wryła się w chorego na Śląsk Jana Goczoła i w jego twórczość, z jakże esencjonalnymi wierszami o Starym Ślązaku, które weszły do historii naszej literatury. Stale przy tym musimy pamiętać, że to nie Ślązacy pozbyli się przed





Jan Goczoł w rozmowie z Wiesławem Myśliwskim. Warszawa, 25 kwietnia 2001.

czterystu laty Polski, lecz Polska, Śląska i Ślązaków. To nie Polska walczyła o Śląsk, lecz on przyszedł do niej z nie lada wianem po wstaniach śląskich. Nikt mi więc nie udowodni, że w naszej literaturze istnieją piękniejsze i bardziej wyraziste wiersze o Ślązakach jak te Janowe o Starym Ślązaku i ten jakże wspaniały *Stary Ślązak w niebie*.

*Stary Ślązak w niebie stoi odurzony
Tą wiecznością: tyle czasu, jakby była
Bezustanną zimą bez pilnej roboty.
Żeby chociaż jakiś garnek krzywych gwoździ
Wysuplanych ze starego drewna. Czasu
Człek by nie marnował, a dla nieba, korzyść.*

Jan boleje nad losem Śląska, ale pochylając się z wielką czułością nad jego innością, nie wyobraża sobie, aby był on nie polski. Wspominam o tym tak obszernie, bo dzięki Janowi i naszej przyjaźni, czerpałem od niego jako Ślązak, spędzający większość swego dorosłego życia poza Śląskiem, prawdziwą wiedzę o Śląsku, nie skażoną różnymi późniejszymi kuczowymi politycznymi uniesieniami. Bo jak powiedział na Zamku Ostrogskich w Warszawie, kiedy Jan odbierał w 2000 roku, nagrodę Towarzystwa Przyjaciół Śląska, Wiesław Myśliwski, Jan był poetą domu, tego śląskiego domu. A jego poezja wyrosła z bólu tej śląskiej egzystencji.

Dzięki Janowi doszedłem do przekonania, że do tej wspaniałej jego poetyckiej esencji muszę dołożyć obszerniejsze zapisy pogmatwanych – jak to określił Ryszard Hajduk – losów ludzi wywodzących się ze Śląska, aby prawda o nich nie odeszła z nimi. Więc kiedy po 47 latach pracy przeszedłem na emeryturę i mogłem robić to, co chciałem, a nie to co mi kazano, zacząłem spłacać swój dług Śląskowi i wyszło z tego już pięć książek, szósta – w hołdzie Ślązaczkom – jest w drodze. Jan kibicował mi w tym przedsięwzięciu, uczestniczył w ich promocjach, a nawet poświęcił mi wiersz nazywając mnie puchaczem, co to z warszawskiej dziupli nad słuchuje nocą co na tym naszym Śląsku popiskuje.

Pamiętam jak przed laty pojechaliśmy z Małgosią i Janem Goczołem na Górę świętej Anny.

Jan jest autorem albumu o tej górze wydanym w 1981 roku ze znakomitymi zdjęciami Fryderyka Kremsera.

Opowiadał jak to Niemcy próbowali ją Ślązacom obrzydzić, zaś jego żona Małgosia w muzeum Czynu Powstańczego odnalazła sztandar wyszywany przez jej babcię. Zaraz potem Jan zawiózł nas do Suchego Dańca gdzie ostatni raz widział się z ojcem, już w drodze z polskiego więzienia do Rosji, która go pochłonęła, on cieśla zachęcał syna do czytania literatury polskiej. I Jan spełnił to ojcowe wręcz testamentowe nakazanie. Był jedynym po wojnie uczniem już polskiej szkoły, który radził sobie z czytaniem po polsku, bo go tego nauczyła starka z ukrywanych polskich czasopism i *Zywotów świętych*. Potem nauczyciel przynosił mu kolejne polskie książki, które pochłaniał. Tenże nauczyciel w dramatycznej sytuacji rodziny Goczołów bez ojca, z najstarszym jedenastoletnim Janem i ze spodziewającą się piątego dziecka matką oraz siedmioma hektarami do obrobienia, wyblągał aby Jana posłać nie na cieśnię, lecz do szkoły średniej. Kiedy zapadła ta decyzja, Jan poleciał do pobliskich Strzelc z dokumentami zapisać się do niej, a że sekretariat liceum ogólnokształcącego był zamknięty, trafił do liceum administracyjno-handlowego. Było ciężko. Widywano go jak dwa razy w tygodniu kiedy odbywały się jarmarki w Strzelcach ciągnęły z młodszym bratem wczesnym rankiem wózek załadowany warzywami i nabiałem, aby coś utargować dla domu. Potem po maturze w 1953 roku nie stać go było na studia, pracuje, trafia do wojska, żeni się w 1960 roku z Małgosią dziewczyną z rodzinnej Rozmierzy i już po debiucie poetyckim, w siedem lat po maturze, namawiany przez przyjaciół, decyduje się na studia polonistyczne. Pensja żony i to co dorabiał publikacjami musiały im wystarczać na bardzo skromne życie. Ale studia pozwoliły pogłębić jego fascynację językiem polskim, w czym spore zasługi miała profesor Dorota Simonides, której był studentem. Jana nie tylko fascynował język polski lecz także gwara i folklor. Potem już uczestniczył, jako juror, w wielu lokalnych konkursach gwary i śpiewu, (sam też potrafił ładnie śpiewać). W gwa-

rze śląskiej zadziwiała go, jej staropolskie bogactwo. Zawsze wynajdywał w niej jakieś słowa, jak choćby to *umizgliwe seplenienie* z wiersza *Wnuki Starego Ślązaka*, którymi potem prof. Jan Miodek męczył swoich studentów. Jan był zakochany w zespole Silesia, bo ten zespół prezentuje folklor śląski w jego najczystszej formie. Kochając Silesię drżał, aby nie znarowili się i nie poszli śladami wielu chałturszczyków.

Z Janem łączyło mnie jeszcze jedno, umiłowanie sportu a dokładnie kibicowanie chorzowskiemu Ruchowi. Jan w swej młodości grał w piłkę nożną z LZS w swej rodzinnej wsi, ale też co wygrzebałem pisząc *Legendsy sportu śląskiego*, do dziś jego nazwisko figuruje w tabeli najlepszych na Opolszczyźnie biegaczy na 10 tys. metrów w latach 1950–1959. W tym kibicowaniu Ruchowi było nas czterech: super kibic prof. Jan Miodek z Wrocławia, prof. Florian Śmieja z Kanady, Jan Goczoł z Opola i ja trzeci Jan, ze stolicy. Dlatego też umyśliłem sobie, że promocję mojej książki o legendach sportu śląskiego, w dniu 19 stycznia 2018 roku w gościnnym Muzeum Śląska Opolskiego, odbędzie mi jako spotkanie trzech Janów (Goczoła, Miodka, Cofałki). Tak została ta promocja zapowiedziana, z czego się ogromnie cieszyłem. Niestety najpierw zachorował, jak się okazało śmiertelnie, Jan Goczoł, potem z dnia na dzień na zapalenie oskrzeli zapadł prof. Jan Miodek i tak pozostałem z tej trójki sam. Na szczęście niezawodnym okazał się prowadzący promocję moich książek w Opolu prof. Stanisław S. Nicieja i jak to się teraz mówi, daliśmy sobie radę. Słabnącemu z dnia na dzień Janowi, zdołałem relację z tej promocji przekazać już tylko telefonicznie.

I tak by można o Janie nieskończenie, wyrażając żal po jego odejściu, bo był nie tylko wspomnianym „Dziedzicem śląskości” lecz przede wszystkim najczulszym barometrem tej śląskości, której jest coraz mniej i trzeba ją tym usilniej pielęgnować.

Proszę Państwa z końcem roku dzieci piszą listy do św. Mikołaja z różnymi życzeniami. Mnie też nawiedziło pewne marzenie. Marzy mi się, że kiedyś gdy opadną dzisiejsze emocje i wróci rozum, tam gdzie go często brakuje, a z nim powrócą prawdziwe wartości od wieków hołubione na Śląsku, które dziś stara się przykrywać bohaterstwem tych, którzy wysadzali, zamiast tych co tu trwali, bo praca i pragmatyzm zawsze dominował na Śląsku, a nie najczęściej bezmyślne wezwania na barykady. Otóż marzy mi się, że na pięknym Wzgórzu Uniwersyteckim, które zawdzięczamy wiadomo komu, przy spoczywającym już tam Janie Edmundzie Osmańczyku i duszpasterzu Kresowiaków ks. Stefanie Baldy, powstanie wymowny Panteon Opolski, w którym znajdzie się w przyszłości miejsce dla: arcybiskupa pojednania Alfonsa Nossola; uczonej, która wie wszystko o Ślązaczach od kolebki do grobu, prof. Doroty Simonides, dla twórcy tego Wzgórzka i współczesnego kształtu Opolskiego Uniwersytetu (oby żył jak najdłużej), prof. Stanisława S. Nicieji i że do tego panteonu trafi też w końcu ze swym strudżonym *Starym Ślązakiem*, on *Dziedzic Śląskości*, poeta tej ziemi, tego domu – Jan Goczoł. ■

Józef Górdziałek

(26 września 1928 – 27 stycznia 2019)

TADEUSZ SIERNY



W każdej instytucji kultury jest jakaś postać lub zespół anonimowych osób, które swą długoletnią w niej pracą tworzą swoisty styl, normę funkcjonowania: teatru, wydawnictwa, opery, uniwersytetu. To tzw. średnia kadra zarządzająca i pozostały personel – od którego wysiłku i kompetencji zależą ostateczne, finalne efekty pracy dostrzegane przez widzów, czytelników i in. Ci, na co dzień anonimowi pracownicy przychodzą do instytucji, wiele lat w nich działają, pracują, pewnego dnia są obecni po raz ostatni i... ich teczka personalna wędruje do archiwum. Takich postaci są setki.

Taki los pewnie spotkałby i osobę Józefa Górdziałka, gdyby nie jego późna publicystyka publikowana w latach 90. XX wieku i pierwszej dekadzie XXI wieku przede wszystkim w książkach wydanych w Wydawnictwie Naukowym Śląsk oraz czasopismach: „Opcjach”, „Śląsku”, „Dziś”, „Miesięczniku Literackim”, „Zaraniu Śląskim”, wcześniej w „Pogłądach”, „Odrze”, „Dzienniku Zachodnim”, „Dialogu” i wielu innych. Był najstarszym z grupy pracowników zatrudnionych niemalże od zarania jego istnienia w Przedsiębiorstwie Państwowym Wydawnictwo Śląsk (PPWŚ), tym który mógłby opowiedzieć o trudnych początkach tej oficyny.

Urodził się pod koniec lat 20 minionego wieku (1928 rok) w rodzinie chłopskiej (4 hektary majątku). Jako jedenastoletni chłopiec zetknął się z realiami wojny i niemieckiej okupacji, ogromnym wysiłkiem i dzięki swej silnej woli w 1949 roku uzyskuje dyplom maturalny w Wolborzu, by w 1954 roku zakończyć rozpoczęte w Łodzi, studia na Wydziale Filologicznym Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie.

Jako 26-letni młodzieniec, magister filologii polskiej trafia do Katowic i w dniu 1 listopada 1954 roku podejmuje pracę jako asystent Redakcji Społeczno Naukowej w Wydawnictwie Górniczo Hutniczym (WGH) kierowanym wówczas przez dyrektora Władysława Gryksztasa. Na podstawie ustawy o planowym zatrudnieniu absolwentów średnich szkół zawodowych oraz szkół wyższych otrzymuje nakaz pracy nr 4/F z dnia 30.03.1955 i skierowanie do pracy w WGH w Stalinogrodzie, które sankcjonują jego zatrudnienie w WGH, a w dniu 1.05.1955 roku podpisuje swą kolejną umowę o pracę z dyrektorem WGH prof. dr Tadeuszem Kubiczkiem. W następnym roku poznaje Jana Pierzchałę, twórcę Redakcji Literackiej w WGH i 29.10.1957 roku zostaje przez dyrektora mgr Zbyszka Mikołajskiego powołany na funkcję redaktora w Re-

dakcji Literackiej – utworzonego już wówczas PP Wydawnictwo „Śląsk”. W 1959 roku zakłada rodzinę, zostaje ojcem dwójki dzieci: Joanny i Tomasza, osiedla się na stałe w Chorzowie. Od września 1982 roku pełnił funkcję zastępcy Naczelnego Redaktora. W 1985 roku dopada go ciężka choroba i 30 września tego roku przechodzi na rentę.

W Wydawnictwie współpracował m.in. z Jeremim Głiszczyńskim dyrektorem oficyny, Zastępcami Naczelnego Redaktora: Bolesławem Luboszem, Witoldem Nawrockim, niżej podpisanym. Znajomość a później przyjaźń z Janem Pierzchałą przetrwała wiele długich lat, aż do śmierci autora „*Legendy Zagłębia*” (1962), a nawet dłużej bowiem zaowocowała próbami opublikowania ostatniej, do dziś nie wydanej powieści Jana Pierzchały – *Szept węża w wysokiej trawie*. Znał wszystkich pisarzy tworzących w powojennych Katowicach i na Śląsku, wiedział o ich planach wydawniczych, koncepcjach pisarskich. Podzielał poglądy artystyczne i społeczne Jana Pierzchały, szanował, ale nie identyfikował się z wyznawanymi przez Wilhelma Szewczyka postawami artystycznymi, politycznymi. Lojalnie współpracował z kolejnymi swoimi przełożonymi, lecz swe poglądy estetyczne formułował precyzyjnie, nawet nieco kostycznie – przykładając szczególną wagę do społecznych funkcji tekstów literackich. Paradoksalnie jak na tamte lata, ta ostatnia kwestia nie przysparzała redaktorowi sympatyków. Oceny artystyczne recenzowanych przez niego tekstów starał się solidnie uzasadniać, lecz nie oszczędzał autorów ani ich dzieł, a później tę postawę manifestował w swych publikowanych w prasie i książkach, artykułach krytyczno literackich. Nie ulegał trywialnym mitom i fascynacjom regionalnym, ale wysoko cenił obecny w życiu mieszkańców tego regionu etos pracy, uczciwości, solidności. Był częstym gościem i dyskutantem podczas spotkań organizowanych przez Górnośląskie Towarzystwo Literackie. Ostatnie dziesięciolecie swego życia poświęcił na analizę i rozpoznanie problemów literatury i kultury pogranicza.

Józef Górdziałek pytał siebie, autorów, działaczy kulturalnych o tożsamość kulturową, etniczną i narodową Śląska (*Mala galeria pogranicza* 1997; *Dialogi śląskie* 2002), jako krajiny na wiele sposobów pogranicznej, z ową dominantą niemiecko-polskich, polsko-niemieckich konfliktów i kontaktów, ale konsekwentnie pytał o owe przecież do dziś obecne na Śląsku pogranicza: wieś – miasto, swoi – obcy, przemysł

– ekologia, stare – nowe. Uparcie analizował zjawisko sąsiedztwa w kulturze, funkcjonowania norm i mechanizmów społecznych „na styku”, konfrontacji i ewolucji postaw. Denerwowały go banalizacje, trywializacje i uproszczenia szczególnie osadzone w aktualnych kontekstach politycznych – owych ważnych dla kultury i życia społecznego – pogranicznych kolizji i związków. Sumiennie analizował twórczość pisarzy śląskich (W. Paźniewski, W. Szewczyk, L. Wantuła, S. Bieniasz, J. P. Krasnodębski), ale sięgał także po teksty innych znakomitych twórców (Cz. Miłosz, J. Pilch, E. Kruk i in.) jako egzemplifikacji problemów lub sformułowanych przez siebie hipotez. W jednej z swoich wypowiedzi tak scharakteryzował inspirującą go problematykę:

„Przez «literaturę pogranicza» nie rozumiem twórczości regionalnej czy głównie regionalnej, ale tę część pisarstwa ogólnego, krajowego, która wyrasta, żywi się, zajmuje się zjawiskami oraz konfliktami relacji, sąsiedztwa kultur i wartości o dużej sile ekspresyjnej. Najczęstsze, najbogatsze wśród zjawisk i konfliktów sąsiedztwa będą natury narodowościowej, dlatego w uproszczeniu sprowadza się je do uniwersalnego symbolu stanów i procesów graniczności, na styku, na obrzeżu większych grup społecznych. A przecież może to być np. strefa pośrednia między wsią i miastem, między pokoleniami, środowiskami, epokami. Wśród zjawisk pogranicza, czyli sąsiedztwa, czyli styki wielości najciekawsza, bo najbardziej brzemienna w skutki, będzie wymiana dóbr i wartości, współżycie, przenikanie kultur oraz z drugiej strony konfrontacja i konflikt (...)”

Niestety, mimo długiego życia – nie doczekał się satysfakcjonującej odpowiedzi na frapujące go pytania. Podczas uroczystości pogrzebowych żegnając swojego ojca redaktor Joanna Miozga, przypominała wartości które szczególnie cenił redaktor Józef Górdziałek: radości rodzinnego życia, piękno przyrody, piękno języka polskiego.

Zmarł w wieku 90 lat w dniu 27 stycznia 2019 roku, pochowany został zgodnie z swoim życzeniem w Parku Pamięci w Rudzie Śląskiej.

Pozostały jego artykuły, książki i pytania, które zadawał sobie i nam.

W latach 20. XX wieku nocny lokal „Trocadero” w narożnej kamienicy u zbiegu Młyńskiej i Stawowej był promowany jako „Najwykwintniejszy pałac tańców Górnego Śląska”. Tam wszystko wirowało podwójnie, niekiedy potrójnie a czasem w przeciwnych kierunkach!

Karnawał w dawnych Katowicach część II

Kabarety, bale i brydż

HENRYK SZCZEPAŃSKI

Nazwą katowicki „Trocadero” przypominał słynny paryski pałac usytuowany na wzgórzu, z którego rozciągał się wspaniały widok na obszerny plac z wieżą Eiffle’a, ale architekturą, gabarytami i legendą – swemu francuskiemu natchnieniu – nie dorównywał pod żadnym względem. Miał natomiast inne ekscytujące atrakcje.

Prócz dwu świetnych orkiestr dysponował niemal magicznym parkietem jak płyta gramofonowa wraz z pływającymi parami, kręcącymi się wokół osi. Nadto kuśił niemiej „zawrotną ofertą” w gaskońskim stylu:

„Występ pierwszorzędných sił kabaretowych krajowych i zagranicznych”.

Należał do kwartetu katowickich kabaretów. Konkurował z „Apollo” i „Eldorado”. Czwarłym był „Ermitage” – „Mascotte” przy Plebiscytowej. Trzy miały w adresie dziewiątkę. „Eldorado” mieścił się przy 3 Maja 29, „Apollo” przy Poprzecznej 19 (obecnie: Staromiejskiej) no i „Trocadero” przy Stawowej (również) 19. Te dwa ostatnie należały do firmy Zjednoczone Sceny Artystyczne, której właścicielami byli bracia Alexandroff, synowie Michała Moszkowicza. Borys był szefem „Apolla” a Michał „Trocadero”.

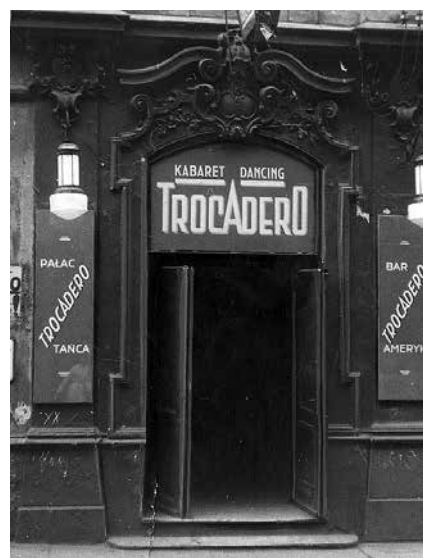
Do nawiasowych ale numerologicznie prze-

dziwnych ciekawostek trzeba zaliczyć fakt, że zarówno kamienice przy Stawowej 19 jak i przy Staromiejskiej 17/19 były rówieśniczkami. Obydwie w 1896 roku wybudował Hugo Grünfeld, syn znakomitego muratora Ignaca. W tamtym również roku, w Monachium ukazał się pierwszy numer najślawniejszego niemieckiego magazynu satyrycznego „Simplicissimus”.

Przy Poprzecznej 19

Kabaret „Apollo”, w którym od 1 września 1909 roku na fotelu dyrektora generalnego ZSA zasiadał Borys Alexandroff, mieścił się w dwupiętrowej kamienicy z bogato zdobionym frontonem. Podwórze i oficynę dom miał na spółkę ze swoją sąsiadką oznaczoną numerem 17. Burżuazyjna rezydencja była siedzibą generalnej dyrekcji pod zarządem której prócz „Apolla” i „Trocadero” podlegała jeszcze filia: „Frankfurterhof” – „Simplicissimus” w Wiesbaden. Ówczesni satyrycy skrót ZSA objaśniali jako „zjednoczone stany Ameryki” a nazwę ulicy Querstrasse – Poprzeczna jako zaporową przeciwko gburom i ponurakom.

W monologach i skeczach na widelcu satyry – prócz smętnych prostaczków – chętnie umieszczali biedermeierowskich filistrów i niezłomnych monarchistów z cesarzem wiel-



kiej rzeszy na szczycie, to co poważne mieszały z tym co komiczne a wulgarnie z tym co wzniosłe. Ich ulubionym czytadłem był wspomniany „Simplicissimus”, organ młodoniemieckich satyryków. Jego okładkę zdobił portret czerwonego buldoga pozującego na tle czarnej kurtyny. Jak tytułowy „Syplicjusz” z lotrzykowskich romansów twierdzili, że „nie ma prawdy bez uśmiechu”. Po 1918 roku konkurentem „Simplicissimusa” na katowickim rynku prasowym stał się komiksowy „Szczutek” wydawany we Lwowie.



Zjednoczone Sceny Artystyczne anons bracia Alexandroff. Księga adresowa G Śląska 1924–25

„Apollo” był sceną wiodącą i w dużym przedsiębiorstwie kabaretowym grał pierwsze skrzypce. Poprzez afisze i ogłoszenia prasowe oferował projekcje filmów i pokazy estradowe. Zapraszał na rodzinne spotkania przy „muzyce, śpiewie i tańcu”.

O tym, że aranzował piwne i winne maratony do godziny 2 po północy albo do białego rana, dobrze wiedziało doborowe towarzystwo poszukujące bardziej ekscytujących wrażeń zmysłowych. Były inscenizowane w stylu nie nazbyt subtelnym, na łobuzerską knajpią modłę. Przed fatalną weltkrieg stanowiącą ulubioną rozrywkę pruskich miłośników napojów wysokowych. Nie podobały się nawet Arnoldowi Ulitzowi, który w swojej opowieści o Katowicach „Apolla” zaetykietował epitetem „jama występku”. Gdy przycichł gwar oszołomionych konsumentów i bełkotliwych sporów na rozrywkową arenkę wkraczały tańczące bądź śpiewające gwiazdki artystycznego półświatka. Tak jakby od niechcenia odsłaniały co powabniejsze kształty swego ciała. Te aż nazbyt francuskie czy też berlińskie gesty zapowiadane jako tętniące życiem wcielenia an-



Querstrasse 17/19 (obecnie Staromiejska). Pocztówka z teatrem Apollo, około 1912 roku

tycznych posagów wołały o pomstę do nieba i sprowokowały ks. Skowronka, proboszcza bogucickiej fary, który niedwuznacznie dawał do zrozumienia, że nawet w karnawale bywanie w jaskini rozpusty funkcjonującej pod szyldem „Apollo” zarówno dla dorosłych a jeszcze bardziej dla dojrzewających bądź wkraczających w życie latorośli jest grzechem ciężkim i obyczajowo niewybaczalnym.

Święte oburzenie bogucickiego kapłana nie było monologiem wołającego na puszczy. Wiosną 1923 roku „Głos Górnego Śląska”, („oparty na gruncie narodowo-polskim, niezależny w polityce”) redagowany przez ambitnego Jana Kustosza zaręczał, że pod dachem kabaretu zainicjuje się na duże zmiany.

Dyrekcja Teatru „Apollo” donosi, że z d. 1-go marca br. w miejsce kabaretu przyjdzie polska operetka i francuskie wodewille. Zespół sił będzie znakomity. Szan. Publiczność będzie miała sposobność widywać coś dobrego. Dyrektor Aleksandrowicz będzie prowadził swój kabaret dalej i występował z doborowym polskim oraz międzynarodowym programem.

Niebawem ukazało się nieco enigmatyczne, blankietowe ogłoszenie. A oto co oferowało:

Apolo-Cabaret

Dyrekcja: M. Alexandrowicz

Najprzedniejszy kabaret w Polskim Górnym Śląsku.

Co wieczór od godziny 9–30

Wielki międzynarodowy program

Salonowa orkiestra

Występy – Śpiewy – Taniec

W niedziele i święta:

2 przedstawienia!

Popoł. O godz. 5. Wieczór o godz. 9-ej.

Bogucicki duszpasterz, ks. Skowronek byłby z pewnością usatysfakcjonowany, ale wtedy mieszkał już za niemiecką granicą w pięknej willi w stóp Gór Opawskich na Opolszczyźnie.

TEATR APOLLO
 Telefon 327. w Katowicach. Telefon 327
 Największa i najrozmaitsza Opera na polskim Górnym Śląsku.
 Od 16. listopada
całkiem program zmieniony
 Zespół baletu tworzą warszawscy artyści
 na czele p.
Kiliński.
J. K. Mosette — iluzja magii.
 W niedzielę i święta dwa przedstawienia
 popołud. o godz. 4-tej, wiecz. o godz. 7, 8.
Cabaret Apollo Codziennie wieczór od 10-tej
 aż do 2-jej w nocy otwarte.

Teatr Apollo balet plus iluzja magii anons Gazeta Robotnicza 1922 nr 270

Na marginesie kroniki kabaretu „Apollo” trzeba odnotować jeden z ciekawszych programów jesieni 1922 roku. Wtedy Borys Aleksandrowicz zaprosił do siebie Franciszka Kilińskiego i jego zespół baletowy, jeszcze w poprzednim roku występujący w Warszawie pod szyldem Teatru Ludowego. Jego dobrym znajomym w Katowicach był Jan Ciepliński, koryfeusz i solista sceny operowej Teatru Polskiego. Kiliński był absolwentem warszawskiej szkoły baletowej a potem solistą i asystentem choreografa w balecie Tomasza Niżyńskiego, kierow-

nikiem własnego zespołu, w którym tańczyła również jego córka Irena. Wraz z żoną Teodora z Walkowskich przez wiele lat występował w Rosji, a po powrocie do Polski w r. 1918 odbywał liczne tournée po kraju.



Taniec kowbojski Franciszek Kiliński z córką Ireną Almanach muzealny MhMw

Po kolejnej renowacji wnętrza i murów kinoteatralnej świątyni rozrywki katowicka „Polonia” z 19 października 1924 r. informowała:

Kino „Apollo” zostało otwarte po gruntownej przebudowie i urządzeniu widowni z niebywałym komfortem. Dziś i w dniach następnym – przedstawienie inauguracyjne: „Tradycja miłości” oraz występy personalne: humorysty J. Kochańskiego, muzycznych clownów Januszka i Ewersta w stylu Pata i Patachona oraz trupy „Valery” z tańcami międzynarodowymi.

Za ścianą miała swoje biuro firma dystrybucyjna i wypożyczalnia taśm do projekcji kinowych. Anonsowała się pod szyldem: „Apollofilm”, Poprzeczna 17.

Kino „Apollo”

Apollo-Film Sp. z o.o.

KATOWICE Poprzeczna 17/19, tel 2168 daje tylko filmy najlepsze.

W 1928 roku kierownikiem i właścicielem Kina Apollo był Wojciech Błaszczak. Do niego należało także kino „Union” przy ulicy 3 Maja 23 oraz kilka innych w okolicach miasta, należących do spółki biuro kinematograficzne „Wirfilm”.

Femina i Tabarin

Około 1930 r. kino „Apollo” przeszło w ręce Berty i Anity Moscovitz. Zostało przemianowane na kino „Casino”. Obok funkcjonowała restauracja „Bar Krakowski” prowadzona przez Wawrzyna Kowalskiego. Teraz, pod zarządem nowych właścicieli własny program prezentował kabaret o nazwie „Femina”. Szyldem i repertuarem przyciągał emancypantki, ale jeszcze większą atrakcją był dla płci brzydkiej znajdującej upodobanie w oglądaniu epatujących młodością, fertycznych i pięknych tancerek.

Jeszcze w kwietniu 1934 roku katowicka rozgłośnia Polskiego Radia transmitowała z Feminy nocny koncert orkiestry tanecznej, który był ostatnim punktem programu kończącego się tuż przed północą. Nazajutrz, o siódmej rano słuchaczy witał chór śpiewający hymn pochwalny „Kiedy ranne wstają zorze”.

W maju 1935 roku prasę katowicką obiegła sensacyjna wiadomość o handlowych machinacjach związanych ze sprzedażą urządzeń kabaretu Femina. Głównym bohaterem afery był znany kelner Kuba Rosenberg. W intratny dla siebie sposób uczestniczył w „nielegalnym przeprowadzeniu przetargu publicznego z wolnej ręki” jakim był inwentarz dawnego kabaretu „Femina” przy ul. Poprzecznej. W jakiś czas potem okazało się, że tenże Rosenberg został dyrektorem nowego kabaretu o nazwie „Tabarin”.

Nowym właścicielem a jeszcze wczoraj kontrahentem Rosenberga okazał się Herman Gortitz. W dawnym lokalu Kowalskiego otworzył dancing-bar również o nazwie Tabarin. Jego nazwa pozwala się domyślać, że preferował taneczne uciechy, bar z wódeczką i zagrychą przy solidnym szynkwasie albo na wysokich stołkach przy amerykańskim barze pamiętającym jeszcze sędziwego pana Moskowitza-Aleksandrowicza, la belle epoque i weltkrieg. Jego oferta miała charakter niezmienny. Obowiązywała zarówno w karnawale jak i w okresach wielkopostnych interwałów.

Kabaret „TABARIN” Kabaret

DANCING - BAR

właśc. H. GORTITZ

Katowice, Pierackiego 17/19, tel. 350–93.

Codziennie występy artystyczne. W niedzielę i święta Five o Clock.

W 1936 roku o kolejnych aferach dyrektora Rosenberga pisały katowickie gazety. Tym razem okazało się, że od angażowanych w kabarecie tancerek i muzyków wyłudzał pokwitowania odbioru gaży i nie regulował obiecanych honorariów. Nie zwracał również kaucji pieniężnych pobranych od szatniarzy i kelnerów. W obronie pokrzywdzonych wystąpił prokurator. Rosenberg z uśmiechem kabaretowego trefnisia, białad, że jest ofiarą nalogu karcianego i wszystko przepuścił przy zielonym stoliku. Obiecował, że jego długi pokryje bogata teściowa.

Równocześnie z „Feminą”, jako właściciele domu przy Pierackiego 19 wciąż pozostawali Aleksander i Marceli Moscovitzowie. W plotkarskim grajdołku szemrano, że są krewniakami Moszkowiczów, legendarnych właścicieli stołecznej „Adrii” a poprzednio „Bagateli” oraz „Warszawy” we Lwowie. W Katowicach przy Querstrasse 17/19 zadowolili się już przed wojną. Wtedy też pojawił się tajemniczy Alexandrowicz – dyrektor Zjednoczonych Scen Artystycznych. Zmarł nagle pod koniec lat 20. Pozostawił dwoje dzieci. Opiekę nad nimi powierzył dobrym znajomym. Jednym z nich był niejaki Benno Brettner, który poza kabaretem zajmował się także promocją sławnego „Rosolisu” i innych spirytualiów z fabryki likierów hr. Potockiego.



Benno Brettner, dystrybucja likierów z Łańcuta. Restaurator śląski 1927

W 1934 roku do sądu dotarło oskarżenie prokuratury przeciwko Brettnerowi. Nie wypłacał sierotom należnego im subsydium wycenzonego na kwotę 800 tysięcy złotych i zmuszał je do pracy w kuchni. Przy okazji świadkowie zeznawali, że Brettner jako tymczasowy zarządca kabaretu „Apollo”, od występujących tam tancerek pobierał haracz „w naturze”. Tancerki, które nie uległy lowelasowi, utraciły natychmiast pracę.

Prawdziwie *qui pro quo* w kabaretowym stylu rozegrało się daleko za kulisami teatryku „Apollo”. W latach 1935 i 1936 poszło o schedę w postaci inwentarza krótko istniejącego kabaretu „Femina”. Wspólnicy Moscovitza: Nathan Laub, Benno Brettner wraz z ich totumfakcym Kubą Rosenbergiem – manipulując aktami kupna sprzedaży – oszukali skarb państwa na sumę ponad 140 tysięcy złotych. Do dziś trudno ustalić kto był kim w tej zagmatwanej przekładance pieniędzy z rączki do rączki. Z łamigłówką poradzili sobie prokuratorzy, adwokaci i sędziowie sądu okręgowego w Katowicach. Najlepiej wyszedł na tym restaurator Gorlitz, który ze swoim „Tabarinem” rozstał się dopiero po zajęciu Katowic przez niemieckich faszystów.

Przy Stawowej 19

W latach 20., z roku na rok coraz bardziej ambitnie anonsowały się programy Michała Aleksandroffa, szefa kabaretu kwaterującego na rogu Stawowej i Młyńskiej na pierwszym piętrze.

Trocadero

Katowice, ul. Stawowa 19

Dyr.: M. Alexandroff.

Największy i najwspanialszy teatr na Polskim Śląsku!

Co wieczór:

Wielki nowy program

Występy – śpiewy – tańce

Oryginalna Jazz-band-Kapela.

W każdą niedzielę:

2 przedstawienia!!!

Przedsiębiorczym konkurentem dla „Trocadero” był znajdujący się tuż za ścianą nocny lokal o nazwie „Pod Nową Gwiazdą”.

Polecam Szanownej Publiczności mój lokal jako czysto polski, (reklamował się restaurator Roman Radziszewski) kuchnia warszawska, bufet zaopatrzony w pierwszorzędnych firm krajowych, wódki i likiery z pierwszorzędnych firm krajowych, Cognac francuski.

Codziennie koncert artystyczny.

Lokal otwarty do godz. 1-szej w nocy.

Na przełomie stycznia i lutego 1926 roku hitem sezonu karnawałowego w „Trocadero”

(przynajmniej na afiszu) był „Pierwszy wielki bal kostiumowy”. Jego co niemiara obiecująca promocja: „Jedna noc w Japonji” zapewniała „Wspaniale udekorowane sale! Wiele niespodzianek!”. Afisze w prasie i na litfasach rozpały wyobraźnię: Kraj kwitnącej wiśni otaczał mit światowego mocarstwa, modnego, egzotycznego i atrakcyjnego cesarstwa z zadziwiającą kulturą i obyczajowością.

Trocadero Tel. 553 Sobota, 30. stycznia Pierwszy wielki bal kostiumowy: Jedna noc w Japonji Wspaniale udekorowane sale! Wiele niespodzianek! Uprasza się o przybycie w kostjumach albo strojach wieczorowych. Otwarte do godziny 5-tej rano. Wstęp wolny. Uprasza się o przedwczesne zamawianie stołów”; „Polonia” nr 31 z 31 I 1926 r., s. 8.

W 1926 roku, gdy dyrektorem kabaretu „Trocadero” została pani Rosita Press zapanowała tam bardziej kawiarniana a może domowa atmosfera. Teraz lokal rozrywkowy kuśił jako „Najpiękniejszy pałac tańców Górnego Śląska. Zadziwiająco tanie ceny. Wolny wstęp. W niedzielę i święta o 5 godz. herbatka” to jest towarzyskie spotkanie w doborowym gronie płci pięknej, a potem nocne balowanie w ramionach fordanserów lub nie zawsze osobistych panów męzów.

Nad ranem, w czwartek 12 października 1933 roku „Trocadero” zupełnie przypadkowo zaplątało się w ponurą i tragiczną katastrofę fordansera Jana Malisza z Krakowa, który kil-

ka dni wcześniej zamordował młodego listonosza Przebinię i dwoje starszoków o nazwisku Suesskind. O zbrodni pisały gazety w całym kraju. Depeszowiec „Gazety Robotniczej” relacjonował wrażenia katowickich detektywów ze spotkania z bandytą:

W chwili wkroczenia policji do lokalu Malisz stał przy bufecie, popijając wódkę. Malisz posiadał przy sobie w wewnętrznej bocznej kieszeni portfel, zawierający przeszło 14 tys. zł., oraz rewolwer z 8 nabojami, z którego jednak — nagle zaskoczony — nie zdążył zrobić użytku.

Tamto wydarzenie przepełniło czarę publicznych utyskiwań na drożyznę i podejrzaną ferajnę nocnego lokalu pod szyldem „Trocadero”. To był ostatni sezon w jego kronikach.

40 lat później katowickie „Trocadero” trafiło na ekrany polskich i zagranicznych kin. Pełnometrażowy, fabularny film o Maliszu i jego zbrodni nosił tytuł „Na wylot”. Na srebrnych ekranach pojawił się w 1973 roku. Jego reżyserem i autorem scenariusza był Grzegorz Królikiewicz zafascynowany nieco innym środowiskiem społecznym niż to, które w tym czasie ukazywała „Perła w koronie” Kazimierza Kutza.

Teatr Rewiowy „Rarytas”

Otwarty w 1934 roku zastąpił leciwie „Trocadero”. Zasnął z pięknych tancerek firmowego ansamblu oraz pierwszego polskiego, literackiego kabaretu nazwanego „Rarytas”. Konfiansjerki prowadził Bolesław Surówka, reporter i dziennikarz katowickiej „Polonii”. Potem w tej roli występował Feliks Konarski a następnie Edward Czermański. Na estradzie artyści prezentowali autorskie jednoaktówki, monologi, piosenki, skecze, kuplety, scenki parodystyczne itp.

„Rarytas” był prywatnym przedsiębiorstwem Adama Imieli-Wojtaszka, znanego menedżera i tuza branży reklamowej. Jego dobrymi duchami było kilku inteligentów z aspiracjami. Przewodzili im red. Surówka i błyskotliwy literat Romuald Pitera po wojnie znany jako redaktor wydawnictwa „Śląsk” a potem dy-



Katowice, dawny hotel „Kaiserhof”, reklama z przełomu wieków

rektor Instytutu Wydawniczego PAX. Powołując do życia nowy kabaret postanowili zerwać z drobnomieszczańską tradycją wertewskiego i zmysłowego salonu. sprawę postawili po męsku: „*żadnych tingel-tangłów, tylko scenka kabaretowo-satyryczna z odpowiednimi ambicjami artystycznymi*”.

Gdy katowicki teatr wystawił szekspirowskiego Koriolana, do złudzenia przypominającego marszałka Józefa Piłsudskiego, Surówka napisał drwiącą parodię pomnikowej inscenizacji gromko oklaskiwaną przez sympatyków i wielbicieli Rarytasu. Spod jego pióra wychodziły wiersze i teksty satyryczne. Prezentowali je katowiccy artyści bądź gwiazdy lwowskich, krakowskich i warszawskich teatrzyków rewiowych ceniące sobie brawa i bukiety kwiatów śląskich miłośników ekskluzywnych zabaw literackich.

Pierwszym kierownikiem artystycznym w „Rarytasie” był śpiewający aktor Tadeusz Pilarski, utalentowany wykonawca kabaretowych szlagierów, szef sławnych rewii i teatrzyków: „Gong” w Krakowie, „Hollywood” i „Nowy ananas” w Warszawie. Piosenką, tańcem i dobrą grą aktorską bawili publiczność: poetka, aktorka teatralna i operetkowa Ola Obarska, gwiazda stołecznego „Qui pro quo” Serafina Talarico i wielu innych.



Tadeusz Pilarski. Internetowa Encyklopedia teatru

Maestro Konrad Ostrowski, poprzednio baletmistrz rewii w warszawskim kinoteatrze Hollywood był choreografem zespołu fertycznych „Rarytasek” rodem ze Śląska. W stołecznym teatrze wodewilowym, jako gwiazdor tańczył z Lili Larys vel Heleną Płaczkiewicz, po drugiej wojnie światowej mieszkającą w Katowicach przy ulicy Matejki.

W 1935 roku w programie Teatru Rewiowego „RARYTAS”, codziennie w godzinach wieczornych katowiczanie oklaskiwali dwa przedstawienia z konferansjerką sławnego już Ref-Rena prywatnie Felka Konarskiego. Nie wszyscy wiedzieli, że ten humorysta – emo-

cjami słuchaczy manipulujący jak dyrygent orkiestrą – jest prawnikiem z zawodu a futbolistą z zamiłowania; jako napastnik grał w barwach warszawskiej Polonii. Opowiadał dowcipy i zapowiadał artystów – ich estradowe kreacje i sekrety zakulisowych wydarzonek. „Z utworów Ref-Rena zachowały mi się w pamięci monolog „Baloniarza”, pt. „Szanowanie Władzy”, wykonany przez Eugeniusza Nowowiejskiego, skecz „Mars i Aniołek Pokoju” (Nowowiejski i Oleńska) skierowany przeciwko Hitlerowi; oraz skecz „Precz z polityką!” również skierowany przeciwko Hitlerowi.” – wspominał red. Surówka.

Wszystko to odbywało się pod transparentem „Na wesołej fali”. Konarski był wtedy kierownikiem artystycznym. Program się podobał. Wiosną 1935 roku był pokazywany we wszystkich miastach Górnego Śląska.

Swoje sam na sam z publicznością kabaretu przy Stawowej 19 miały takie gwiazdy jak: Bułatówna, Biszewska, Oleńska, Relska, Kondracki i Nowowiejski.

„Szturmem zdobył sobie uznanie publiczności” kolejny program kabaretowy Konarskiego. Jego lejtmotywem i tytułem był „Uśmiech Katowic”. Recenzent „Polski zachodniej” nie posiadał się z zachwytu:

Arcywesołe skecze, będące specjalnością „Rarytasu” wywołują bezustanny śmiech i zrywają głośne brawa w czasie akcji. Zwłaszcza skecz „Gwałtu warjat” z doskonałymi wykonawcami S. Talarico, dyr. 15. Czermańskim i kapitalnym A. Aleksym jest perełką skeczową. Pozatem S. Talarico pięknie odśpiewała piosenkę p. t. „Dwie róże” a p. Konarska z wdziękiem podała swoje lekkie piosenki. Wymienić również należy A. Aleksiego w doskonałym i zabawnym monologu „Precz z wojną” oraz Bolcia Kamińskiego ucieszenie odtwarzającego swoją teorię Darwina.



Feliks Konarski. Stare-Melodie.pl

Wysoki, szczupły śpiewak rewiowy, zawsze rzęsiście oklaskiwany Feliks Konarski na afiszach anonsowany jako Ref-Ren trwale zapisał się w pamięci katowickich melomanów. Od 1944 roku jest znany jako autor *Czerwonych maków na Monte Cassino*, a wcześniej

jako artysta teatrzyków Qui Pro Quo, Mignon, Wesoły Murzyn i Morskie Oko. To on jest autorem takich przebojów jak: *Wiosna, wiosna jest nareszcie*” *Gdzie twój tata, smarkata, Pięciu chłopców z Albatrosa*, polka *Strażak* znana bardziej jako *Tu się pali jak cholera...* W czasie II wojny światowej jako kierownik orkiestry wojskowej towarzyszył żołnierzom 2. Korpusu generała Andersa, był „najbardziej popularnym i kochanym przez nich artystą”.

Bale przy brydżu i jazzbandzie

Dr Barbara Maresz w monografii poświęconej katowickim lokalom rozrywkowym, zwraca uwagę na szczególną słabość katowiczaniek do muzykowania w modnym, amerykańskim stylu: *Bardzo popularne w dwudziestoleciu międzywojennym były wszelkiego rodzaju zespoły jazzowe. W Katowicach w „Monopolu” grywała słynna z warszawskich lokali orkiestra jazzbandowa Szymona Kataszka i Zygmunta Karasińskiego, w kawiarni „Cristal” salonowo-jazzbandowy zespół Karola Wynena, w restauracji „Oaza” zespół muzyczny Jakuba Kagana, a w „Astorii” żeńska orkiestra jazzowa „Femina”, czy też znane z występów w Polskim Radio: grupa „Hallo Boys” i orkiestra jazzowa „Jolly Boys” Goldberga i Berlanda.*

Rozrywkowe szaleństwa postrewolucyjnych lat dwudziestych przypominały wielką, międzykontynentalną eksplozję życia i optymizmu. Poprzez eter, płyty gramofonowe i kinematograf muzyka jazzowa jak sejsmiczne echo gigantycznego afroamerykańskiego wulkanu docierała na ulice, do kawiarni, restauracji, odeonów i teatrzyków całej Europy. W karnawałowych Katowicach, tak jak i w innych, kulturalnych stolicach Polski najulubieńszą rozrywką elit towarzyskich stał się dancing, czyli zabawa na parkiecie kawiarni lub restauracji – koniecznie przy swingującym big bandzie z dobrym perkusistą, śpiewem zaczarowanych trąbek i puzonów oraz chwytającym za serce melodyjnym łkaniu saksofonów i klarnetów.

W latach trzydziestych nie tylko w kawiarniach i restauracjach, ale także na ekskluzywnych balach wypadało grać w brydża i tańczyć przy dźwiękach jazzowej kapeli. Po wybudowaniu nowej katowickiej siedziby Sejmu i Województwa Śląskiego, specjalne stoliki do gier karcianych i orkiestrę z afroamerykańskim repertuarem zapewniał dystyngowany majordomus dbający o wyposażenie i obsługę balów organizowanych w dostojnych salach recepcyjnych gmachu wojewody i marszałka Sejmu Śląskiego.

Tutaj 18. marca 1934 roku odbył się bal pod nazwą „Wieczór śląsko-lwowski”.



Wieczór śląsko-lwowski. Zaproszenie, fragment ze zbiorów BŚ

Zapraszało „TOWARZYSTWO POLEK” oraz „KOŁO LWOWIAN” na ŚLĄSKU”. Protektorami filantropijnego koncertu byli: marszałek Konstanty Wolny i wojewoda Michał Grażyński. Inwytacje na bal wykupiło ponad 250 katowickich prominentów, notabli i dygnitarzy. Wielu spośród nich znalazło się na pamiątkowej fotografii z marszałkiem Wolnym i wojewodą Grażyńskim. Jedynej jej egzemplarz ocalał w zbiorach Muzeum Niepodległości w Warszawie, w kolekcji „Leopolis”. Nieznany fotograf uwiecznił na niej wicewojewodów, wysokiej rangi funkcjonariuszy Wojska Polskiego i Policji z generałem Zającem i komendantem Żółtaszkiem na czele. Są tam szefowie rad nadzorczych i dyrektorzy największych kopalni, hut, banków, domów handlowych, hoteli, lokali gastronomicznych, prezesi sądów, adwokaci, lekarze, artyści i wiele innych wybitnych osobistości znanych w mieście, regionie i kraju. Są też wygnañcy z kresów wschodnich – z Lodomerii, Galicji i Bukowiny, którzy w czasie I wojny światowej lub po jej zakończeniu znaleźli dach nad głową w Katowicach i uznali je za swój drugi dom. Dochód z wielkiej zabawy karnawalowej, w całości przeznaczony na doposażenie i doprowiantowanie przedszkoli dla dzieci bezrobotnych rodziców.

Na powitanie orkiestra reprezentacyjna śląskich kolejarzy pod batutą Jarosława Leszczyńskiego zabrzmiała dynamiczną uwerturą do opery „Halka” Stanisława Moniuszki. Konferansjerkę prowadził przystojny i uwodzicielski Stefan Czajkowski, w katowickim teatrze najczęściej obsadzany w roli amanta.

Wedetą wieczoru była prof. Elżbieta Jęfimecowa, śpiewaczka operowa i operetkowa Krakowskiego Towarzystwa Operowego. Prezentowała arie włoskich i francuskich kompozytorów. Na życzenie audytorium dwukrotnie bisowała.

Po wesołym i dowcipnym monologu o przygodach „marynarza łgarza” rozległy się głośnie brawa „huczało jak w ulu” zanotował anonimowy recenzent „Polski Zachodniej”. Interpretatorką satyrycznej rymowanki była Zofia Barwińska, aktorka Teatru Polskiego w Katowicach znana także ze scen Krakowa, Warszawy i Poznania.

Na estradzie wielkiego balu z pieśniarską, muzyczną i taneczną rewią, honorowo wystąpił prof. Stanisław Ligoń, ulubieniec radiosłuchaczy i miłośników teatru znany jako Karlik z Kocyna, wzięty gawędziarz folklorysta a zespół taneczny „Towarzystwa Młodych Polek” – z pokazem obrzędowego „Goika” dedykowanego panu wojewodzie słynącemu z wielkiego umiłowania ludowych tradycji Ślązaków.

Z gorącym, owacyjnym przyjęciem spotkali się Kazimierz Wajda i Henryk Vogel-fänger czyli „Szczepko i Tońko”, humorysty, przedwojennym Polakom znani z lwowskiej „Wesołej Fali” satyrycznej audycji emitowanej przez kresową rozgłośnię Polskiego Radia

Ich bałakanie najbliższe było sercom ślą-



Szczepko i Tońko, kadr z filmu „Będzie lepiej”

skich kresowiaków. W zabawnym dialogu Szczepko kształcił Tońka w historii. Tematem tej lekcji był rozbiór Polski.

Klarował mu i klarował, a Tońku ani rusz nie kapuje. Ale Szczepek „jest bardzo mon-dry”, zdołał wszystko bez bicia wytłumaczyć tak, że Tońko nareszcie zrozumiał.

Co to się działo wtedy! Jedni słuchali w skupieniu, a tylko oczy im się śmiały. Kilku widziałem takich, którzy słuchali z jakimś rozrzewaniem, na twarzy mieli jakiś uśmiech nie z tego świata, w oczach im się szczęście przeglądało, a w duszy pewnie mieli niebo. To lwowiaci. – zauważył sprawozdawca katowickiej gazety.

Skończyli i kłaniali się długo. Tak długo aż przycichły nie kończące się brawa i skandowania. Musieli uciekać przed nawałą serdeczności. Mówili, że z takim przyjęciem nigdy się nie spotkali.

Tońko zwierzał się dziennikarzowi:

— *Braci, ja sobi życzę, żeby te kochane Ślōnzaki mieli tyle serca dla Lwowa, Lwów ma dla nich.*

A Szczepko dodał:

— *Tyle roześmianych twarzy. Takie serdeczne przyjęcie, taka miła atmosfera. Nie jestem w stanie wyrazić w słowach mego podziękowania. Jesteśmy po prostu zaskoczeni.*

Długo jeszcze bawili się wszyscy. Towarzystwo w strojach wieczorowych przeniosło się do salonów, gdzie dla miłośników Terpsychory grały orkiestry a „część różną w bridża”. Poza katowicką sosjetą w balu uczestniczyło wielu danserów, którzy wykupili zaproszenie za symboliczne 3 złote.

Prócz tradycyjnych orkiestr tanecznych grała dixielandowa kapela. „Bufet zimny i ciepły” serwował pyszne zakąski a wodzireje prześcigali się w towarzyskich niespodziankach i tanecznych swawolach aranżowanych na parkiecie.

Na entuzjastów pasjonującej rozrywki jaką był w tamtych latach brydż, czekały stoliki karciane ze specjalnymi czterema mniejszymi stoliczkami w narożnikach. Tam kelnerzy układali papierosy, zakąski, desery i napoje zamówione przez brydżystów pochłoniętych licytacją i zagarnięciem wszystkich trzynastu lew.

Katowiczanie a jeszcze chętniej kato-

wiczanki tańczyły w rytm amerykańskich przebojów natomiast w muzycznych i plotkarskich antraktach – jakby nigdy nic – licytowały i pasowały w brydżowych kalkulacjach. Podobnie było podczas balu Sylwestrowego odrywającego się w nowoczesnym gmachu Syndykatu Węgla i Żelaza przy ulicy Lompy 14 w Katowicach. Jego protektorami były zarówno nobliwe jak i po kobiecemu odrobinę ekscentryczne damy z „katowickiego Klubu Brydżowego Pań”. Swoje regulaminowe rozgrywki – wspomagające talent i doświadczenie niezbędne do osiągnięcia olimpijskiej klasy w posługiwaniu się wielką talią 52 kart – odbywały w Sali kawiarni „Monopol” przy ulicy Dyrekcyjnej 2. Podziw i zachwyt wzbudzały zwinnością delikatnych dłoni i paluszków taksujących karty z wdziękiem i sprytem nie mniejszym niż prestidigitator podczas iluzjonistycznych seansów.

Po mistrzowsku zadbały o stylowy wystrój i nastrój wielkiej zabawy jaką witały nowy 1935 rok. Stoły do brydżowej uczty, zgodnie ze wskazówkami ówczesnej mody nakryły „specjalnymi serwetkami, najmodniejsze z jedwabiu, znacząc je misternie ręcznym haftem w uświęconych barwach: czerwonej i czarnej”, czym przypominały kolory trefli, pików, kierów i karó. Gdy dzwony na pobliskiej biskupiej katedrze Chrystusa Króla wybiły północ radosne i przepętnione optymizmem damy życzyły sobie zwycięstwa w pierwszych Brydżowych Mistrzostwach Europy Kobiet – mających się odbyć w Brukseli, w rozpoczynającym się właśnie nowym roku.

Tej nocy uroczym i ambitnym brydżystkom do tańca grała sławna warszawska orkiestra tangowa Artura Golda i Jerzego Petersburskiego, mistrzów muzyki południowoamerykańskiej i prekursorów polskiego jazzu. Na powitanie nowego roku wykonali swój firmowy szlagier „Gdy Petersburski razem z Goldem gra, jazzbandu te Ajaksy dwa”. W chwilę później wraz z widownią odśpiewali „Tango Milonga”. Jak grali można posłuchać w internecie:

https://staremelodie.pl/kompozytorzy/13/Artur_Gold

Zmierchowi tzw. sztuki konceptualnej we Francji towarzyszy intensywna debata teoretyków i twórców. Uczestniczy w niej nasz rodak, Ślązak, Piotr Sobotta, malarz i architekt (światowej sławy autorytet w dziedzinie architektury szpitali). Piotr Sobotta – jako skoczek wzwyż – reprezentował Polskę na Olimpiadzie w Rzymie (1960). Od pół wieku mieszka i tworzy we Francji, gdzie debaty artystyczne są – w przeciwieństwie do Polski – naprawdę gorące. Ale tam wiedzą, że walczą o przyszłość sztuki świata. Że sami tę przyszłość wyznaczają, nie oglądając się na zagranicę. Warto poznać i osobliwy styl tamtejszych dyskusji, i argumenty. /Red./.

O sztuce i niesztuce

PIERRE SOBOTTA

Nie jest łatwo, nawet zawodowcom, wypowiedzieć się na temat walorów artystycznych jakiegokolwiek dzieła sztuki z powodu inflacji licznych retoryk i natłoku obiegowych bredni. Dla zwykłego amatora sztuki jest to zadanie wywołujące zgrzytanie zębów, skurcze mięśni twarzy i zaniemówienie. Sprawa jest mniej uciążliwa, gdy chodzi o wypowiedź na temat utworu muzycznego. Łatwiej wtedy o deski ratunkowe: temat opery, tusza pierwszego sopranu, czkawka tenora, atrakcyjność albo tandeta kostiumów, dekoracji itp.

Czasem jednak jakiś perfidny amator sztuki poprosi o opinię na temat właśnie walorów muzycznych na przykład *Wariacji Goldbergowskich* Bacha czy *Wielkiej Fugi* Beethovena i tu nawet krytycy upodobią się do pospolitego słuchacza. Buzia sztywnieje, a kłopotowy bełkot odnosi się tylko do osoby wykonawcy, nastroszenia fortepianu, jedwabnego dotyku klawiszy, romantycznego ducha, jakości oświetlenia, akustyki sali i często... smaku ciastek w barze, co dla opinii jest bardzo zawodowe (mimo złych ciastek) i niestety opinię tworzy, a natura wzruszenia, istota utworu jest nieobecna, niedostępna, także obojętna krytykom, bo: nie do sprzedaży!

Nicowanie nicości

Te groteskowe przykłady, nie całkiem pozorowane, są ilustracją sytuacji odwiecznej, którą nazywam *nieporozumieniem ogólnym* na temat sztuki. Zwykle bowiem jesteśmy przekonani, że kontakt ze sztuką zależy od znajomości konwencjonalnych opinii, a ich brak, wstydlawy dla wykształconego obywatela, jest katastrofą dla krytyka, bo ten rodzinę i siebie wykarmić musi, pisząc na temat tego, czego nie pojmuje.

Nieobecność istoty artystycznej dzieła w komunikacji z odbiorcą, za którą trudno nie winić krytyków, teoretyków i filozofów, jest bazą aroganckiej „sztuki” konceptualnej w jej wszelkich formach i przejawach, stanowiąc skandal historyczny i hańbę dla *homo sapiens*. **We współczes-**

szej sztuce konceptualnej realizacja artystycznego celu nie jest konieczna, wystarczy opis wytworu wyobraźni i deklaracja wytwórcy. Nie dzieło, lecz koncept i działanie – w tym nicowanie nicości – jest fundamentem dla apologetów dadaizmu (M. Duchamp, A. Breton).

Nasza wrażliwość na sztukę jest w podobnym stopniu wrodzona jak zdolności językowe. Świadczą o tym nasze relacje ze sztuką: uczuciowe, cielesne, spirytualne. Wyrażane od głębi czasów formy, jak te tworzone w prymitywnych warunkach na ścianach grot prehistorycznych, dalej: niezwykle wyrafinowane estetycznie, trybalne obiekty rytualne i użytkowe, a dziś: malarstwo dzieci, fascynujące dzieła malarzy naiwnych i pewne produkcje cierpiących psychicznie... To wszystko bywa błędnie klasyfikowane jako prymitywne, naiwne, brutalne. A to jest: SZTUKA!

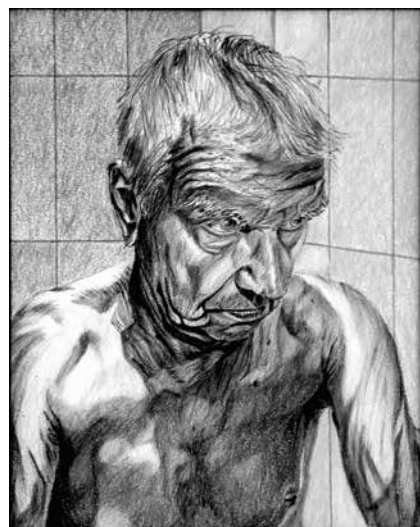
Więcej niż świadkiem, oczywistością naszych atawistycznych relacji ze sztuką – w sensie przekroczenia siebie – są ekstrawaganckie, nieosiągalne dzisiaj założenia urbanistyczne i architektoniczne (Karnak, Angkor, Akropol, Teotihuacan), wyłącznie rytualne, w których siła i inteligencja wyrażania rytualności jest fascynująca, zbijając z tropu takich ateistów, jak ja.

Te aspekty działalności artystycznej człowieka są przedstawione obficie w stroju etno-antropo-socjalnym, filozoficznym, sakralnym i *tutti quanti*, ignorując naszą wrodzoną intymność obcowania ze sztuką i jej istotą, co w żadnym wypadku nie znaczy, że każdy jest artystą, jak trąbił Joseph Beuys, opierając łokieć na puszcę gówna, o którą biją się, naszymi pieniędzmi, kustosze z muzeów.

Argumentację w kwestii *nieporozumienia ogólnego* (równoczesna obfitość danych generalnych i nieobecność autentycznych walorów artystycznych) oprę na malarstwie, bo to nie wymaga specjalistycznego języka ni atrybutów kulturalnych i innych narzędzi poza okiem.

O (nie?)konieczności piękna

Obraz, w sensie powszechnym, to jest najpierw... obraz. Znaczy to, że obraz **coś**



Autoportret autora

przedstawia, ilustruje w jakimś miejscu i momencie: osoby, pejzaże, wydarzenia, obiekty... Następnie bierzemy pod uwagę: znajomość autora, tytułu, posiadacza, cenę, lokalizację (mniej wart ten, co wisi w kuchni) i ikonografię. Jest to zgodne z deontologią krytyków przekonanych, że „więcej wiedzieć” znaczy „więcej widzieć”. Te dane logistyczne i lingwistyczne, zbiór informacji praktycznych w sosie retoryki krytyków, tworzą naszą i ich kulturę artystyczną, niezawierającą **ani jednego waloru** artystycznego i emocjonalnego w sensie, jaki Leszek Kołakowski nadał pytaniem: *co jest artystycznym w sztuce, filozoficznym w filozofii, naukowym w nauce, religijnym w religii...*

Paradoksalnie, oglądając dzieło, po krótkim rzucie oka bez wahania jesteśmy w stanie wyrazić nasz zachwyt, obrzydzenie, obojętność, a nawet oszacować piękno czy brzydotę. W moim przekonaniu – zdrowy umysłowo krytyk w swej intymności reaguje podobnie, ale oficjalnie nie może się przyznać. Zdrowy rozsądek jest po stronie przechodnia, kiedy reaguje on spontanicznie w obrębie swego **zasięgu kulturowego**, zawierającego gust i intuicyjne oceny estetyczne (‘estetykę’ rozumiem tu jako zespół reguł, wiedzy uniwersalnej, wzbogacającej się od starożytności, w przeciwieństwie do pauperyzacji estetyki i podziału na kicz, tradycję, folklor. U źródła sztuki konceptualnej panuje przekonanie, że „wszystko” jest sztuką, „każdy” jest artystą).



Zdanie Kanta: *Jest piękne, co bez rozumowania, powszechnie się podoba* aktualizuję: *Dzieło jest piękne, jeżeli zawiera cechy, które powodują że podoba się ono wszechstronnie, nie wymagając wyjaśnień*. Kant trafnie wyraził **nieelitarną i nieracjonalną** rolę piękna w sztuce. Wobec braku definicji jasnej i prostej na temat, co sztuką jest, a co nie, proponuję dwa uproszczone punkty widzenia.

● **Dziełem sztuki** jest nie to, co nim deklarowane, ale utwór tworzony przez człowieka, nieprzeznaczony do żadnego użytku oprócz **intencji** bycia dziełem sztuki, wykonany przez kogoś (artystę na ogół), kto posiada umiejętność realizacji dzieła w celu wywołania u odbiorcy reakcji emocjonalnej, wrażenia estetycznego (takie ujęcie obejmuje sztukę użytkową w przemyśle i architekturze, ale niestety nie wyklucza „sztuki” konceptualnej).

● **Piękno dzieła sztuki** to problem bardziej skomplikowany. Pierwszy aspekt – bezsporny – zamykamy od razu: piękno ani brzydota dzieła sztuki nie decyduje o jego wartości artystycznej. Inna sprawa, że piękno wydaje mi się cechą przyrządzoną, uprzywilejowaną ogólnie do takiego stopnia, że stało się prawie synonimem sztuki. Ale to dopiero początek.

Akademia Sztuk Szpetnych

Wielka redukcja: piękno=radość, brzydota=smutek skłania do kojarzenia sztuki z estetyczną satysfakcją w przeciwieństwie do obrzydzenia, prowokowanego przez wyrażenie cierpienia, męk, agonii i innych form egzaltacji brzydoty, przedstawiającej „głębię duszy”. Szpetota jest prawie jednogłośnie identyfikowana jako szpetota w przeciwieństwie do rozbieżności gustów dotyczących piękna. Tu z pewnością absolwenci Akademii Sztuk Brzydkich pociski na mnie przygotowują: kostki z bruku – stale we Francji modne.

Wiemy, że piękno zależy od gustu: wrodzonego (?), nabytego (?), ale nie wiemy, co je stanowi. Co zrobić, jak po perzynnym wywodzie uczciwego teoretyka i jego przekonującej argumentacji, cierpliwym widz, słuchacz również uczciwy wstanie i powie: „to świetne, wszystko zrozumiałem, gratulacje, ale... mnie się to nie podoba!”

W Anglii, kraju legendarnych wyczynów kulinarnych, hodowanie szpetoty jest albo instytucjonalnym, albo ukrytym sportem narodowym. Świadczą o tym dzieła Jenny Saville, Pauli Rego, późnego Luciana Freuda i Francisca Bacona, którego obrazy są prawie powszechnym synonimem odrazy, nawet odmowy spojrzenia. Dla mnie i innych są wzruszającymi, ładnymi dziełami. Skąd to przeciwne podejście? Trudności życiowe Bacona, wyrażone w obrazach, są nieodłączne od ich całości; to ich przedmiot. Całość, realizowana z niezwykłym wyczuciem harmonii estetycznej, stanowi walor, który decyduje o wrażeniu, jakie dzieło na mnie

wywiera, bo jest prawdopodobnie zgodne z moją i innych wiedzą estetyczną.

Kryteria oceny

Zmieniają się nastroje. Po okresie względnej ciszy w estetyce, wokół sztuki zapanał stan chaosu i konfuzji. Lawiny informacji i sprzeczne teorie, niezdołne do sformułowania nawet jednego niesprzecznego pojęcia o istocie, sednie sztuki i ocenie jej wartości. Być może jest to moment kształtowania się nowych definicji. By tego momentu nie przegapić, proponuję następujące kryterium oceny wartości artystycznej dzieła: **potencjalność tworzenia stanu zdolnego wywołać w nas reakcję emocjonalną natury ekskluzywnie artystycznej (estetycznej) niezależnie od tego, czy dzieło jest świadkiem innych emocji i wyrażeń**.

Sformułowanie to symbolicznie odpowiada pasji artysty, bez której dzieła nie ma, a jednocześnie wyraża subiektywność percepcji odbiorcy i twórcy; stanowi ich nieznormalizowany zwornik. *Guernica* Picassa nie jest dziełem transcendentnym w odniesieniu do kanonów estetycznych, raczej jest to zbiór prawie przypadkowo rozłożonych fragmentów, których układ stanowi całość jednorodną, wyrażającą tylko... cierpienie. Siła, przekonawalność, uniwersalność promieniująca z obrazu czyni z niego niezwykle wzruszający monument sztuki.

Wytwórcy opinii

Nie mogę pominąć kłopotliwych fenomenów, dostarczanych przez sztukmistrzów i fakirow, takich jak takso-krytycy i filozofowie lub uważani za takowych.

Takso-krytycy to ci, co manipulują: stylem, nurtem, tendencją. W ich artykułach najłatwiej znaleźć terminy encyklopedyczne: gotyk, renesans, barok, klasycyzm, impresjonizm, abstrakcję, rock, pop, jazz, ekspresjonizm, symbolizm. Kategorie znaczeń tworzą arsenał i warsztat, w którym takso-krytycy majsterkują jak pstrągi w płytkim strumieniu, instrumentalizując porównania, zachwy-

ty, oburzenia... polemizują wysławiając, obniżając i oceniając potocznie w zasięgu tych pojęć.

Typowy przykład (tygodnik LOBS nr 2818 str. 83): *Ten był przyjacielem artysty i to powiązanie przynosi całości związanej wartość i spójność przyjazną. Joan Miró to nie kaplica. Jak przypomina kurator wystawy, on zwrócił swój wzrok do mistrzów, co go poprzedzili jak Cezanne i potem kubiści; on następnie brał udział w wiersze surrealistycznym lat 1920... Wszędzie ta sama próżnia od początku do końca. To robienie na drutach nicości, tyle cyniczne, co głupie szufladkowanie artystów jak suszone liście*.

A przecież Mozart brał się nie do komponowania utworu klasycznego ale do *Don Giovanniego*, Beethoven – *V Symfonii*, Chopin nie do dzieła romantycznego, ale *Koncertu e-moll*, Michał Anioł nie do rzeźby renesansowej ale do *Dawida!*

Przeciw dyktaturze stylu

Impresjonistów, poza epoką, łączyła nie mglista aura impresjonistyczna, ale wspólna niechęć do akademizmu i akceptacja codzienności. Celem było tworzenie dzieł osobistych, niezależnych od wpływów, czy konwencji. Są oni rozpoznawalni przecież bardzo łatwo, a znów rozróżnić Tyjcjana od Giorgionego to już trudniejsza sprawa. Proste do zrozumienia, ale nie dla krytyków, jest to, że hodowanie stylu jako obiektywnego bytu artystyczne go hańbi artystów, prowadząc niechybnie do konformizmu, rutyny, manieri czyli do samounicestwienia.

Filozofowie. Ci myśliciele dociekliwi, tracący wątek od trzeciej strony, nie zadowolają się prostym wytłumaczeniem. Muszą „tłumaczyć” tłumaczenie, istotę rzeczy, co nie w jej istocie, ale w jej przedstawieniu, którego sposób wymaga wyjaśnienia sposobu... Kliniczne *delirium tremens*. Według ich głębokich wywodów – sztuka i artysta ma jakąś misję do spełnienia, rolę społeczną, polityczną, socjalną, jakieś orędzie do przekazania, ma ideologię podeprzeć i być instrumentem walki klas... Szkoda czasu. Oczywiście absurdalność postulatów, skłania do pytania, czy nie jest ich intencją czynić z artystów i sztuki... wasalów dyktatury, tyranii i spekulacji finansowych.

Do filozofów (nie do filozofii) zaufanie straciłem, zdając sobie sprawę, że:

– światowej sławy klika psychopatów sadomarksistowskich (Foucault, Derida, Althusser, Lacan, Bourdieu, Barthes, Kristeva, Deleuze...) zakazała dwa pokolenia, głosząc chwałę Lenina, Stalina i Mao. A duch, i nie tylko duch Trockiego, Che i Bractwa Muzułmańskiego jest rozpowszechniany przez ich potomków, krążących po platformach telewizji publicznej i na korytarzach francuskich uniwersytetów.

– Nietzsche – ich ikona – będąc przyjacielem Wagnera, oświadczał, że to ge-



niesz niepowtarzalny, zbawiciel ludzkości, a jego muzyka jest arcydziełem ostatecznym. Pokłócony z Wagnerem tak samo skrupulatnie, metodycznie wyjaśniał, że to półgłówek, nieuk niezdolny, a muzyka prymitywna, bolesna i szkodliwa dla uszu. Tłumy mu wierzą – ich wola. Dla mnie Nietzsche to pacholek szkodzący kolegom i nierzetelny wobec Wagnera.

– Kołakowski – z nich czerpie, ale potulnie uważa, że: *filozof, który nigdy nie odczuł sentymentu, by być szarlatanem, jest tyle nędzny, że niewart czytania.*

– Montaigne cytuje Heraklidesa: *nie znam ni sztuki, ni nauki – jestem filozofem.*

Walory plus i minus

● Z dwóch malarzy – Joana Miró i Paula Klee, których przeciwstawia geometria, a łączy forma ektoplazmatyczna, falujące kreski, dryfujące na tle jednorodnym i wpływ (kontrowersyjny) na muzykę – Pierre Boulez, konkretny kompozytor muzyki konkretnej, wybrał Paula Klee jako źródło swoich natchnień. Dokończył transkrypcji obrazu na muzykę, jak mówił, co sprawiło, że wyjaśnienie ustne dzieła jak np....*explosante-fixe*... zajęło znacznie więcej czasu niż jego wykonanie w IRCAM (instytut muzyczny), co nie uchodzi za wielki wyczyn, bo tam słowa, a nie nuty są na porządku dziennym. Dziwne że Boulez nie zadowolili się wyjaśnieniem ustnym. Byłoby to bardziej sympatyczne dla słuchaczy.

● Wielcy śpiewacy: Enrico Caruso, Jessye Norman, Marilyn Horn, Monserrat Caballé, Luciano Pavarotti... doszli jednostronnie do wniosku, że esencja muzyki jest lepiej wyrażona, jeśli nie jest wyko-

nana w formie przedstawienia teatralnego. Śpiewają więc opery ustawieni w rzędzie. Zgoda, melodramatykę sceniczną można jakoś pominąć, ale podejrzewam, że to jest raczej elegancki sposób przyznania, że aktorami są nie najlepszymi, kostiumy ciasne, dekoracje plastikowe...

● Jan Vermeer – powiesz – echo zachwytu wyraża, cudowny, bezbłędny, naturalny, jak prawdziwy, słowem: perfekt. Dla mnie... za perfekt. Rzeczywisty, pracowity... Za piękne: jego mleczarka, astronom, geograf. Damy liczne ze szczęśliwym uśmiechem są sztywne, martwe, sztuczne, wytopione z wosku, otoczone mnóstwem mebli, ciężkich tkanin. Idealne witryny Muzeum Figur Woskowych pani Tussaud w Londynie. 200 lat wcześniej Jan van Eyck namalował *Małżonków Arnolfini* – dwie osoby w ciasnym pokoju, stojące jak miotły, sztywne, symetryczne latarnie, twarze bez wyrazu, kolory surowe, oś (kandelabr, lustro, ręce, pies) a mimo to: obraz pełen życia, promieniujący obecnością, spokojem, harmonią, która przyrzeka nam radosny dzień.

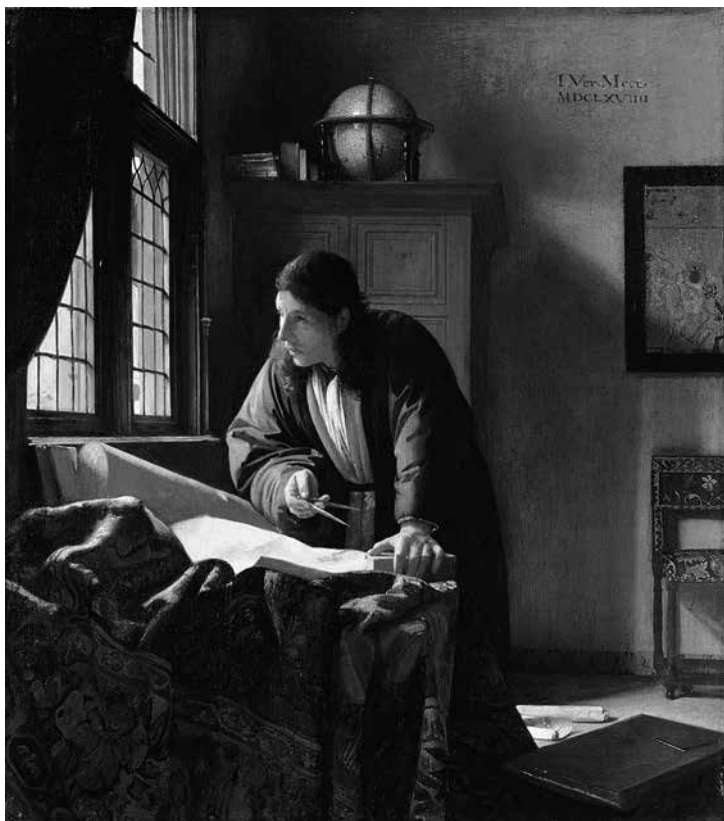
Dla mnie pretensjonalność, jałowość Vermeera wynika z „sorealizmu” XVII-wiecznego i woli przedstawienia szczególnego momentu rzeczywistości – ersatz. A siła, piękność Arnolfinich (wyrażona poza) to wola obrazu – być nim poprzez banalność tematu i ścisłość konstrukcji estetycznej.

● W XVI wieku Giorgio Vasari, sam twórca, napisał historię artystów niedościgniętą ich dzieł; opowiedział o ich życiu, pracy, relacji z klientem, humorze, złości, miłości, trudności i radości, sło-

wem – kim byli, co nam nieporównanie więcej mówi o ich dziełach niż szydełkowane retoryki „wyjaśnienia” zawodowych krytyków.

● Masa ludzi zna obrazy (wrażliwe, estetyczne) z przeszłości, sympatycznego na pierwszy, nawet drugi, rzut oka Davida Hockneya: portrety przyjaciół, rodziny, kochanków i bogaczy kalifornijskich, a także ich pływalnie. Malował też – świetnie – ogrody, terasy i wielkie pejzaże. Ostatnie jego płótna wydają się zrobione przez innego malarza złamanym patykiem i w kolorach, o które byłby zazdrosny niedzielno-popołudniowy łodziarz. Spuchła mu głowa – jego sprawa – spuściła natomiast znacznie więcej komisarom trzech równoległych wystaw w Paryżu i krytykom, co piszczała jednogłośnie tylko zachwytem i podziwem, poza „Le Monde”, który lekliwym głosem wyduślił 2 zdania wątpliwości.

● „Grimaldi Forum” w Monaco (księstwo św. pamięci nimfomanki Grace Kelly) co obok Nicei, gdzie mieszkam, zorganizowało wystawę obrazów Picassa (geniusz uniwersalny), pochodzących z kolekcji prywatnych, pomiędzy którymi było kilka nieznośnych, splecionych w ciągu 10–15 minut. Formy niejasno ludzkie, jakiegokolwiek, kilka grubych, złamanych, falujących kresek, plamy wieloboczne, zaokrąglone, malowane bez kompozycji farbą ścienną, wielkim płaskim pędzlem... Recenzenci w katalogu, międzynarodowa krytyka prasowa – mimo rzucających się w oczy okropności – tylko lawiny zachwyty wyraża, poza „Le Monde”, który cieniutkim głosem szepnął: „pewne obrazy rzeczywiście są brzydkie”.





● „Mona Lisa” – nie znoszę tego mimo wszelkich gróźb, nawet noża gilotyny, ostrzonego przez tłumy wielorzędowe stale zgromadzone przed tą brzydota w złym guście. Grubowata, dłoń obrzękła, kielbaskowe palce, włosy tłustawe wzdłuż jajowej twarzy, której pół uśmiech, pół grymas wyraża przykrość albo zadowolenie po czknięciu trawnym, lub bąku, całość – worek kartoflany, w błotnistych kolorach na mocno kiczowatym tle – uff. Zamieszczam te uwagi, by mówić też o obrazach dobrze znanych.

Leonardo może chory był? Taczkę dukatów przyjął? Przecież to on, ten sam malarz, co namalował „Dagę z łasiczką” (nasz skarb narodowy). Superlatywy niepotrzebne. Jakikolwiek widz, porównując w trybie pilnym, postrzega jej piękność, doskonałość i pozbawienie wymienionych defektów Mony Lizy, której wyraz twarzy – grymas dziwaczny – uważany powszechnie za kwintesencję kosmiczno-mistycznej melancholii niebiańskiej, mnie, bardziej przyziemnemu, sugeruje raczej niestrawność lub „pępek świata” – dworzec w Perpignan – powodujący nieodmiennie u Salvadora Dali ekstazę kosmogoniczną i wytrysk cefaliczny.

Zadane cierpienia z Moną wymagają odszkodowania, a tu miła wiadomość: mój fryzjer, Leon Zręcznałapa, otrzymał potwierdzenie od Ministerstwa Kultury (popierane przez Instytut Świata Arabskiego) rozpoczęcia realizacji jego projektu: „Przybranie nowymi fryzura-

mi, z tekstyliów koczowników, 42 głów sfinksów alei do Karnaku”, co spowodowało entuzjazm międzynarodowych sfer kulturalnych.

Ten żart (tu jedyny) dotyczy tylko mojego fryzjera. Jestem przekonany że znany krawiec mody bez trudności by wcisnął te sfinksy w zmierzchowe, gwiaździste kamizelki. W 1985 roku Bułgar „Christo” (Vladimir Javacheff) zawinął w szmaty most na Sekwanie i jego kandelabry, 10 lat później Reichstag w Berlinie, a na pustyni Synaju naszprycował setki metrów okrągłych skał farbą niebieską – patentowaną jako International Klein Blue.

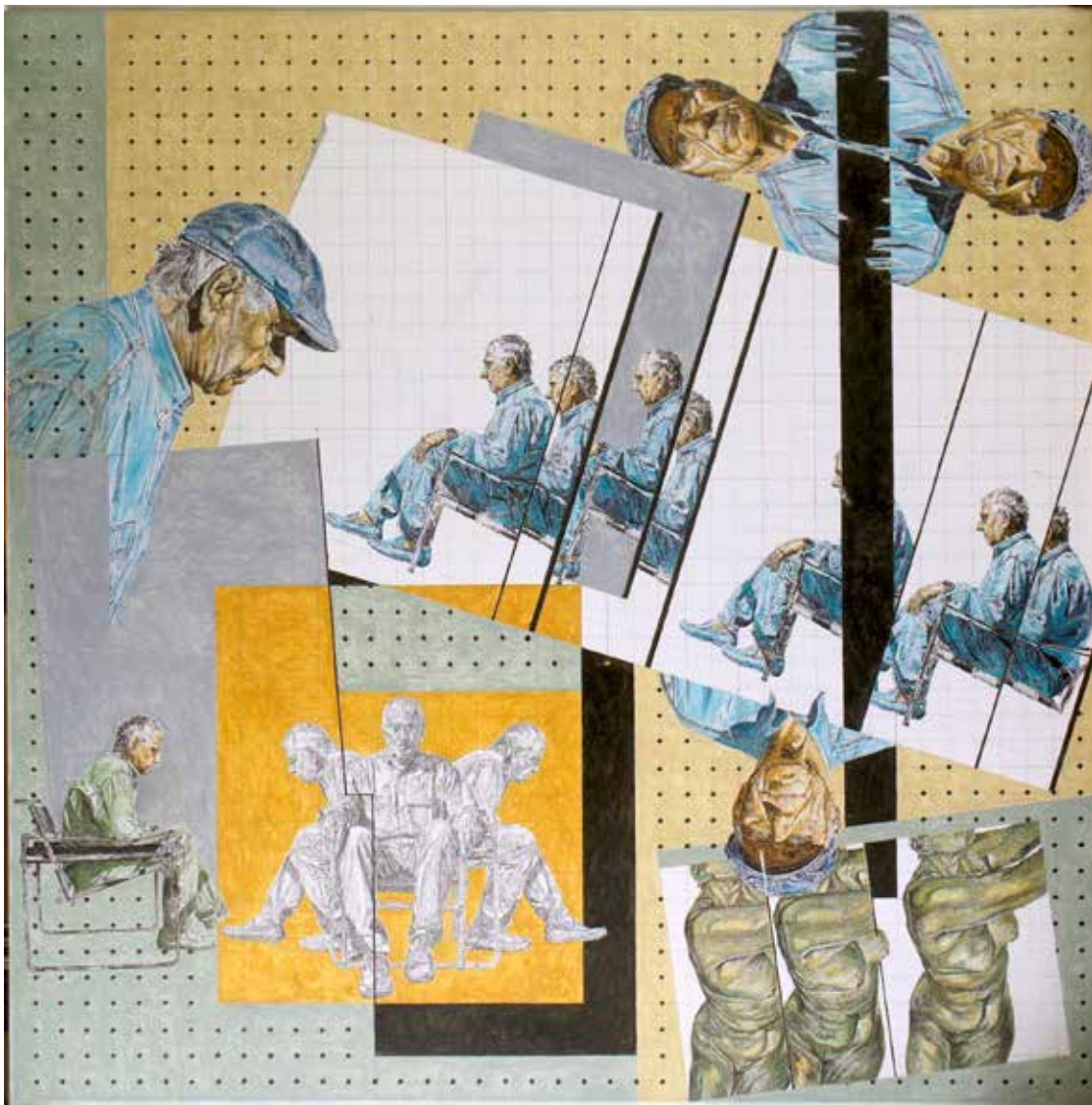
Pieniądze, mnogość szarlatanów, chamstwo aroganckie (nie tylko decydentów) umożliwia zorganizowanie w Katarze mistrzostw świata w futbolu, Luwru w Abu Dhabi, muzeum Vuitton w Paryżu. Stan świata i sztuki natrętnie kojarzy mi się z losem Nauru, wyspy kretynów, którzy z najbogatszych w ciągu kilku dziesięcioleci stali się najbiedniejszymi cherlakami chorobliwymi o rekordowej tuszy.

Przewidywalna ruina rynku sztuki i kompromitacja otaczającego establishmentu sprawi, że rozliczenia z szarlatanami, krytyka artystyczna (zrozumiałe że żywić się muszą, być bałwanami – nie muszą) będą kosztowne i bolesne. Ale fakt, że teraz na nich ni liczyć, ni opierać się nie możemy, ten brak zaufania, ale także rzeczywiste trudności z oceną wartości i rzadkość racjonalnych walorów artystycznych zaprasza (to moje

credo) do patrzenia na dzieła naszymi oczami, słuchania naszymi uszami, mówienia naszym językiem i wyrażania naszych uczuć w sposób naturalny.

Kochać obrazy!

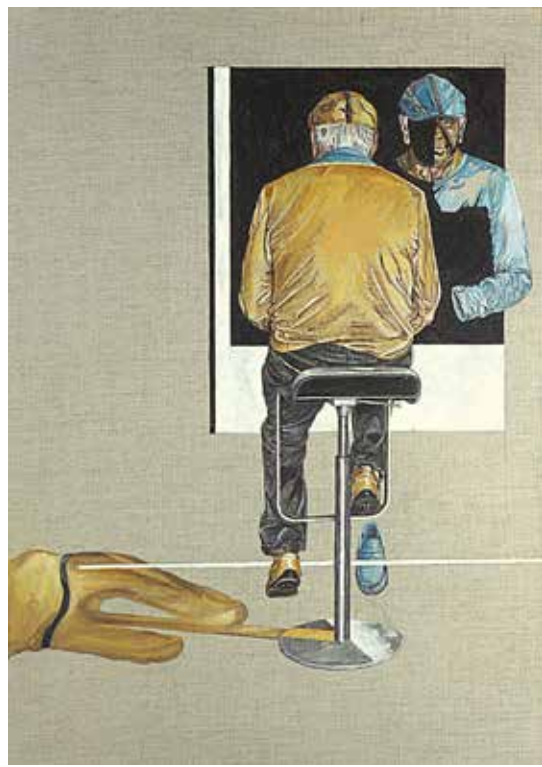
Artykuł uzupełniam reprodukcjami kilku własnych obrazów (na następnych stronach). Tekst nie jest kluczem do mojej twórczości, ale zaproszeniem do sposobu patrzenia na prace konkretnego malarza. Moją tematyką, o ile mogę tak to nazwać, są figury ludzkie, wyrażające ruch, wysiłek, także pozę. Postacie umieszczone w obrębie „ramy” tworzą z nią i kilkoma zróżnicowanymi formami geometrycznymi, taśmami i tłem pewną całość, której ekspresja stanowi mój podkład formalny. Dążę więc, by sprawić, żeby obiekt podstawowy nie był przedmiotem, by jego rolę w stosunku do kontekstu obniżyć, prawie unicestwić do takiego stopnia, że na pierwszy rzut oka widz „widziałby całość”, w której obiekt podstawowy byłby tylko częścią. Chodzi o to, by zrobić utwór, który zawiera **więcej niż przedstawia**. (Te wyjaśnienia przypominają moją ironię wobec „sposobu” filozofów). Moje motywacje, natury wyłącznie estetycznej, operują w sposób podświadomy, intuicyjny, czerpiąc nieracjonalnie (kosztem także niewypałów) z mojego bagażnika wiedzy estetycznej, pobudzone będąc wolą wywołania u widza emocji i możliwie wzruszenia. Moja misja to: kochać obrazy!



Wielokrotny 1,0 x 1,0



Ciało 3/4 z góry, 0,7 x 0,5



Taburet - plecy, 0,7 x 0,5



Ciało na stole, 0,8 x 0,6



Taburet - tors, 0,8 x 0,6



Ruch 2, 0,65 x 0,54



Ciała w kucki, 0,8 x 0,6

Parę dni temu mój doktorant przybiegł z rewelacją, iż ukazała się właśnie pierwsza monografia Henryka Miłojaja Góreckiego, zatytułowana *Geniusz i upiór*. Zabrzmiało to dziwnie, nie tyle ze względu na tytuł (powiązanie geniuszu i szaleństwa jawi się dziś jako wręcz banalne), ile ze względu na owo pierwszeństwo – wszak od chwili wydania znakomitej monografii Góreckiego pióra Adriana Thomasa minęło równo dziesięć lat. Okazało się, że – po pierwsze: nie upiór, tylko upór, po drugie – nie pierwsza, tylko „pierwsza pełna”. Rzeczywiście, monografia autorstwa Marii Wilczek-Krupy (wyd. Znak 2018) zasługuje w pewnym sensie na miano pełnej, jako że reprezentuje wszystkie wady literatury dziennikarskiej. Pod względem faktograficznym stanowi niefrasobliwą powtórkę tego, co już było wiadomo na temat kompozytora, jego muzyki oraz środowiska, w którym się obracał, nie licząc świadomych bądź nieświadomych pominięć i przeinaczeń. Jest nastawiona na epatowanie sensacją (w omówieniu na okładce mówi się o „prawdzie” i „szczerości”). Służy temu jaskrawy styl pełen „soczystych”, nierzadko wulgarnych sformułowań (te ostatnie są najczęściej cytacjami z wypowiedzi samego Góreckiego, ale czasem używa ich autorka od siebie, widocznie lubi). W służbie sensacji są także sposób prowadzenia narracji – z użyciem dygresji nachalnie naprowadzających czytelnika na trop pożądanego skojarzenia, nieczysta technika doboru informacji, zacieranie granicy między faktem i plotką, nagminne koloryzowanie oraz wszechobecna tendencja do jawnego i apodyktycznego wartościowania przedstawionych faktów, podparta bombastycznym tonem wypowiedzi o natężeniu emocjonalnym graniczącym ze śmiesznością. Od pierwszych stron jesteśmy pouczeni o przepaści, jaka dzieliła Góreckiego, prawego syna wsi śląskiej, oraz wybrańców, którzy mieli szczęście zasłużyć na jego przyjaźń, od reszty świata. Więc na przykład: z jednej strony – poczciwy Szabelski, z drugiej nieprzyjemnie przedstawiający się dandysi: Woytowicz i Kilar (będąc w Paryżu, Górecki „... nie chciał delektować się tanim winem, jak Kilar...” – s. 107). Z jednej strony misja Góreckiego jako rektora PWSM, z drugiej – uczelnia jako „bagno, w które wdepnął” (s.189 – opis wsparty charakterystyką Witolda Szalonka jako cynicznego intryganta). Ludzie przedstawieni w książce p. Wilczek generalnie dzielą się na dobrych i złych: biednie ubranych poczciwców i zmanierowanych eleganatów, patriotów i zdrajców, zupełnie jak w niezapomnianej epopei *Cztery pancerni i pies*. Zarówno jednym, jak i drugim dziełem rządzi polityczna poprawność. U p. Wilczek realizuje się m.in. poprzez wprowadzenie modnego wątku

Między nutami

MAGDALENA DZIADEK

Geniusz i up(i)ór

wieloletniczości przedwojennej kultury Górnego Śląska. Autorka „odczarowuje” górnośląski problem polsko-niemiecki, ale tylko pozornie. Podziały znosi jedynie na poziomie codziennego życia lokalnych wspólnot, natomiast zachowuje je, gdy mowa o poziomach wyższych. Odtwarza na przykład historię działalności braci Szafranków z rybnickiej szkoły muzycznej, którą ukończył Górecki, ale ukrywa fakt, że pracowali oni w czasie okupacji w katowickiej Landesmusikschule Oberschlesien, co było źle widziane po 1945 roku.

Brak nowych źródeł, które mogłyby dopełnić, czy naświetlić inaczej wizerunek kompozytora, nadrabia nieproporcjonalnie rozbudowane tło historyczne. P. Wilczek zmontowała je z rzeczy ogólnie znanych, powtarzanych do znudzenia, takich jak znaczenie Darmstadt, Warszawskiej Jesieni czy Spotkań Muzycznych w Baranowie Sandomierskim. Zrekonstruowany przez siebie (?) XX-wieczny dyskurs o muzyce nowej uporządkowała według dwóch biegunów: awangarda (kierunek fałszywy, godny potępienia) i nowy romantyzm (odwrotnie). Pomiędzy biegunami, jak by inaczej, rewolucja dokonana samotnie przez Góreckiego. Tyle, że sama autorka zdaje sobie sprawę, że ta wizja jest nieprawdziwa, nie tylko dlatego, że noworomantyczne „odrodzenie” miało swoich proroków i poza Polską, ale i dlatego, że trwało krótko. Od lat 90. XX wieku dominują wśród kompozytorów, także i polskich, sympatie „postawangardowe” (o czym wspomina sama p. Wilczek na s. 143).



Za niezwykle kontrowersyjną uważam decyzję włączenia do książki raportów z przetrzepanych przez p. Wilczek IPN-owskich akt kolegów Góreckiego z katowickiej PWSM (Markiewicz, Szalonek). Po co cytuje je autorka tak szczegółowo, skoro nic w nich „takiego” nie ma? Chyba w celu stworzenia wrażenia, że „jest”...

Omawiana pozycja ma pretensje do fachowości. Ma ją potwierdzać obecność odsyłaczy źródłowych (co charakterystyczne, bibliografii brak, zaś odsyłacze odnoszą przeważnie do rozmów ze świadkami, przeprowadzonych nie wiadomo gdzie i kiedy), wprowadzanie terminów z różnych dziedzin nauk (w tym, pozał, się Boże, medycznych), nadto zaś liczne objaśnienia dodatkowe. Tyle, że dotyczą zwykle rzeczy dobrze znanych, zaś tam, gdzie by się przydały, ich nie ma. Nie zadała sobie np. p. Wilczek trudu, by podać tytuły podręczników harmonii i kontrapunktu Josepha Marxa, z których korzystał Górecki w bibliotece PWSM, albo by odgadnąć, jaką konkretnie pieśń Schuberta miał on na myśli, mówiąc o „C-durku”; nie objaśniła też, co to za „pieśni ludowe” stworzył (!) Adolf Chybiński. Lista figurujących w książce błędów i fałszywych informacji musiałaby zająć kilka stron, podam więc tylko kilka przykładów: s. 19: „władze przez dłuższy czas nie dopuszczały do powstania wyższych szkół na Śląsku” (chodziło oczywiście o uniwersytet z wydziałami humanistycznymi, wyższych szkół było kilka, do jednej z nich uczęszczał nawet bohater książki); s. 66: pedagog Szabelskiego nazywał się Surzyński, nie Stróżyński; s. 71: Szymanowski nie mógł udzielać Szabelskiemu lekcji w soboty „po koncertach filharmonicznych”, gdyż w soboty nie było koncertów w Filharmonii Warszawskiej ze względu na szabas; s. 98: Stryja – uczeń „samego Fitelberga” (studia te trwały tylko rok i były formalnością); s. 118: „Penderecki zapoczątkował sonoryzm w Europie” (nie zapoczątkował, tylko współtworzył); s. 154: Stanisław Gołachowski był „odkrywcą” rękopisów Szymanowskiego (nigdy się one nie zapodziały). Lżejszym, ale również gorszym grzechem jest silenie się na cytaty w gwarze śląskiej; i tu zdarzają się błędy (np. muzyk to po śląsku muzykant, nie „grojek”, ryczka jest „drzewiano”, nie drewniana, mówi się kryka, nie kryk), a wyrażenia gwarowe sąsiadują czasem w ramach jednej wypowiedzi z niesmaczną żargonową odmianą współczesnej polszczyzny.

Jak czytamy w reklamie umieszczonej na okładce, Maria Wilczek-Krupa jest również autorką „świetnie przyjętej biografii Wojciecha Kilara”. Kto będzie następnym? – Już się boję.



ŚLĄSKA
OJCZYZNA
POLSZCZYZNA

JAN MIODEK

„Wyzgiernie błyskoł”

W wrześnieowym numerze „Śląska” z roku 2018 przeczytałem piękne wspomnienie Marty Fox o bardzo popularnym i lubianym aktorze Bernardzie Krawczyku (1931–2018), całe życie zawodowe związanym z teatrami naszego regionu. Nie znał się dobrze, tylko parę razy uściśniliśmy sobie ręce na powitanie. Chciałbym jednak i ja oddać cześć Jego pamięci, nawiązując do tekstu jednej ze śląskich piosenek przez Niego wyśpiewanych i utrwalonych na płytach, a mianowicie do szczególnie mnie wzruszającego „Białego węgla” ze słowami Marii Pańczyk i muzyką Grzegorza Spyry.

Zaczyna się on wspomnieniem domu starzyków: „Moja starka na Nikiszu wele hołdy żyła, świtkiem, rankiem w zopaseczce węgla se smyczyła. A jak starzik szoł na gruba, mróz na dworze ściokoł, to żeleźniok sie hajcowoł i wyzgiernie błyskoł”. Po nim następuje refren piosenki: „Kejby węgla mógł być bioły pod ziemią w chodniku, tobych jo go ciągiem trzimoł w zamtowym chlywiku, a jakby mi dym z komina kryształow lecioł, tobych broł go połne gorście, nad Śląskiem rozciepoł”.

Mamy tutaj *starzika* i *starkę*, czyli „dziadka i babcię”, tego pierwszego – tak jak w formie *trzimoł* – z typową dla większości śląskich gwar i bardzo silnie utrwaloną wymową „rzy” jak „rzi” – podtrzymującą pierwotny, miękki charakter owego „rz” (dawnego miękkiego „r”). Jest tu też charakterystyczne *wele* „obok, w pobliżu” i piękne zdrobienie od *świtu* – *switek* – niespotykane w języku ogólnym. Gdy zaś słyszę czy widzę w tekście pisanym *zopaskę*, *zopaseczkę* – „fartuch, fartuszek”, nie mogę się oprzeć następującej refleksji: oto w języku standardowym funkcjonuje germanizm *fartuch* (z niem. *Vortuch*), Ślązacy natomiast wierni są rodzimej formacji słowotwórczej wywiedzonej od wyrażenia przyimkowego *za pasem*. Wyjątkową urodę historycznojęzykową ma też czasownik *smyczyć* – „nieść coś

większego, taszczyć, ciągnąć” (do *smycznego węgla* z piosenki można dodać przykłady z *Małego słownika gwary Górnego Śląska* Bożeny Cząstki-Szymon, Jerzego Ludwiga i Heleny Synowiec z roku 2000: „Tyn pies zaś coś smyczy do budy”, „Co tak smyczysz w tym miechu?”). Jest on kontynuantem prasłowiańskiego *smykati* – „wlec, ciągnąć, pociągać, ściągać” i należy do tej samej rodziny wyrazowej co *smykać* (się), *smycz*, *smyczek*. W całym tym fragmencie „Białego węgla” konsekwentnie występuje typowo gwarowe pochylone „a” – w wymowie „o”: *zopaseczka*, *ściokoł*, *żeleźniok*, *hajcowoł sie*, *błyskoł*, *bioły*, *jo*, *trzimoł*, *lecioł*, *broł*, *gorście*, *rozciepoł* – tak jak typowym elementem śląskiego pejzażu jest „mały piecyk żelazny (z rurą) do ogrzewania”, czyli *żeleźniok* (spotykany też jednak w innych regionach; miałem na Dolnym Śląsku znajomą – prostą kobietę, pochodzącą z Kielecczyny, która rodzinę o nazwisku Żelazny zawsze określała mianem *Żeleźnioków!*). *Żeleźniok* z tekstu Marii Pańczyk *hajcowoł sie* – „grzał się, palił się” i *wyzgiernie błyskoł* – *Wyzgiernie*, czyli tutaj „wesolo, figlarnie”, bo tak w ogóle znaczenie przymiotnika *wyzgierny* jest pojemniejsze: „bystry, szybki, pełen życia, zgrabny, elegancki” („Wziyna se wyzgiernego chopą”, „Dziolchy wyzgierny dziś trza ze świyczkóm szukać”, „Cilka była kiedyś bardzo wyzgierno” – przykłady z *Małego słownika...*, w którym można znaleźć informację, że *wyzgierny* był też kiedyś określeniem „kogoś, czegoś swawolnego, a nawet rozpustnego”). Do znanego i używanego w całej Polsce germanizmu *hajcować* (z niem. *heizen*) trzeba tutaj dodać *halde* (z niem. *Halde*), *grubę* – „kopalnię” (z niem. *Grube*) i *zamtowy* (od niem. *Samt*) *chlywik*, *Zamtowy* – „zylki”, „aksamitny, pluszowy” („Uszyj se zamtowo westa (kamizelka)” – czytamy w *Małym słowniku...* Zaczynająca refren forma *kejby* to typowo śląski odpowiednik standardowego *gdyby*, *ciągiem* to, oczywiście, „ciągle, stale”, po-

wtwarzające się zaś *tobych* „tobym” jest głębokim archaizmem gramatycznym, w którym funkcję cząstki trybu warunkowego *bym* pełni postać *bych* – przejęta z nieistniejącego od wieków aorystu – jednego z dawnych czasów przeszłych.

Przy okazji uspokajam wszystkich, których – być może – niepokoi zapis *tobych*. Łączna pisownia jest poprawna, nawiązująca do rozróżnienia: *gdyby mógł, toby tam pojechał, ale to by się dało zrobić*.

Przejdźmy do drugiej zwrotki. Opowiada ona o domu rodziców: „Moja mama na sortowni przerobiła życie, ojca z dołu wyciągali na niedzielnej szychcie. I ostało nos pięcioro z matulą do kupy, przy kachloku my się grzoli, godali i przoli”. Mamy tu *szychtę* (z niem. *Schicht*) – „dniówkę w kopalni”, wtórnie dzisiaj „także w innym zakładzie pracy”, *ostało* – „zostało”, typowy wariant fonetyczny *kafloka*, czyli *kachlok* „piec kaflowy”. Do tego ostatniego można dołączyć powszechną na Śląsku serię *kachel*, *kachle* „kafel, kafle”, *kachlik*, *kachelek* „kafelek”, *kachlorz* „zduń”, *kachlowy*, *kachlany* „kaflowy”. Zwrotkę wieniec czasownikowa forma *przoli* – od *przoć* „kochać, lubić kogoś”, należąca do tej samej rodziny morfologicznej co czasownik *sprzyjać* czy wyrazy *przyjaźń*, *przyjaciół*, *przyjacielski*.

I wreszcie zwrotka finalna: „Jo terozki na Giszowcu żyja jak Romeo. Po panelach sąsiad z dołu wzywo na video. A jo bych tak plecy pogrzoł przy małym kachloku, a u starci pomaszkiecił sznita z żeleźnioka”. Mamy w niej typowo śląskie formy: *terozki* „teraz”, *żyja* „żyję”, *jo bych* „ja bym” (powtórne użycie archaicznego *bych* w funkcji *bym*), *pomaszkiecić* – tu „zjeść coś smacznego”, *sznita* (z niem. *Schnitte*) „kromka chleba, pajda”. Rozczuła mnie zwłaszcza ta ostatnia, bo w czasach mego zawiadywania polonistyką wrocławską w latach 1989–2016 moi najbliżsi współpracownicy o drugim śniadaniu przypominali mi stałą formułą: „Jasiu, sznitka!”

Gimnazjum i kilka teatrów

RYSZARD JASNORZEWSKI

Od wiosny 1945 roku miało być ludowi pracującemu Górnośląska lepiej, ale nawet górnikom wiodło się nieszczególnie. Stawka za dniówkę nie przekraczała 40 złotych. Tymczasem za kufel piwa w restauracji prywatnej płacono 22 złote, litr samogonu kosztował 400–500 złotych za litr, a wódki do 1000 złotych. Aby temu zaradzić, niektóre instytucje lub zakłady pracy wydawały do posiłków piwo w cenie 3 złotych za kufel. Kilogramowy bochenek chleba na kartki kosztował jedyne 1,50 złotych, ale w wolnym handlu niemal dwadzieścia razy więcej. Przydział kartkowy umożliwiał ponadto jedynie zaopatrzenie w ziemniaki, olej i surogat kawy. Wszystkie inne produkty można było kupić na wolnym rynku. Pod dostatkiem było w sklepach i na targu odzieży. Nie wiadomo, ile przyodziewku pochodziło z penetracji opuszczonych mieszkań. Znoszony garnitur wyceniano na 6000 złotych. Najdroższe i najmodniejsze były buty z cholewami, za które handlarze żądali 10 000 złotych.

Nie wiadomo, w jakich butach poszedł Konrad Swinarski do gimnazjum im. Mickiewicza w Katowicach. Jak słusznie przy jakiejś teatralnej okazji zauważył: „Kwestia butów była kwestią wolności – czy ktoś ma buty i może wyjść”. Nie wiadomo też, czy zabierał z domu drugie śniadanie. Na pewno – jak inni uczniowie – korzystał z dożywiania, gdyż staraniem komitetu rodzicielskiego wydawano uczniom zupełę i kilka kromek chleba. Gdyby uznano go za zasłużonego absolwenta bądź gdyby sam chciał się do „Mickiewicza” przyznać, byłby ozdobą uroczystości półwiecza istnienia szkoły w 1972 roku. Jakoś trudno wyobrazić sobie Konrada wypinającego pierś do honorowej odznaki liceum i pozwalającego sobie na skupienie podczas występów artystycznej młodzieży, która zmagala się z dziełami patrona, w tym fragmentami *Dziadów*. Na pewno skorzystałby z jakiegoś pretekstu i wyszedł – chodził chwilę po korytarzach, czytał tabliczki na drzwiach, uważnie oglądał parapety, podchodził do okien, przez chwilę spoglądał na miasto, łączywie połykał je wzrokiem. Otworzyłby okno, połykał łączywie powietrze. Ciężkie, tłuste i szare.

W październiku 1945 roku w Katowicach rozbito niemiecką organizację młodzieżową, która podobno zrzeszała młodzież z byłej Hitlerjugend. Być może funkcjonariusze bezpieczeństwa potrzebowali sukcesu. Zbliżał się bowiem koniec roku i należało sporządzić dla przełożonych sprawozdania z postępów w pracy zawodowej. W toku śledztwa (lub po torturach) rówieśnicy Konrada Swinarskiego przyznali się, że organizację założyli, aby doprowadzić do wyzwolenia Niemiec.

Pewno nie dla nich utworzono wie-

W maju 1946 roku „Trybuna Robotnicza” apelowała o uzdrowienie szkoły i wyeliminowanie nieaktualnych ideowo i politycznie treści w nauczaniu historii, języka polskiego, a nawet przyrody. Przestrzegano: „ (...) rokrocznie szkołę opuszczają tysiące młodzieży, która wychowana w duchu przesiąkniętym jadem hitlerizmu i reakcji, idzie w życie, by tam kontynuować politykę rozbratu inteligencji z robotnikami, by tam szerzyć niewiarę w osiągnięcia ludu pracującego i tęsknotę do dawnych dobrych czasów sanacyjnych”.

le klas doksztalających w gimnazjach. Z oferty nie skorzystali zapewne jednak także funkcjonariusze Urzędu Bezpieczeństwa. Większość osób zajmujących kierownicze stanowiska w służbach ukończyło tylko szkołę powszechną. Rekrordzista, szef struktur powiatowych w Pszczynie, miał zaliczone trzy pełne klasy. W końcu odbiło się to na jego pracy, bo jako mało biegły w czytaniu i pisaniu nie zdołał połączyć się w instrukcjach przełożonych. Inny miłośnik bezpieczeństwa tak uzasadniał głęboko motywację, aby kroczyć śladami Dzierżyńskiego: „Zaszczegam że nieje stem żadnym szabrownikiem ani pijakiem i nie skompromituje nasze szeregi”. Mimo wszystko ze szkoły było blisko zarówno do służb, jak i do teatru. Włodzimierz Stahl, były nauczyciel historii i języka polskiego w Śląskich Technicznych Zakładach Naukowych, w czasie wojny działacz Związku Patriotów Polskich, przez kilka lat kierował Wojewódzkim Urzędem Informacji i Propagandy. Potem uczyniono go dyrektorem Opery Śląskiej.

Konrad był przeciętnym uczniem. Zdarzyła mu się poprawka z łaciny. Najlepiej radził sobie z angielskim i „ćwiczeniami cielesnymi”. Za znajomość historii wystawiono mu w szkole ocenę dostateczną. Nie przepadał za lekcjami polskiego. Dyrektor Starego Teatru w Krakowie Jan Paweł Gawlik zapamiętał, że Swinarski skrzywił się na propozycję reżyserii *Dziadów*: „Znał je ze szkoły i nie mówił o nich nic dobrego”. Pozostawiły bolesne odłamki nudy.

Skończył czwartą klasę, ale do matury nie przystąpił. „W gimnazjum miałem wiele trudności – napisał w liście do przyjaciół rodziny – zaczęli wymagać papierów. Postanowiłem zatem ukończyć jedynie czwartą klasę i wynieść się. [...]

Otrzymałem tzw. małą maturę i poszedłem sobie”. Nie wiadomo, czy wcześniej zdążył zobaczyć w Teatrze Śląskim *Dwa teatry* Jerzego Szaniawskiego w reżyserii Edmunda Wiercińskiego. Premiera – 23 stycznia 1947 roku – przeszła do historii polskiego teatru. Publiczność najsilniej reagowała na scenę z małymi żołnierzami.

U moich dziadków wisiała na honorowym miejscu fotografia chłopca w mundurze. Na piersi naszyto mu na zawsze orła, który robi szpagat i nie wypuszcza ze szponów swastyki. Brat babci miał siedemnaście albo osiemnaście lat, kiedy zginął pod Stalingradem. Nie pamiętam rysów chłopca w szarym mundurze. I na pewno nie przychodził z deszczu, ale ze śniegu i ciemności. W salonie domu w Wieliczce na honorowym miejscu spoczywała fotografia mężczyzny w mundurze polskiego podpułkownika, z krzyżem i Virtuti Militari na piersi. Może Henryk Swinarski wpatrywał się w tę fotografię, w ten mundur. Może brat Konrada nie chciał patrzeć na fotografię ojca, może zaurczyły go inne mundury i krzyże, które – nie wiedział tego – oczekują w śniegu i ciemności.

Co zrobić z historią, która ciągle próbuje wymknąć się z konturów realizmu? W lipcu 1945 roku dokonano rejestracji mieszkańców Katowic, którzy mieli zostać wysiedleni przymusowo lub z własnej woli. W sumie było ich ponad 30 tysięcy. Pierwszy transport odjechał 25 lipca. Na rampie rzeźni miejskiej załadowano 317 Niemców. W finale „Nie-Boskiej” w reżyserii Konrada niedobitki ocalałych aktorów siedziały na ziemi, na betach i tobołach. Płakały i pożerały żarłocznie resztki zgromadzonej na czarnej godzinie żywności. Ich bunt nie miał sensu. Przeklinały. Siebie i historię. ■

Mistrz

O Profesorze Aleksandrze Wilkoniu

BOŻENA WITOSZ



Przygotowując przed kilkunastu laty książkę pamiątkową dla Profesora Aleksandra Wilkonio z okazji 70. rocznicy Jego urodzin, napisaliśmy wraz z Małgorzatą Kitą w *Słowie wstępnym*:

„Powiedzieć o Nim: wybitny uczyony, wszechstronny badacz, pisarz, poeta, malarz, to powiedzieć za mało. To uczyony, ale i burzyciel autorytetów, gorący polemista, zachęcający swym ostrym piórem, by z Nim się spierać. To także mistrz i cierpliwy nauczyciel wielu młodszych kolegów, dla których nigdy nie szczędził czasu, cennych uwag, życzliwych rad i – zawsze, gdy było to zasadne – słów pochwały i uznania”.

Przypomniałam ten fragment nie po to, by raz jeszcze podkreślić wielkość i wszechstronność dorobku twórczego i dydaktycznego Profesora, ten wszakże jest znany Jego przyjaciółom, uczniom, czytelnikom. Ten gest posłużyć ma temu, by w dniu tak pięknego jubileuszu usprawiedliwić to, że moje spojrzenie kieruję w stronę stylistyki, a więc jedynie na fragment tego bogatego zbioru, ważny, w moim przekonaniu, ale zawsze tylko wyimek, choć przecież powiązany z pozostałymi elementami całości.

Mając przed sobą teksty stylistyczne Aleksandra Wilkonio skupię się na ich tematycznej dominancie, która wyraźnie jaśnieje i zwraca uwagę nawet mniej uważnego czytelnika. Tą dominantą jest oczywiście badanie języka i stylu artystycznego. Dla Wilkonio twórczość artystyczna staje się główną, by nie powiedzieć, prawie wyłączną domeną stylistyki. Można zaryzykować stwierdzenie, iż ilekroć Autor wypowiada się na temat sty-

lu, ma na uwadze styl literatury/literacki. A jest to literatura wielka i piękna w dosłownym tego słowa znaczeniu, by przypomnieć paru zaledwie bohaterów Jego erudycyjnych, trzymanyh w ryzach metodologii, a zarazem błyskotliwych analiz: Mickiewicz, Norwid, Sienkiewicz, Żeromski, Czechowicz, Gombrowicz, Myśliwski, Kuśniewicz, Różewicz... Wpływ na preferencje badawcze mieli niewątpliwie krakowscy Mistrzowie Profesora. W dojrzałym okresie swej twórczości nisko się im kłania, wspominając subtelność analiz Ewy Ostrowskiej, zwłaszcza poezji średniowiecznej, czy doceniając u Kazimierza Nitscha nowatorstwo i precyzję językoznawcy, a zarazem wrażliwość na indywidualizm wypowiedzi artystycznej. Jednak jestem przekonana, że skłonność do zajmowania się literaturą wysoką wynika w dużej mierze z osobowościowych cech Profesora – czulego estety. Nie zna czy to, że cenil sobie piękno rozumiane potocznie jako ładność czy klasycznie – jako harmonię. Nie, przypominę, że poświęcając uwagę turpizmowi, nie szczędził pióra dla wyeksponowania artystowskich popisów autorów, którzy hołdowali estetyce brzydoty. Profesor, przede wszystkim i w sztuce, i w pracy naukowej nie ma tolerancji dla banału i mierzalności, a w życiu codziennym wręcz wspólnoty nie znosi. Dlatego ten wybitny stylistyk i wytrawny stylista nie dał się uwieść kulturze popularnej, jak uczyniło to wielu badaczy stylu, porzucając rejon języka artystycznego, by analizować to, co modne, co ma siłę oddziaływania, co jedynie w mniejszym lub większym stopniu użyteczne. Literatura nie jest

bowiem dla Wilkonio po prostu obiektem naukowych eksploracji, nie jest nawet tylko specyficznym fenomenem językowym. W Jego tekstach da się wyczuć pewien rodzaj emanacji, jaką wytwarza szczególnie, estetyczno–emocjonalna więź między podmiotem a przedmiotem dociekań. Naturze Profesora, tak to odczytuję, obca jest neutralna postawa badacza. Ton Jego wypowiedzi nieustannie wibruje – od zachwyty, po wzruszenie, podziw i uznanie, do zniecierpliwienia i wcale nieukrywanej złości. Fascynowały go w języku artystycznym napięcia, sprzeczności, otwartość, zmienność, wyrafinowanie, różnorodność, wielopostaciowość, niezwykłość, kreatywność. Nie mógł jednak wybaczyć literaturze, zwłaszcza współczesnej, że staje się wysypiskiem zjawisk nijakich:

„Żadna inna odmiana, niestety, nie zgromadziła tylu śmieci w zakresie języka, tylu bełkotliwych tekstów, tylu bezsensownie okaleczonych form, tylu hocków–klocków grafemicznych, gier czysto fonicznych, tylu schizofrenicznych manifestacji automatycznych kojarzeń itd.”

Taką ocenę skłonny był wypowiedzieć w chwili wzburzenia zawiedziony miłośnik, patrzący sercem, a nie mierzący materię sztuki „mędrca szkiełkiem i okiem”.

Związanie znaczącej części swego naukowego życia z badaniem literatury, w czasach, w których, jak sam nie bez żalu konstatawał, mamy do czynienia ze zmniejszaniem się jej roli i sfery społecznego oddziaływania, uznając nie tylko za indywidualną cechę prac stylistycznych Profesora, ale także, a może przede wszystkim, za gest przypomnienia dzi-

siejszym stylistykom ich roli i powinności wobec kultury. Biorąc sobie to do serca nie mogą nie przywołać w tym miejscu słów wieszczka: *Mówię — bom smutny — i sam pełen winy!*

Niewątpliwą zasługą Aleksandra Wilkonia są działania porządkujące obszar teoretycznej refleksji stylistycznej, by przypomnieć: rozróżnienie wyznaczników językowych i stylotwórczych, kategorii gramatycznych i kategorii stylistycznych, typologie odmian współczesnej polszczyzny i gatunków wypowiedzi, a nade wszystko próby stratyfikacji wewnętrznej, jakże bogatej i skomplikowanej stylistycznej przestrzeni literatury. Pragnę zwrócić uwagę na podział współczesnych stylów poetyckich czy w odniesieniu do przeszłości – stylów literatury baroku, nurtów poezji średniowiecznej. W tych ujęciach cecha stylowa rozumiana jest już szeroko, chciałoby się powiedzieć, zgodnie z duchem czasu, jako zjawisko przede wszystkim natury semantycznej, złożony znak semiotyczny, mocno osadzony i warunkowany kontekstem kulturowym.

Gdy podkreślam wagę dokonanych przez Wilkonia stratyfikacji w przestrzeni stylistyki, a więc działań obejmujących szeroki horyzont czasu, metod, utworów, teoretycznych ujęć poprzedników, ten sposób nie wskazać Jego wielkiego dzieła, jakim jest seria *Dzieje języka artystycznego w Polsce*, obejmująca, jak dotąd, okres średniowiecza, renesansu i baroku. Twórczy zamysł, by opracować dla stylistyki syntezę podobne do tych, jakimi dysponują historycy literatury, myślę tu o serii *Historia literatury polskiej*, nie został jeszcze w pełni zrealizowany. To, że od wydania ostatniego tomu nikt nie podjął się kontynuacji dzieła Profesora, świadczyć może o bezgranicznej wierze środowiska stylistyków w siły witalne autora zapoczątkowanego dzieła, ale z pewnością potwierdza tezę, że są badacze niezastąpieni. Wszak czytanie *Dziejów języka artystycznego w Polsce* to fascynująca lektura. W każdym tomie Autor ujmuje swój przedmiot inaczej: w pierwszym badawcze spojrzenie stylistyka kieruje na wybrane teksty, zabytki – perły literatury średniowiecznej, w drugim spogląda na język literatury renesansu przez pryzmat dokonanych wybitnych przedstawicieli tej epoki, by w kulturze baroku widzieć już przede wszystkim wykrystalizowane odmiany stylowe. Jak sam wielokrotnie akcentował, to przedmiot badań podpowiada interpretatorowi sposób jego analizy, styl bowiem jest produktem kultury, a zarazem jej ważnym komponentem, a w każdej – zajmuje inne miejsce i przyobleka inny kształt.

Aleksander Wilkoń niejednokrotnie powtarzał, że w badaniach stylu utworów literackich krakowska uczona, Ewa Ostrowska „trzymała się mocno językoznawczej gleby”. Te same słowa można

odnieść do warsztatu naukowego Profesora. Osadzenie badań stylistycznych w kontekście lingwistyki nie znaczy jednak przywiązania do jednego paradygmatu. Zawsze, pozostając wiernym niektórym założeniom strukturalizmu, deklarował otwarcie badań stylistycznych na nowe kierunki, ale i w wypowiedziach o charakterze teoretycznym i w praktyce interpretacyjnej zachowywał wobec nowości ostrożność i pewną powściągliwość. Tak było w artykule *Metafora i argumenty*, w którym dowodził, testując na konkretnym materiale przydatność wpływowego w latach 70. paradygmatu, że gramatyka predykatowo–argumentowa zbudowana na logicznych podstawach stanowi dobre narzędzie w analizie składni tzw. zdań normalnych, natomiast jest bezradna, gdy przyjdzie jej zmierzyć się z materiałem języka użytego w funkcji estetycznej. Nie negował jednak jej założeń, wyznaczył jedynie modelowi generatywnemu odpowiednie miejsce (jako punktu odniesienia) w przestrzeni stylistyki. Pamiętam też gorącą dyskusję, jaką Jego artykuł *Dewiatyjnny aspekt stylu* wywołał w gronie badaczy tej kategorii. Wilkoń zainspirował się wówczas nową koncepcją pojęcia dewiacji, zaproponowaną przez Ch. Egertona Osgooda, odpowiednio ją przetworzył i przedstawił efekty jej adaptacji w podejściu do stylu. Opór niektórych stylistyków wynikał po części z nieznamomości propozycji Osgooda (ten, kto nie śledził nowości lingwistyki zachodniej, choćby za pośrednictwem lektury znakomitych tłumaczy, które niemal na bieżąco pojawiały się wówczas na łamach „Pamiętnika Literackiego”), ten siłą rzeczy przywoływał obiegowe znaczenia tego pojęcia nacechowane ujemnie. Wilkoń tymczasem położył nacisk na rozumienie dewiacji nie jako „odstępstwa od normy”, a jako odstępstwa od systemu językowego. Pozwoliło to objąć tym terminem szereg rozmaitych innowacji, czy szerzej, artystycznych zabiegów na tkance języka, co jest w znacznej mierze atrybutem użycia w funkcji artystycznej. Wspominam o tym, by zwrócić uwagę raz jeszcze na aspekt metodologiczny stylistycznych prac Profesora. Zawsze bliski temu, co aktualnie działo się w obszarze badań lingwistycznych, stał na stanowisku, że wcześniejsze metody – praskiej szkoły, formalizmu rosyjskiego, a także tradycja polskiej filologii zasługują na „twórczą kontynuację”. W pracach najnowszych zdecydowanie bliżej mu do kognitywizmu, a to ze względu na poczesne miejsce, jakie w obrębie tego paradygmatu zajmują kwestie znaczenia i kulturowych uwarunkowań.

Co jest swoistego, autorskiego w rozważaniach teoretycznometodologicznych Profesora? Sięgając do wybranych metod analizy, Wilkoń nie nasącza swojego tekstu obco brzmiącą terminologią, nie epatuje czytelnika ścisłym i suchym,

na pozór naukowym językiem. Działając zgodnie z regułami metodologicznej gry, snuje własną opowieść o tekście. Tak jest w mistrzowskiej analizie opisu sadu w *Panu Tadeuszu*, popisowej interpretacji rozwijania linii tematycznej jako pierwszorzędnego mechanizmu budowania spójności dłuższych wypowiedzi. Zawsze, ilekroć przyszło mi prowadzić zajęcia z lingwistycznej analizy tekstu, a w ich ramach zapoznawać studentów z różnymi mechanizmami budowania spójności, ilekroć, gdy sięgałam po Wilkoniową interpretację Mickiewiczowskiego sadu, byłam pewna zainteresowania i zrozumienia studentów.

Niech mi będzie wolno zatrzymać się chwilę nad katowicką szkołą stylistyki, której twórca, opiekun naukowy, przewodnik, a później współpracownik zasiada z nami na miejscu dostojnego Jubilata. Pojawił się w Uniwersytecie Śląskim w drugiej połowie lat 70., w ośrodku, który rozwijał badania głównie pod szyldem historii języka i socjolingwistyki, a o stylistyce pracownicy mieli, cóż, trzeba to powiedzieć, blade pojęcie. Mimo to bardzo szybko zdołał skupić wokół zagadnień stylu grupę młodych pracowników Instytutu Języka Polskiego, jak również zachęcić do współpracy nad badaniem języka artystycznego tych, którzy swe pasje naukowe realizowali w innych rejonach wiedzy. Współpraca mogła się rozwijać dzięki organizowanym przez Profesora otwartym zebraniom Zakładu Współczesnego Języka Polskiego, które odbywały się systematycznie w naszym skromnym pokoju 29, jeszcze wtedy w Sosnowcu. Uczestniczyli w nich także literaturoznawcy, filmoznawcy, obok polonistów germaniści i slawiści. Ale przyjeżdżali do nas także pracownicy z innych ośrodków (ja pamiętam w każdym razie Jerzego Bralczyka). Dyskusje (nieraz naprawdę ostro się spieraaliśmy), głównie z sobą, ale bywało, że i nieśmiało z Profesorem, wiele nas nauczyły: klarowności formułowania własnych wypowiedzi, odwagi w obronie własnego stanowiska, ale i słuchania i przyjmowania racji innych, jednym słowem – samodzielności w pracy naukowej, Aleksander Wilkoń wypromował w Instytucie Języka Polskiego kilku doktorów, którzy dziś są już profesorami. Powołana przez niego do życia seria „Język Artystyczny” szybko zdobyła sobie uznanie w całej Polsce. Początkowo publikowali na jej łamach filolodzy z naszego Uniwersytetu, z czasem „Język Artystyczny” stał się miejscem wymiany doświadczeń szerszego grona humanistów.

Profesor Aleksander Wilkoń pracował w kilku ośrodkach akademickich, polskich i zagranicznych, dzieląc się własną wiedzą i doświadczeniem w pracy akademickiej, ale również inspirując się i ciesząc zapewne kontaktami z nowym środowiskiem. W naszych myślach i rozmowach był, jest i pozostanie „naszym szefem”.



Miłosz Piotrowiak

MARIAN KISIEL

Miłosz Piotrowiak studia polonistyczne ukończył *summa cum laude* na seminarium Ireneusza Opackiego, przedstawiając pracę magisterską poświęconą poezji Lucjana Szenwalda (2001). Podjąwszy pod tą samą opieką naukową studia doktoranckie, w 2005 roku złożył rozprawę doktorską pt. *Liryka Jerzego Kamila Weintrauba. Wybrane problemy*. Przed zaplanowanym terminem obrony promotor zmarł, dlatego Rada Wydziału Filologicznego podjęła decyzję o powołaniu tzw. „promotora na czas obrony” w osobie Anny Opackiej. Początki akademickiej kariery Piotrowiaka wiążą się więc bardzo silnie z osobą promotora i jego szkołą historycznoliterackiej interpretacji. Rozprawę ostatecznie ucznia Ireneusza Opackiego oceniali jego uczniowie pierwsi – Aleksander Na-

warecki i Anna Węgrzyniak – wymagający czytelnicy naukowych rozpraw, wybitni interpretatorzy poezji, uważni tropiciele znaczeń niejawnych, wyczuleni nie tylko na semantykę, ale i na gatunkową specyfikę wiersza, poszukujący w nim tej siły, którą Opacki nazwał trzecim poziomem ruchu konwencji, a więc ujawnienia się ponadjednostkowej wartości liryki.

Monografia Piotrowiaka została po korektach i uzupełnieniach opublikowana pod tytułem: „*Kto ten pejzaż zimą niewydarzoną zatruł?*” *Tropy egzystencji w liryce Jerzego Kamila Weintrauba* (2009). „Książka – podkreśliła w recenzji wydawniczej Alina Kowalczykowa – prezentuje charakterystyczne dla [...] środowiska, zwanego «szkołą Opackiego», walory warsztatu naukowego. Oznacza to przede wszystkim

bardzo wysoki poziom analizy i interpretacji tekstu poetyckiego, celnie wyprowadzane wnioski, a także założenie ciągłego poszukiwania metod wzbogacania interpretacji”. „Starałem się, wciąż się staram, podążać śladem mojego Mistrza, z którego podpowiedzi i rad tak wiele skorzystałem” – przeczytamy w **życiorysie naukowym** uczonego (s. 2, w moim archiwum). Podobne staranie jest zawsze jednak indywidualne. „Oryginalność jest tylko tam, gdzie jest niezależność” – pisał Benjamin Constant, a Miłosz Piotrowiak z tej lekcji romantycznej estetyki umie dobrze skorzystać. Pamięta więc o konieczności lektury w głąb, o randze historycznoliterackiego konkrety, nie przejmując jednak od Opackiego jego sztuki czytania. Podobnie jak inni uczniowie Profesora poszukuje własnej drogi lektury.

Jeżeli któraś z koncepcji czytania jest mu najbliższa, to na pewno mikrologia Aleksandra Nawareckiego, opierająca się na teoriach wyobraźni Bachelarda i w ogóle krytyki tematycznej, ale także otwarta na hermeneutykę egzystencji, zwłaszcza Heideggera. Derridiańskie ukąszenie przejmie badacz od Tadeusza Ślawnka. Tym, co określa postawę intelektualną Piotrowiaka jest chłonność i uważność metodologiczna, otwartość na nowe możliwości lektury, niezamykanie się w już wypracowanych schematach interpretacyjnych, czujność na ukryte znaczenia tekstu. Jego wizja humanistyki rozumiejącej, integrującej różne niekiedy metodologie, lecz ściśle trzymającej się tematu egzystencji, odwoływać się będzie również do późnych prac Marii Janion i Ryszarda Przybylskiego. Dobre efekty tych odniesień dostrzeżemy we wszystkich (większych i mniejszych) pracach uczonego.

Po doktoracie dorobek naukowy Miłosza Piotrowiaka znacznie i wielorako się wzbogacił. Dzisiaj tworzą go nie tylko studia interpretacyjne i hasła słownikowe, ale także trzy książki własne i cztery naukowe redakcje prac zbiorowych. Niezamykanie się na swoją dyscyplinę, tj. na historię literatury, ale otwarcie na różne teoretycznoliterackie języki, pokazuje Piotrowiaka jako uczonego dialogu, w nieustannym poszukiwaniu, rozmowie, podpowiedziach upatrującego sensu humanistycznego dyskursu. W tym rozumieniu, jest gramatologiem: podąża po śladach Mistrzów, uczących go rozpoznawać Innego, i w ślad za swoimi uczniami, otwierających go na nowe pomysły literaturoznawcze.

Ważną propozycją Piotrowiaka jest zbiór interpretacji *Idylla/testament. Wiersze przebrane. Testament/idylla. Wiersze przybrane* (2013). Książka nie jest monografią w tym znaczeniu, jakie nadajemy pracom przeglądowym, syntezom historycznoliterackim czy próbom na szczególny temat. Jest to – jak zostało już powiedziane – zbiór interpretacji wierszy poetów różnych pokoleń i orientacji lirycznych.

Co łączy Zuzannę Ginczanek, Jarosława Iwaszkiewicza, Lucjana Szenwalda, Jana Le-

chonia, Andrzeja Buszę, Zbigniewa Herberta, Czesława Miłosza, Jacka Bierzina, Jerzego Ficowskiego i Piotra Sommera? Nic. Poza – poezją! A właściwie: poza gatunkiem poetyckim, który pozwala porównywać z sobą – łączyć, zbliżać lub rozdzielać, oddalać – autorów z różnych krain wyobraźni, wrażliwości, czasów, stylów i poetyk. W tym sensie książka, która nie jest monografią, na chwilę przywdziewa kostium monograficzny: autor mówi, że „wiersze przebrane” (z odmiennych przestrzeni lirycznych) stają się oto „wierszami przybranymi”, dzięki egotycznej koligacji krwi (gatunku) sięgają prawa do mówienia o sprawach najważniejszych. A jeśli najważniejszych – to właśnie sumujących doświadczenie świata. Punktem wyjścia, ale nie centrum i nie stanem ostatecznym jest gatunek. Idylla i testament. To one – jak przeczytamy – „toczą spór o istnienie świata” (s. 11), ale też „są wolne od pospolitej rywalizacji, a raczej łagodnie przechodzą jedne w drugie, jak dopełniający się i ubywający księżyc, jak rytm przypływów i odpływów” (s. 11).

Idylla i testament, początek i koniec, wzlot i zanik zostają wytłumaczone w języku eseju. *Zakaz wstępu* – inicjalna część zbioru – to zarazem zaproszenie do lektury książki, jak i próba metodologicznego/metodycznego uzasadnienia wędrówki przez wiersze, w których uzewnętrzniają się ich gatunkowy „zenit” i „nadir” (s. 11), rywalizacja między modelami (s. 14), „kres istnienia” (s. 17). Dwa gatunki mówiące światu swoje „tak” i swoje „nie”, jakby powiedział Kenneth Burke, stają się „nienasycone”. Idylla „rodzi się z nienasyceń rzeczywistością” (s. 21), testament jest usilną chęcią rozmowy – „ostatnią szansą rozmowy, ostatnią próbą kontaktu, wiatykiem na nieznaną drogę” (s. 35). W istocie rzeczy jednak, idylla i testament, choć przez Miłosza Piotrowiaka traktowane wiernie i słownikowo, odkrywają także swoje drugie oblicza, swoje zaprzeczenia, swoje utajone – podskórne – nurty. Są tym, czym nie są: idylla może być testamentem, a testament – idyllą. „Grób, który zieleni się gdzieś w zapamiętaniu, – napisze badacz w odniesieniu do *Kurhanka Maryli* – znaczy tyle, co słowo, które odkleiło się od rzeczywistości i do niczego się nie odnosi” (s. 21). Jaki jest tu gatunkowy desygnat? Ba!

Pewien kłopot sprawia mi wydobywanie z dążącej w stronę filozoficznej ekwilibrystyki narracji uczonego tego, co dokładne. Kiedyś Władysław Tatarkiewicz – z niesmakiem – pisał o języku Martina Heideggera jako „dziwacznym, ciemnym, odrażającym”. Ja – z zazdrością – chciałbym powiedzieć, że język narracji Piotrowiaka nabiera znamion poetyckości, jest redundantny, wyszukany i piękny. Czasami jednak owa wyszukaność języka przeskądzała mi w lekturze, rozsądzała myśl. Ten typ interpretacji bierze się, co oczywiste, z nadrzędnego przekonania, że „używać języka to tyle, co łamać pieczęcie [...], rozszczepiać sens, przekraczać zakazy” (s. 26).

Szkice interpretacyjne zawarte w zbiorze mają różny charakter, dotyczą odmiennych kwestii, mierzą się z rozmaitymi światami. Właściwie, jak w każdej porządnej próbie odczytania („próbie”, ponieważ nie ma ostatecznych i pełnych lektur, są tylko inteligentnie podane możliwości lekturowe), w interpretacjach Piotrowiaka skrzy od różnych myśli. Są więc propozycje niedefinitywnych rozwiązań, są napomknienia czytelnicze, są podane przeczenia badawcze, są też przywołane zaledwie sugestie czy pomysły do interpretacji. Zbiór lekturowych propozycji mieni się więc różnorodnością form. Te interpretacje nie mają jakiegoś swojego *definiendum* metodologicznego, choć mają genologiczny *definiens*. Powiedziałbym, że stają się w rozmowie z wierszem, z filozofią spotkania, z pastoralną i testamentarną wrażliwością. To znaczy: każdorazowo odnajdują swoją osobność. Interpretacja nie jest – dodałby może Piotrowiak – ponawianiem tych samych znaczeń, identycznych dróg czytania. Napisałem kilka zdań wcześniej o „próbach odczytania”, dodam zatem, że są one w omawianym zbiorze zarówno eseistycznymi lekturami, jak również skromnymi (nie przywołującymi topiki skromnościowej, lecz skromnymi *sensu stricto*) dopowiedzeniami do istniejących już w polonistycznym świecie przekrojów poetyckich dorobków.

Bardzo wysoko sobie cenię zarówno dokładną lekturę wierszy, jak również traktowanie ich jako pretekstów do innej problematyki. Wiersz musi być czytany niespiesznie, z troską o semantykę poetycką (Piotrowiak wielokrotnie draży słownikowe niuanse leksemów), ale także powinien być otwierany na to, co poza/ponad nim – kontekst literacki, prawny, religijny itd. Wiersz jako byt samoistny, ale także jako matryca dla innych wierszy, staje się poprzez interpretację – przypomnijmy tu Juliana Przybosa – znakiem pośród innych znaków i zdąża w stronę człowieka.

Miłosz Piotrowiak nie daje interpretacji wielowymiarowych, w swoim zbiorze prezentuje nam raczej miniatury interpretacyjne, dopowiedzenia, zastanowienia. Najobszerniejsza interpretacja poświęcona została poematowi Lucjana Szenwałda *Kuchnia mojej matki* – i jest to esej wysokiej próby, wielowymiarowy, szczegółowy, pomysłowy. W innych znajdujemy fantastyczne pointy, jak np. w odniesieniu do *Sielanki* Jana Lechońa: „Kto stwarza świat i niebiosą w ośmiu wersach, wie, jak ważna jest w tekście każda litera” (s. 103). Są jednakże i niedosyty. W interpretacji znakomitego, choć na pozór konwencjonalnego, *Innego życia* Jarosława Iwaszkiewicza, badacz ma wiele świetnych przeczuć. Czego zabrakło, jak mi się zdaje? Odczytania adresatycznego Ty: Paweł z wiersza – to Paweł Hertz, nieodwołania się do jego tomiku *Male ody i treny* (1949), a wreszcie historycznoliterackiego nierozwinięcia zdania o „podobieństwie między *Wieczorną muzyką* (tekstem także z *Innego życia*), a tytułem ostatniego tomu poety – *Muzyka wieczorem*”. Pisze badacz: „okazu-



je się, że tom z 1937 roku mieści już w sobie załączki testamentalnego pisania” (s. 58). Gdyby jednak przypomnieć *Nocną muzykę* (1935) i *Szarfę ciemności* (1937) Pawła Hertz, być może, interpretacja wiersza Iwaszkiewicza nabrałaby innych, dodatkowych znaczeń. Piszę o tym nie po to, by ją kwestionować, ale by ją dopełnić.

Znaczące wydają mi się lektury wierszy poetów słabiej rozpoznanych, a przecież od dawna mających swoje miejsce w historii polskiej poezji XX wieku. Myślę tutaj o Andrzeju Buszy, Jacku Bierzynie i Piotrze Sommerze. To autorzy różnych wrażliwości, innych poetyckich kręgów, odmiennych programów. Piotrowiak powiada: „nie ma nic oprócz tekstu...” (s. 121). Wskazując na tekst źródła (Kohélet u Buszy), tekst miasta (Nowy Jork u Bierzina), tekst gry (ping-pong u Sommera), badacz uświadamia, jak w tekstowym świecie „genotypalnym” rodzą się oryginalne,

zaskakujące, od razu przykuwające uwagę zjawiska „fenotypalne”.

Omawiany zbiór interpretacji dowodzi wysokiej kultury literackiej literaturoznawcy, jego otwartości na różne poetyckie światy, a także umiejętności czytania poezji. Nie spotkamy tu bezrefleksyjnego cytowania prac cudzych. Prace cudze są zaledwie dodatkiem do historycznoliterackiej narracji, badacz każdorazowo podejmuje próbę wydobywania z tkanki lirycznej tego, co najważniejsze. Celem jego postępowania jest więc hermeneutyczna zasada komentowania tekstu przez zrozumienie jego usytuowania w tradycji i wobec języka/języków konkretnego czasu. Puentą takiego czytania ma być rozkosz rozjaśnienia, choć Piotrowiak ma świadomość faktu, że rozjaśnienie wcale nie musi prowadzić do rozkoszy. „Hipertrofia rozkoszy bowiem może być jedną z najokrutniejszych katuszy, jeśli się nie dopuszcza do głosu negatywów rzeczy, prawd czasem okrutnych” (s. 105). I o tym traktuje ta książka tak polisemantycznie przywołująca koronne gatunki poetyckie XX wieku: idyllę i testament.

Spójrzmy teraz na kilka innych – wcześniejszych i późniejszych – prac badacza. Najpierw o poezji Jerzego Kamila Weintrauba. Jak przeczytamy w *Uwagach wstępnych*, jej tematem są „egzystencjalne tropy personsy lirycznej wrzuconej w nieszczęsny los wyrzutka, banity, w niefortunny spłot życiowych, narodowych, dziejowych zdarzeń” (s. 11). Studium to jest przykładem porządnej polonistycznej roboty i koncentruje się na trzech zasadniczych aspektach, nazywanych przez badacza „tropami mikrologicznymi”, „tropami fantazmatycznymi” i „tropami tanatycznymi”. A zatem – od mikrohistorii (różnych: doświadczalnych i filozoficznych), przez wyobraźnię – „ochronny model egzystencji” (s. 42), po elegię – najwyraźniejsze źródło wrażliwości poety.

„Kto ten pejzaż zimą niewydarzoną zatrul?” *Tropy egzystencji w liryce Jerzego Kamila Weintrauba* jest popisem interpretacyjnej sprawności Miłosza Piotrowiaka. Jedno zdanie z niej można by odnieść do samego badacza. Napisał: Jerzy Kamil Weintraub często napomina, by patrząc na jego poezję, nie zapominać o jej historycznoliterackich kontekstach, o konkretnym czasie i przestrzeni, w jakich się ona rodziła (s. 209). Dbałość o historycznoliterackie konkrety, tak bliskie poecie, są także wyznacznikiem interpretacyjnej szkoły, do której się zalicza uczony. Praca nie odwołuje się do myśli poststrukturalnej, choć jej duch nad nią się unosi. Badacz odwołał się do innych źródeł, do humanistyki rozumiejącej. W jego autorefleksji przeczytamy: „W rytmach egzystencji [...] poszukiwałem bolesnych odczuć poetyckiej jednostkowości wobec wojennego dramatu w wielkiej skali” (s. 2).

Owe „rytmy egzystencji” są bliskie w całym piarstwie interpretacyjnym Miłosza Piotrowiaka. Jak napisał we wstępie do swo-

jej monografii: „Egzystencja nie jest metaforą losu, «charakterem» intelektem, nie odnosi się tylko do przypadków rozumiejącego «ja». W rytmach egzystencji zapisane są zarówno poruszenia duszy, jak i dolegliwości ciała, nieumiejscowione lęki i fizyczna słabość. Egzystencjalne znaczy i transcendentne, i somatyczne” (s. 15). To przekonanie, jakże ważne dla analiz poezji początku XXI wieku, nie niesie z sobą uzurpatorskich dyspozycji. Badacz przestrzeże czytelnika: „badając egzystencję, należy zdawać sobie sprawę, że jest to tylko cząstkowa, osobnicza realizacja, a nie wielki uniwersalistyczny projekt” (s. 15). Dlatego do poezji Weintrauba podchodzi tak samo, jak do późniejszych wierszy pastoralnych i testamentalnych. Jego celem jest odkrycie tego, co indywidualne, choć utopione w różnych, czasami konwencjonalnych konkretach historycznoliterackich.

Podobnie jak w *Idylli/testamencie*, również w studium o Weintraubie badacz koncentruje się na gatunkach poezji. Należy zatem dopowiedzieć, że Piotrowiaka interesuje taka historia literatury, która ma swój wymiar poetologiczny. Innymi słowy, każdorazowo porusza się on w granicach poetyki historycznej (literatura widziana przez gatunkową zmienność) i sztuki interpretacji (sens wydobyty z tekstu). Nie znajdziemy zatem w szkicach badacza wielkich panoram historycznoliterackich, opierających się o socjologiczne i polityczne konkrety. On drąży sam tekst, uznając, że w nim jest zapisana najważniejsza prawda poety i jego poezji.

Tak będzie również w „prelekcji warszawskiej”, pomieszczonej we współautorstwie (z Maciejem Tramerem i Mariuszem Jochemczykiem) tomie *Nasz Broniewski* (2009). Już sam tytuł: *Do jakiego gatunku należy „Drzewo rozpaczające”? Próba literackiej dendrologii*, odsyła nas do poetyki historycznej. Ale tutaj jest to poetyka „dendrologiczna”, oparta na koncepcie ziemi (bo drzewo jest zakorzenione w ziemi), słoju (bo przyrasta z latami), sęków (bo są pozostałością doświadczeń), szumu (bo drzewo śpiewa). I dopiero wtedy autor dokonano rozróżnienia na „piesń” i „wiersz”, by odkryć to, co dla toniczno-sylabicznego wiersza Broniewskiego jest najważniejsze: jego mowny charakter. Tym samym, przywołanie Ongowskiej „intertekstowości” jest tak oczywiste, że radykalnie nowe. W poście przeczytamy: „Dla Broniewskiego tekst zawsze odnosi się do podmiotu, musi być wypowiedziany wobec osobowego Drugiego. Tylko po takiej próbie można go złożyć do skryptoralnego grobowca – jako tom, zbiór, dedykację. Jak zauważył Walter Ong, samo «pisanie oddziela poznającego od poznawanego i przygotowuje dzięki temu warunki do obiektywizacji, w sensie osobistego niezaangażowania się czy dystansowania». A Broniewski zawsze był jak najdalej od takiej sterylności. Nasycił on swą poezję naturalnością żywej mowy, wieścią gminną i z nietajoną lubością zanurzał się w recytacji – tym poezjowaniu bez końca, bez limitu strony” (s. 80).

Nie w odniesieniu do gatunku poetyckie-

go, lecz do konkretnego tematu literackiego, podejmie Miłosz Piotrowiak inną kwestię z zakresu poetyki historycznej. W szkicu „*Od frontu*”. *Kulisy doświadczenia wojennego Franza Kafki*, pomieszczonym w tomie *Podwójny agent. Portrety Kafki* (2012), pozostając w relacji „głosu” i „milczenia”, a więc dwóch konstytutywnych aparatów wysłownienia pisarza, badacz odwoła się do „ja” diarysty, pytając o jego milczenie na niewysłowny absurd Wielkiej Wojny. W autorefleksji przeczytamy znamienne i bardzo trafną pointę Piotrowiaka: „Pisarz, którego narracje można uznać za przebiegi dowodowe na istnienie panującego w świecie absurdu, na wybuch wojny zareagował milczeniem – co uznaję za znaczący gest wobec dziejowego ducha i symptomatyczne odsłonięcie własnej filozofii twórczego działania” (s. 8). Szkic o Kafce kieruje badacza w stronę tematu wojennego. O dotkliwosciach wojny pisał on w szkicach *Wojna z oddali*. „*W imię Ojca*” Kazimierza Wierzyńskiego (2016) oraz *Za mundurem... Wokół „Junkra” Władysława Sebyły* (2018).

Warto chwilę uwagi poświęcić talentom uczonego jako redaktora naukowych tomów zbiorowych. Nie wystąpił on dotąd samodzielnie w tej funkcji, opublikowane prace powstają zawsze w kolektywie, a tworzą go te same osoby. Najczęściej poszczególne *collectanea* sygnowane są dwoma nazwiskami: Mariusza Jochemczyka i Miłosza Piotrowiaka. Dwa projekty: *Urzeczenie. Locje literatury i wyobraźni* (2013) i *Wiersz-rzeka* (2016) przynoszą ciekawą realizację krytyki tematycznej, nazwaną przez obu badaczy „potamofilologią”. We wstępie do pierwszego tomu (*O niustającej potrzebie potamofilologii...*) przeczytamy, że „Rzeka to słowa poza językiem formułą, dominacja syntetycznego i jednolitego substratu nad heterogেনią materiałów świata, pozoruje systematyczność tam, gdzie panuje wzburzona mieszanina arbitralności” (s. 12); w życiorysie naukowym natomiast: „Potamofilologia otwiera [...] horyzont tekstologicznych artykulacji w miejscach, w których dyskurs zatrzymywał się zdławiony niemocą bądź to mąjącego go urzeczenia, bądź bezradności, poddania się nurtowi” (s. 9). Tak kreślony projekt jest dobrym otwarciem na różne dyskursy humanistyczne, a zgromadzone w obu tomach artykuły to w pełni potwierdzają.

Miłosz Piotrowiak to uczony znakomicie korzystający ze swoich talentów. Głęboka erudycja, umiejętność niespiesznej lektury, otwartość na dyskursy nowoczesnej humanistyki sprawiają, że spod jego pióra wyszły ważne i inspirujące prace. Badacz nie pisze dużo, jego dorobek nie należy do obfitych, ale czytelnik prac szybko rozpoznaje, jak wiele starań zostało włożonych w literaturoznawczą narrację. Nie ma w niej zdań pustych, są za to stylistyczne precjoza. Widać wyraźnie, że badacz pragnie opatrzyć ją sygnaturą własności – jak autografem. Ostatecznie, chyba po to piszemy? ■

„ Po co ta(ka) mowa? ”

MARIAN GRZEGORZ GERLICH

Od wielu już miesięcy – a może i dłużej – ustawicznie stykamy się z pojęciem: „mowa nienawiści”. Jest ono przede wszystkim kojarzone z naszą klasą polityczną, „naszą” bo myśmy sami wybrali. O tej specyficznej formie mowy informują nas w telewizji, w różnych rozgłoszeniach radiowych; o niej też czytamy w prasie codziennej, pismach kolorowych. Z jej przerażającymi przykładami stykamy się też nader często w Internecie. Opanowała też sprawnie wszelkie serwisy społecznościowe. Coraz częściej też media informują o „hejtowaniu”, co, jak – wyjaśnia Słownik Języka Polskiego – charakteryzuje się mówieniem „w sposób wrogi i agresywny na jakiś temat lub o jakiejś osobie”. Jest to zatem straszny przejaw cyberprzemocy. Do tego należy dodać jeszcze kategorię określaną jako fake news. Działanie takie mogą mieć charakter spontaniczny, lub świadomej „zaplanowanej” dezinformacji. No cóż coraz bardziej żyjemy w świecie fałszywych wiadomości, których jest coraz więcej. W efekcie myślimy, że mowa nienawiści to – poza anonimowym Internetem – w zasadzie domena, innego, nie naszego świata, a zatem stosują go „oni”, a nie „my”. My z tym nie mamy nic wspólnego. A to już hipokryzja? Przepraszam, przecież „my” jesteśmy zawsze uczciwi. Przecież uważamy się za katolików. Odwołajmy się zatem w tym felietonie do wypowiedzi ze sfery religijnej. Jest to chyba zabieg uzasadniony, bo w tej narracji jest zawarta i prawda i dobro; i szansa na zmianę. Na początku odwołanie do św. Mateusza, kiedy proponuje „Wasza mowa niech będzie: Tak – tak, nie – nie. A co nadto, z zepsucia jest”.

Ale zostawmy ów polityczny, publiczny aspekt mowy nienawiści. Zastanówmy się zaś nad tym, jakie są nasze codzienne Polaków relacje i rozmowy. Wprawdzie nie są to rozważania teologiczne, ale mam jeszcze jedno skojarzenie religijne, tym

razem związane z fragmentem listu św. Pawła do Rzymian. Pisze: „Bia da mi, człowiekowi, bo dobra, którego chcę, nie czynię, lecz czynię zło, którego nie chcę”. Czyli kategorycznie przyznaje, że zło tkwi w nim samym. Czyli zgodnie z takim myśleniem w każdym z nas tkwi zło. Odzwierciedla się też wyraźnie w naszej nieprzyjemnej sferze werbalnej, którą Paul Ricoeur nazwał „mową zła”. A ponieważ każdy kontakt człowieka z drugim człowiekiem odbywa się poprzez mowę to dziś jest często nasycona owocami zła. Jest ich sporo; za dużo. Są dorodne, „opakowane” w coraz nowsze skojarzenia. Zatem owa mowa rodzi się z emocji, i intrygujący jest jej prymat nad zadumą. W obecnych realiach zdaje się dominować język niechęci, język określonej „obowiązującej” w danej przestrzeni i czasie poprawności politycznej, a wreszcie swoisty język „technokratyczny”; pozbawiony wartości duchowych. Taka właśnie komunikacja umożliwia nam, i zapewnia załatwianie doraźnych spraw, i konkretnych interesów. W tak zarysowanym kontakcie werbalnym nie ma potrzeby obecności dobra. Tak więc jego deficyt oznacza w praktyce zwycięstwo zła. Jeśli zaś przyjąć, że człowiek uczy się siebie w kontakcie międzyludzkiem to oczywistą konsekwencją takiego kontaktu powinna być zaduma, refleksja, namysł, ale i empatia. Ale niestety dominuje brak poszanowania bliźniego. W efekcie tak atrakcyjna jest mowa knajacka. A przecież do niedawna była to mowa marginesu społecznego. A jeśli wspomniany Ricoeur mówi, że mowa ludzka jest rodzajem pomostu między człowiekiem i człowiekiem to w naszym współczesnym polskim świecie jest on szczególnie niebezpieczny. Dlaczego? Bo wybrukowany jest przekleństwami, obmową, oczernianiem, szyderstwem, kłamstwem, kpinami, pomówieniami; i nie ukrywajmy – wulgaryzmami. Gdzie zatem tkwią przyczyny tego, iż w naszym życiu

codziennym obecna jest „mowa zła”? A może to nowy przejaw, jak to określali niegdyś etnografowie – „opadu kulturowego”? Kiedy dawniej wieś spoglądała z podziwem na dwór szlachecki to przyjmowała z owego centrum wzorotwórczość wiele nowych wartości i treści kulturowych. I rodzi się pytanie czy dziś od elit politycznych, na zasadzie „opadu kulturowego” przyjmujemy „mowę nienawiści”? A może jest tak, że wybraliśmy spośród nas tych, którzy są po prostu tacy jak my wszyscy? Warto w kontekście tych pytań, owego dylematu zastanowić się nad myślą sformułowaną przez księdza Józefa Tischnera, kiedy pisał: „Zło w sensie ścisłym pojawia się na poziomie stosunku człowieka do drugiego człowieka, na poziomie stosunków międzyludzkich. Złe jest to, co człowiek może uczynić drugiemu człowiekowi, a przez to i sobie”. Czy o tym zapominamy czytając kolejne rozważania popularnego filozofa? Przecież w naszej codziennej mowie obowiązują nader dosadne określenia, iż bliźni jest „burakiem”, „cebulakiem”, „durniem”, „dzbaniem”, „oszołomem”, „bezmózgowcem”, „palantem”, „idiotą”, czy „folarzem”, który to epotet dotyczy osób o poglądach prawicowych. A poza tym wszystkich mamy w „d.....” Nie chcę wskazywać na podziały polityczne, które w nas tkwią, bo to nie one są tylko źródłem „mowy knajackiej”. Już nie możemy mówić normalnym językiem. Okazuje się, że nawet przy stole świątecznym potrafimy doprowadzić do ostrej konfrontacji słownej, a także zachowań i gestów, które dawniej były wykluczone bo pozostawały w jawnej sprzeczności ze sposobem pojmowania stołu jako sprzętu wokół którego zasiada się dla realizacji pewnych celów wspólnotowych, celów wyższych. Czy to oznacza, że – jak niedawno usłyszeliśmy w Bazylice Mariackiej w Gdańsku – „udomowiliśmy zło?”. A więc po co tam taka mowa?

Jąkam się coraz bardziej. Tak naprawdę, to podczas lekcji już nie mówię. Czuję się potwornie sam z tym zacinianiem. Chciałbym umrzeć, rysując. Najwięcej obrazków o jąkaniu w klasie. Na nich jestem czarny. Zawsze, zdeformowana czerni.

– Mój syn nie potrafi wysławiać się z gracją?! – Stuknął pantofel o pantofel. – Przecież czytałeś mi dzisiaj na głos klasyków. Bez jąkania.

– Ale na lekcjach się jąkam. Nie wiem...

– No to główkuj. Byle prędko. Za kwadrans przyjdzie Donajska z tajemnicą czerwonego placu, „Co powiedział o Spychalskim generał Ziętek”.

– Tam, w podstawówce, jestem prymusem, jąkała. Prymusów się bije, a tych jąkających, najmocniej. Gdyby nie Półtoraczyk, to by mnie tłukli. A w domu, przy tobie i Eisenie, rośnie w moim sercu kat. Kiedyś zabiję twojego kochasia!

– Nie mów tak! Mam tylko jego. Pijącą zabawkę. Przysięgnij na zdrowie matki, że nic mu nie zrobisz.

– Przysięgać na twoje zdrówko? Już nie zależy mi na nim. Już nie! Możesz sobie wyskoczyć z okna. Będę mieszkał sam. Z Lepszą. Może też z ojcem, jak poprosi. Nie, sam nie zrobię ci krzywdy. Jesteś moja matką. Tylko wydrapię na ścianie twój kontur. Portretowo podpartej. Przymoczka na skroniach.

– Skąd ci się to wszystko bierze... – Spojrzała na mnie trzeźwymi oczyma.

– Katowice! – wali szcudłem po stopniach Pućsamino. Wtórą je mu szczekanie Pucia:

– Kato-wice! Kato-wice! Kato-wice!

Dlaczego tak hałasują? Otworzyłem drzwi na schody.

– Nie ma już Stalinogrodu! Powiedz dyrektorowej. – Smarknął Pućsam w rękaw. Ruszam przez salon do sypialni matki. Budzę chrapiącą.

– Matko. Nie ma już Stalinogrodu!

– Jesteśmy w Katowicach! – Wskakuje na tapczan Lepsza, za Lepszą Gorsza, a za Gorszą, pies Puć. Piszczą do głowy wielmożnej. Szamocze się otepiała wrzawa i zerwanym snem. Przegania zgrają wesółków.

– Co za kac. Nie mogę się cieszyć – stęka.

– Amerykanie? – Obudził się Eisen – Za chwilę będą na Mariackiej? – Namacał pod łóżkiem butelkę. – Trzeba wypić za wyzwolenie i na kaca. – Podał matce.

(1957)

Podziękowano za współpracę trójkom klasowym, „Nie musicie słuchać, czego uczą nauczycielki, co odpowiadają uczniowie”. Wyjechał do Reichu, Olbrich. Poustawiano w salach nowe stoły.

Na Mariackiej też sporo zmian. W spożywczych chałwa i cynamon, a w monopolowych większy wybór jabłoni.

– Powódź procentów. – Cieszą się kominiarz z kominem.

Gomułka nakreślił normy wydobywania węgla.

– Nie poradzimy, chujozo – zaklął górnik z wielkim bębniem. Zadudnił pałkami. Grzmocił przeklinanie przy kiosku „Karolinki”.

Telefon. Wuj Wicek:

– Przyjedź do Poznania na wystawę abstrakcjonistów. Po latach socrealistycznego gówna, ludzie zobaczą wolną sztukę. Wolną! Mam na ekspozycji pięć obrazów. Mam, mam, mam, mam, mam. – Policzył kleksy, „chlap-chlap” jak u Jacksona Pollocka.

Pojadę. Pewnie, że pojadę. Tylko, za co?

Kończę podstawówkę.

Matka zmusiła mnie do ubrania tych niemodnych, szerokich spodni. *Tylko ojciec ma szersze, ale on jest stary.* Najchętniej czołgałbym się w nich pod chodnikami.

W klasie, jak usiadłem za moim stołem, tak siedziałem. Ani kroku, by znów nie kpili z kujona, jąkały i picusia.

Złapałem za świadectwo i wybiegłem z budynku, nie oglądając się na nikogo. Pędem ulicą Sienkiewicza, potem w dół, w ciemny tunel.

Wreszcie sam. W końcu będę miał spokój od przezwisk i bicia. Koniec.

Oparłem się o smolną ścianę. Oddech powoli wyrównywał wszystkie garby i razy, całych siedmiu lat. Powieki opadły.

Mój Anioł znów ze mną:

– Teraz już możesz malować. Rzeźbić. Możesz zacząć drogę – Jacka artysty.

Tak! Będę rzeźbił. Mam talent. Znalazłem szkołę daleko stąd. Pojadę do „kenarówki”. Do Zakopanego. Ucieknę. Tam będą mnie szanowali. Nigdy nie będę pośmiewiskiem! Nigdy!

Przetarłem oczy i z mocnym postanowieniem ruszyłem do domu.

Nikt mnie nie witał. Nikt nie gratulował. *Nie spodziewałem się.* Pragnąłem tylko jednego: zanurzyć palce w masie, ugniatać, lepić.

Zrzuciłem z siebie resztki zapachu podstawówki i niemodne gacie. Wszedłem do kuchni. Tu na szafkach, torebki pigmentów i słoiki gipsu. Wszystko na stół. Teraz narzędzia: nóż, łyżka, łyżeczka, garnek z wodą. *Jestem dobrym rzemieślnikiem. Zaraz będę twórcą.* Mieszam gips z emulsyjnymi pigmentami, dolewam szklanek wody. *Trzeba to dokładnie ugniść. Uplastycznąć.*

Przez palce przenikają myśli:

Smołowaty tunel, a w nim tłum Eisenów. Każdy z wykrzywioną, ohydłą twarzą. Wyciągają ręce, chcą dusić, chcą pożreć. „Zabierzemy cię do piekła. W czeluść. Jacusiu. Jacenty!”

Pięści uderzają stygnącą masę. Mocno, z całych sił: *w rehot Eisenów; w wykrzywione, gipsowe gęby. Rozerwać na strzępy rzeźbiczkę!*

– Jacek! Co ty robisz?! – krzyknęła nade mną Gorsza, wchodząc do kuchni zafajdanej materiałem. – I dlaczego nie masz spodni?!

W gipsowym pyłe zniknęły myśli i cienie.

Matka „pucuje” służące. Stoją przed dyrektorową na baczność. Już trzy godziny nieruchomo: Gorsza uległa listonoszowi, na węglu i na kartoflach, a Lepsza zaleca się do Jacentego.

– Wytrząsnę z was tę bezwstydną. – Przewrócił się fotel z matką. Leży Jaśnie z pustym kieliszkiem. Patrzy przez kryształ w sufit.

– Nie zasługujecie, żebym na was spojrzała – mówi wolno do siebie. Zасыpia.

Służące opadły na spocznij.

- Pomasuj mi kark, Jacusiu – poprosiła Lepsza. – A teraz łydki.
- Wy nie na bacność?! Nie skończyłam was jeszcze „puco-wać”. – Stuknął o podłogę kieliszek.
- Gorsza wyprostowała się na dywanie.

- Zabawiać panią! – rozkazała matka chrapliwie.

Eisen zerwał z głowy ciotki Heli kapelusz i nabił Donajskiego na białą czaszkę. Naciągnął garbusowi na twarz. Drżą z byłego ziemianina filcowe pióra.

- Będziesz nas dotykał łyżeczką – powiedział i obrócił niewidzącego trzy razy. – Jeśli zgadniesz, kto kim jest, zaklaskam. – Ustawił Donajskiego przed pierwszą osobą.

Sunie srebrna łyżeczka po pozłacanych ozdobach. Rozpoznał Donajszczak Helę po łańcuchu na szyi. Zachęcony klaśnięciem, mierzy dalej, ku głośnemu mamlaniu. Stuka łyżeczka w kostropatą szyję.

- Nie podoba mi się ta gęba – charczy wuj pod kapeluszem. Zerwał go z twarzy. Nasadził z powrotem na głowę ciotki Heli. Odetchnął. Wypił „Jarzębiak”. Westchnął.

- Wasz milicjant nie kopie już prostytutek, tylko szturcha łokciami – oznajmiła, wchodząc do pokoju, Cieszkowska. – Wyrażne zmiany w „Ludowej”.

Przyszła ciotka Hela z wiadomościami o wuju Serwacym. Inauguje matkę:

- Wypuścili filozofa z więzienia! Spotkałam go na Mikołowskiej. Powinnaś go przyjąć.

- Dlaczego? Nie chcę słyszeć o moich braciach. Szczególnie o tym nienormalnym. Doszedł w więzieniu do siebie?

- Nie, jeszcze bardziej chory. Podczas przesłuchań wsadzali go do skrzyni ze zwłokami.

- Przestań, Hela! Takie obrazy przed obiadem!

- Po wyjściu brakuje mu aresztu.

- Mój brat nie skacze już na ściany? Kiedyś o mało nie rozwalili mi całego pałacu. Zniszczył mi wtedy dwóch Holendrów, Ruysdaela i Goyena.

- Podobno zapisał ci wówczas swoją ostatnią żonę, z którą i tak już nie mógł.

- Zaraz, zaraz, a co się z nią stało, że jej nie było?

- Kazałaś szwagierce przeprowadzić się do czworaków. Ale chorym bratem powinnaś się zaopiekować.

- Gdzie mam go przyjąć?!

- W tamtym pokoju!

- O nie! Tam mieszka Eisen. Jeszcze mi go ogłupi. – Uderzył o „Eneidę” widelec. Uderzał coraz głośniej i szybciej.

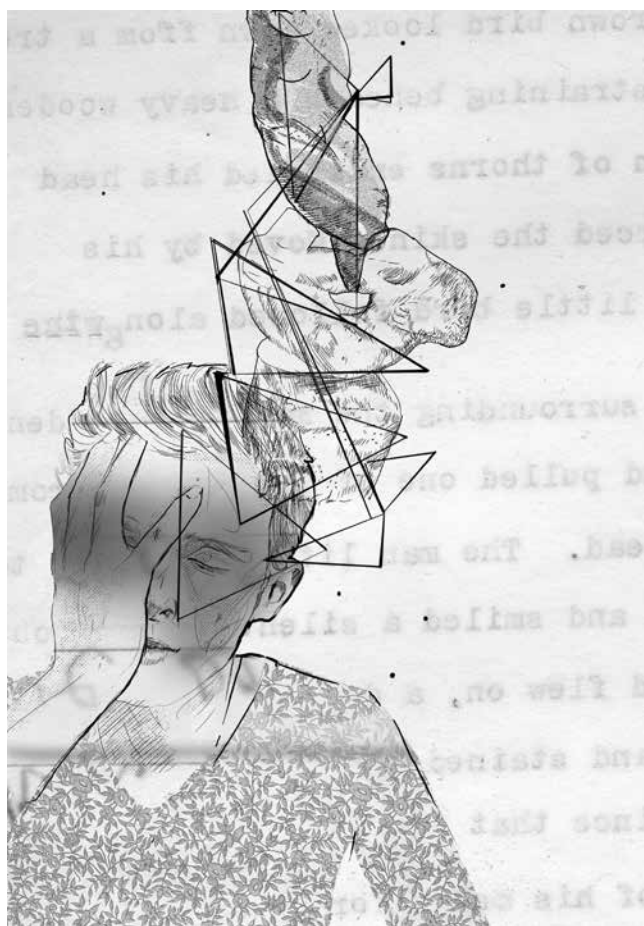
„Dla Wincentego Szmytkowskiego” – zadedykowałem rysunki zmarłemu wujowi. Pochowaliśmy go wczoraj w Gorzowie Wielkopolskim. Stałem przy otwartej trumnie, pierwszy raz widząc zwłoki. Stałem tak blisko zmarłego. Nie bałem się Wicka. Patrzyłem z miłością na jego twarz, ciepłą nawet po śmierci.

Kiedyś spędziłem u niego cudowne wakacje. Teraz uśmiechał się do mnie, martwy. Do mnie i do Lepszej, całej w szluchu.

Położyłem wujowi na butach kilka akwarel: błyskawice z Witnicy i portret z „jego głosem”: „Maluj, Jacku, co najwięcej oburza. Rzeźb. Bądź artystą”.

Z okna zwiślał Eisen wykończony „Jarzębiakiem”. Wystawała mu z ust zapalka. Upił drewno śliną.

- Gorsza podaje mi zimną zupę i bez zasmażki. I tak głośno oddycha. Przecież jest służącą – mruzczał do parapetu i mruzczał,



osuwając się na podłogę.

Stanęła nad nim matka. Patrzy pijana na pijanego.

- Śmierdzisz, jakbyś się rozkładał. Nie znoszę słabych mężczyzn. Słabe powinny być kobiety. Dlaczego nie jestem mimożoną? – rzuciła w Eisena kieliszkiem.

Wstał ciężko z parkietu. Otarł z powiek szklane okruchy, a z czoła „pracowity” dzień.

- Nie mam pieniędzy – powiedział ojciec do matki.

- To znaczy, że nie pojedę z Teodorem do Sopotu? Chociaż na miesiąc? – zdziwiła się maseczka z jaj. – Chociaż na tydzień?! – zakrzyzczało pod maską. – Chociaż?!

Zamknąłem okno. Tak na wszelki wypadek.

- Słyszałem, Jacku, że chciałyś zdawać do Liceum Kenara, rzeźbić w Zakopanem. Nie mieszkać tutaj. – Oderwał się ojciec od krzyku Jaśnie. – Przykro mi, naprawdę przykro, ale nie mam na twoje marzenia. Muszę utrzymać żonę, jej kochasia, ciebie i dwie służące.

- Daj tylko synowi. Im nie musisz – wyjąkałem.

- A co to za zawód, rzeźbiarz? Chcesz być dziwniejszy od wuja Wicka? Oprzeć się o tęczę? – Popstrykał ojciec szelką. Zadzwoił do akumulatorowni. Opieprzył panią w centralce, że tak długo nie odbierała jego telefonu. Głównego inżyniera opierdolił z rozpędu. Wycacał krawat i wyszedł.

- Będę gadać do ludzi przechodzących Mariacką. Opowiem kim bym był, gdyby nie paragrafy. Wykrzyczę swoje pragnienia. – Eisen pluł po parapecie, po begonii.

- Nie pij tyle. Nie będziesz miał ślinotoku, gdy uwolnisz się ze swoich pragnień – poradziłem jak wuj Szymon, psychiatra.

- Obedrę ze skóry Lepszą! – krzyknął. Przetarł parapet rękawem. – Będzie pasować do wielu foteli. Pozbawię ją mięsa. Pociacham piękność w plastery i porzucam! – Wychylił się przez

okno i splunął na głowę Broyowej.

– Oddaj siebie do umieralni! – zawołała z parteru Niemka.
– Na Jacentym, od niechcenia, zgaszę papierosa! Popatrzę, jak klęka przede mną tatusiowy synalek. – Zarechotał szydyczko, nawet nie spojrzawszy na mnie. – A Gorszą przysmażę wieloma petami. – Zacisnął powieki i obstukał parapet, jakby z niego coś wychodziło.

– Za głośno mówisz. Będę miał świadków i paragrafy. Wylądujesz na Pocztowej. W komendzie chętnie cię znów przeczolągają po schodach – odbiłem groźbę, groźbą.

– To przez te myśli. – Zajęczał i osunął się na parapet.

Jęk za jękiem. Bełkot:

– Zarażę Zosię jakimś choróbskiem. Będzie potulna. – Uśmiechnął się do swoich majaków.

– Chodź tu! Waruj! – Zamknęła matka „Boską komedię”.

Gorsza od rana sprząta salon. Szoruje klepki parkietu w jodelkę. Tak i tak, coraz ostrzej i ostrzej, myśląc o listowym.

Usiadłem na Steinwayu, żeby porysować z modela. B5 i B6 przedstawią służącą w ruchu.

Już narysowałem pięć Gorszych. Szepczą do podłogi, „Ozeńliby się ze mną parkionosz, gdyby nie był żonaty”.

Po mokrym parkiecie tańczy Lepsza. Tańcząc podaje mi telefon: – Wuj Szymon.

– Jacek? Zrobiłem w swoim szpitalu pantomimę „Trzech Bierutów”. Ja byłem Różą Luksemburg, a Bieruci, „na pasach”. – Cieszy się w słuchawce. – Wiązałem ich. Wiązałem. I prądem. Oddział schizofreników szalał z uciechy. Szkoda, że tego nie widziałeś. Ale za miesiąc gram znowu. Przyjedź koniecznie. Uproś Wielmożną.

Odłożyłem słuchawkę i znów podniosłem. *Ojciec. Z Warszawy.* Chciał zadzwonić do biura, ale pomylił numer.

– Złożyłem ministrowi kondolencje zamiast gratulacji. Tak mi się przejęczyło. – Westchnął, jakby chciał powiedzieć, „za wiele tego”.

Poczułem, że jestem częścią ojca kłopotów.

Eisen przebrał się za poetę i stanął na moment w płonących poduszkach. Prędko wyskoczył.

– Wytrzymaj! – nakazała matka.

– Mam się spalić? – Zakasłał, przyduszając płonienie szlafrokiem.

– Możesz. I tak nie masz wzdowu – zakpiła. Wyciągnęła z lister owickie cienie: dziergany szal z herbem Trzaska i ileś zdjęć: „Jaśnie w swoim pałacyku z marmuru”.

Przyjęto mnie do Kenara. Na podstawie rysunków i drobnych rzeźb.

– Zdajesz do Liceum Kopernika w Katowicach! Nie będę się wstydzić przed starą Totuszyńską, że mój syn w jakiejś szkółce rzemiosł, kiedy jej synalek w liceum, o którym się mówi – krzyczał się matki pantofel. Uderzył w twarz Eisena. – Ubiję, jak jeszcze raz wspomnisz o Zakopanem!

Na schodach samotność. Nie ma kształtu, koloru.

Dziwne odgłosy na schodach. Uchylam drzwi. Pocztowy wszedł w Gorszą. Wystroił się w stopnie. Głowa służącej w wiadrze. Mówi o miłości, rzezi mydłem.

Wracam do pokoju. Lepsza wyprostowana, oko w oko z dyrektorem. Zamierza odejść. Jaśnie ledwo oddycha. Chciałaby powiedzieć: „Zostań. Bez ciebie nie będę panią”.

– Gierek I sekretarzem KW na Śląsku! Będzie Sosnowiec w Katowicach, a ja zabiłabym się na waszej służącej. – Wtargnęła do mieszkania Donajską.

Za nią pocztowy:

– Polecony z Zakopanego. – Rzuca dużą kopertę na stół. Moje rysunki z liceum Kenara.

Patrzę w lustro. Chcę wejść w kryształ. Nie być tu. Z matką, z jej oziębłością i pogardą. *Uciec w nic.*

– *Twój ból zżera ci głowę – przemówił do mnie Anioł Stróż. – Nie martw się. Masz duszę artysty. Nie musisz kończyć szkół, by nim być. Za kilka lat będziesz malarzem, za czterdzieści, „narodzisz się” jako pisarz – przepowiedział. – Nie będzie już Polski Ludowej, będzie wolna Polska. Wydadzą ci kilka książek o kłótniach z Bogiem i kłótniach z ojcem. O mnie też napiszesz.*

– *Napiszę, jak pilnowałeś, bym przeżył ten koszmar. Wiesz, jak nie chcę tu być.*

– *Rozejrzyj się. Patrz przez okno. Tu gdzie jesteś, pełno bohaterów twoich powieści. Nie chowaj się, nie uciekaj, zapisuj obrazy – poradził i zniknął w odbiciu Lepszej. Stała za mną jak spełniające się marzenie.*

Matka wykrzyczała do ojca:

– Muszę wyjechać do Sopotu! Z Eisenem. Odpocząć.

– Jedźcie, gdzie chcecie. – Odwrócił się do Lepszej.

– Ale za co!? – wyjąkał Eisen.

– Masz! – Dostał od ojca w papę, portfelem. Wyleciały na stół protezy z rzodkiewką.

– Dyrektor, a żonie odmawia. Mamy jechać? Za to? Gdzie chcę?! – oburzyła się matka, licząc pieniądze. – Za tyle to mogę odpoczywać tydzień w górach, a nie miesiąc nad morzem.

– A masz wszystko! – Wyjął z teczki plik banknotów i rzucił w tiule Wielmożnej. Rozjaśniła się matki twarz. *Będzie panią przez miesiąc. Panią ze służącym Teodorem.*

– Może pan dyrektor zje coś dobrego? – zapytała Lepsza.

– Zjem kogel-mogel, ale nie tutaj. – Wybiegł ojciec z salonu.



rys. Joanna Styrylska-Galażyn, 1 czarny 2

Jestem nikim. Nie było na moją naukę. Wszystko na matkę i jej kochasia. Nie ma mnie. Nie ma. Nie ma! W głowie wir: gniew i żal, bunt i niemoc. *Jeśli nie istnieję dla matki, dla ojca, mogę robić wszystko.*

Wskoczyłem na stół. Nogi same niosły po dębowym blacie. *Nie ma Jacka. Nie ma mnie. Nie ...* wirowałem coraz szybciej i szybciej. W stopach drżenie, trzęsie się stół. *Uniosę się wysoko i będę jak mój Anioł.*

Eisen uderzył pięściami w moje łydki. Błat usuwa się spod stóp. Spadam twarzą w „przepaść”.

– Jutro w ogrodzie jordanowskim wystawa „Oto Los Angeles”. Gwałt, hazard! – oznajmili Donajscy, wchodząc do salonu. – A ty, dlaczego lizesz parkiet? – zainteresowała się ciotka.

Położony w szpitalu.

Matka chce wiedzieć, dlaczego się jąkam. Dlaczego chciałem zabić pogrzebaczem Eisena. Tych „dlaczego” jest wiele. Trudno je policzyć po nakłuciu kręgosłupa, po punkcji. Ból w plecach i pod czaszką. Lekarz kazał leżeć nieruchomo. A tam, w Chorzowie, tu w radiu, Cieślik strzelił Jaszynowi gola. „Cieślik!” – zawył komentator.

Poczułem się Ślązakiem. Pierwszy raz? Nie. Już trzeci. Pierwszy, kiedy w majowym pochodzie zadławiono szturmówkami brata Pućsamtu. A drugi, kiedy Katowice przemianowali na Stalinoogród. Mój gniew. Gniew chłopca ze śląskiej Mariackiej. Wtedy, w szkole, narysowałem portret Morcinka, a potem osikaliśmy go z Bogowolskim, kolegą z Kościuszki. Płynął nasz mocz z grudkami grafitu pod biurko Oreckiej.

„Nie można się ruszać”, przygwoździł mnie do łóżka neurolog. Nie wiedział, czy mówić mi na ty, czy na pan. To go zdenerwowało. Wypadły mu z fartucha pieniądze. Zbierał wiatyki z podłogi.

Matka przysłała do szpitala ciotkę Helę. Sama Jaśnie niedysponowana.

– Chcieli ściąć twoje drzewo, to na Mariackiej, ale położyłam się pod nim, udając pijaną. O tak. – Pokazywała ciotka obronę akcji. Spadł jej kapelusz z peruką. Zamiast kokoroko, kuku na muniu.

Ze szpitalnych ścian, krzyk kibiców. Cieślik znowu strzelił. Siostra oddziałowa przyniosła spirytus. Pijemy za Cieślika. Przestaje boleć. Na chwilę.

Kolejny, nieruchomy dzień. Zamiast mózgu znów sam ból.

Doktor zapytał, „czy rodzice się kłócą?”. Bałem się powiedzieć prawdę. *A jak im powtórzę? Nie przyjmą syna do domu i zostaną tutaj. Na zawsze.*

Po tygodniu znowu pojawiła się Kokoroko:

– Zbieraj się. Matka uznała, że chyba już zmadrzałeś.

Wracam do domu. Na Mariackiej pan fryzjer dziwnie na mnie spogląda. Mijam najpierw jego, potem pana fotografa, patrzy tak samo. I ksiądz Dekiel. Tylko Kasandra, stojąca na słupie ogłoszeniowym, nie zwraca na mnie uwagi. Prorokuje przyszłość.

Przy 18a. pies Puć skacze na trzech łapach. Witam się z kalemką. Z sieni na pierwsze piętro pod numer 4. Znów do mieszkania z Eisenem.

– Dobrze, że go nie zabiłeś. – Przytuliła mnie Lepsza na korytarzu. – Gdybyś go trafił tym pogrzebaczem, o Jezu! Gdybyś!

– Opowiedz, jak to było. Ja nic nie pamiętam. Byłem po wódkach – tłumaczę się pięknie. *Tak mi jej brakowało.*

– Eisen zjadł indyka i zasypiał, a ty mu „hak” w poduszkę, przy samej twarzy. Wypróżnił się ze strachu w ulubioną pościel dyrektorowej!

– Matka woła! Masz zaraz przyjść! – wtrącił szyderczo Eisen-bohater, zaglądając do przedpokoju.

– Jacku, jesteś już zdrow, tak stwierdził lekarz w szpitalu, więc przeproś pana Eisengraebera. Trochę się ciebie lękam. To takie przyjemne uczucie, bać się. Już dawno go nie odczuwałam.

Rewizje coraz częściej. Nie wiem, o co ojca podejrzewają. Dziś pięciu w skórzanych płaszczach. W skórach ze świni.

– Dwóch z nich już tu kiedyś było. Dawno temu. Rozbili rolszą pana dyrektora.

– Straszili nas, że zgwałcą – szeptały służące.

Usłyszał esbek szeptankę:

– Dzisiaj musimy mieć zgodę Urzędu na gwałcenie i na zabijanie. – Wyjął z szuflady zapiski pomysłów ojca. Pełno karteczek.

– Znowu nie po naszymu?! Zaś obce języki! Kto to wszystko przetłumaczy? – oburzyło się SB.

Do pokoju wpadł gołąb. Przygląda się rewizji. Spotkały się nasze spojrzenia. Porwał w dziób kilka notatek i wyleciał. Patrzyłem za nim. Usiadł na dachu „piętnastki”, posiedział szaro i pofrunął do nieba.

Przyśniesz mi się dzisiaj, tam, z ojca pomysłami.

– Powiniemem zastrzelić tego gołębia – stwierdził esbek, były ubowiec.

Lepsza z Gorszą odchodzą ze służby. Matka, oburzona ich zdradą, odwróciła się plecami. Przyjmuje tyłem przeproszenia i podziękowania. Już pofuręgały przez okno pantofle, prosto na głowę Pućsamtu. Kurwują Pućsamu na Wielmożną, jedno po śląsku, drugie po niemiecku.

– Gdzie „Przepadanka”? – pyta Eisen pusty kieliszek. – Mam się sam fatygować do sklepu? Sam?!

– Tak, sam. Służące, jak widzisz, zostawiają panią po dziewięciu latach. Niewdzięcznice! Poszły won! – krzyknęła za wychodzącymi.

Chciałem pożegnać się z Lepszą. *Co ja zrobię bez niej?! Sam w tym piekle!*

– A ty dokąd?! Nie będziesz odprowadzał tych żmij! Teraz ty, jak na syna przystało, matce służyć masz! – Założyła jaśnie nogę na nogę, lewą na prawą, a po chwili prawą na lewą. I znowu lewą na prawą. – Nie mogę się usadowić. Podaj Wielmożnej poduszkę pod stopy. – Rozkazał matki paluch. – A ty jeszcze tutaj? – fuknęła na Eisena. – Fatyguj się co prędzej! Muszę przepić gorycz po zniewadze! A jak będziesz wracał, zabierz z ulicy pantofle – podniosła obie nogi, czekając na moją „posługę”.

– Tak jest. – Zasalutował oblech i ruszył do okna. Nie zdążył wypaść, gdy tąpnęło. Pobojojwisko w pokoju. W głowie. *Nie ma Lepszej, nawet Anioł mnie opuścił!*

Jestem uczniem Liceum im. Mikołaja Kopernika w Katowicach. Nie dostałem zgody na naukę w „Kenarze”, chociaż prosiłem, błagałem. „Będziesz mieszkał tu, albo umrę”, groziła matka.

Za chwilę lekcja rosyjskiego. Zrobimy Dyrzczowej „sześć kichnięć słońca”. Każdy z uczniów, na komendę Wiesi Świebody, wrzśnie inne słowo. Ten „kich” wgniecie Dyrzczową w ścianę, a kolejne „apsiki” wgniotą wgniecenie. *Będzie wmurowana nauczycielka.*

Nadal się jąkam. Wstyd mi przed dziewczynami z klasy. Najbardziej przed Milą Tyborczyk. *Chciałbym z nią być gdzieś daleko, ale muszę uciec od tego pragnienia. Uciec od zalanego wódką domu. I uciec od siebie-kaleki, w poznańskie, do jakiegoś leśnictwa. Wozić drewno i karmę dla zwierząt. Nie zaczynać się więcej na środku klasy, nie patrzeć na zegarek, „ile do dzwonka”. Wyrwij mi Boże z krtani ten kamyk. Daj żyć normalnie.*

W klasie roześmiana Miła, a we mnie strach przed mówieniem. *Dlaczego mówię najtrudniej mi wypowiedzieć własne nazwisko? Dlaczego mówię płynnie, kiedy nikt nie słucha?*

Dziś we śnie byłem zdrowy, nie jąkałem się. Nie żył już Eisen i umierała matka. Szedłem do szkoły raźnie, z radością. Tańczył płaszcz, a w płaszczu kluczyk do serca Miłi.

Książka ukaże się w 2019 w Wydawnictwie Norbertinum.

przełożył Andrzej Szuba

Powrót bohaterów

1 Myśląc o tych krainach i namiętnych latach, o samym sobie,
Przez chwilę zajmę się wami, jesienne pola,
Spocznię na waszej piersi, oddam się wam bez reszty,
Odpowiem na miarowe bicie waszego zdrowego serca,
Ułożę poemat dla was.

O ziemio, która sama nie mówisz, spraw, abym ja przemówił,
O plonie moich krain — O bezkresne żniwo lata,
O brunatna hojnie rodząca ziemio — Łono niewyczerpane,
Ta pieśń ciebie opowie.

2 Od zawsze na tej scenie
Odgrywany jest spokojny doroczny dramat Boga,
Wspaniałe parady, ptasie śpiewy,
Wschód słońca, co najlepiej syci i orzeźwia duszę,
Huśtawka morza, fale bijące o brzeg, muzyka grzywaczy,
Lasy, drzewa krzepkie i drzewa smukłe, strzeliste,
Lilipucie, niezliczone armie traw,
Skwar, przelotne deszcze, bezkresne pastwiska,
Śnieżne pejzaże, wolna orkiestra wiatrów,
Rozległa, świetlista powała chmur, jasnoblękitne i srebrzy-
ste frędzle,
Niedosiężne gwiazdy, spokojne kuszące gwiazdy,
Ruchliwe stada i trzody, równiny i szmaragdowe łąki,
Widowisko przeróżnych krain z wszystkimi ich wytworami.

3 Płodna Ameryko — dzisiaj,
Cała jesteś radością rodzenia!
Stękasz opchana bogactwem, obrasta cię tłuszcz zamożności,
Śmiejesz się głośno, choć cierpisz z przesyty,
Bujnie pleniące się życie jak winna latorośl oplata wszystkie
twoje rozległe włości,
Jak ogromny, załadowany po brzegi statek, wpływasz do portu,
Jak deszcze padają z nieba, a opary unoszą się z ziemi, tak
wszystko, co wartościowe, do ciebie dąży i z ciebie pro-
mieniuje;
O cudzie, który budzisz zazdrość całego świata!
Która pławisz się w dobrobycie i dławisz obfitością,
Która jesteś szczęśliwą Panią cichych stodół,
Która jesteś Królową, co siedzi pośrodku Prerii i patrzy na swój
świat, patrzy na Wschód i patrzy na Zachód,
Szafarko, która jednym rozkazem rozdajesz tysiąc mil, mi-
lion farm i nie zapominasz o niczym,
Która wszystko wybaczysz — bo jesteś wielkoduszna, wiel-
koduszna jak sam Bóg wielkoduszny.

4 Kiedy ostatnio śpiewałem, smutna była moja piosenka,
Smutne sceny rozgrywały się wokół, w ogłuszającym zgieł-
ku nienawiści, w dymach wojny;
Stałem wśród bohaterów, w samym środku konfliktu,
Albo wolnym krokiem szedłem między umierających i rannych.

Ale teraz nie śpiewam o wojnie,
Ani o równym marszu żołnierzy, o namiotach w obozach,

Ani o pułkach spiesźnie ustawiających się w bojowym szyku;
Dość już tych smutnych, surowych obrazów wojny.

Czy to zwycięskie, nieśmiertelne szeregi, przodem ciągnące
armie, napraszały się miejsca w wierszu?
Niestety, tego miejsca napraszają się inne, upiorne szeregi,
budzące strach armie.

(Przechodźcie, przechodźcie, brygady, oto słyszę krok nóg
muskularnych,
Widzę młode, silne ramiona, dźwigające plecaki, muszkiety;
Jakim szczęściem było obserwowanie waszego dumnego
marszu.

Przechodźcie — jeszcze raz łoskot werbli,
Bo widać znów falującą armię, to już inna zbiera się armia,
Roi się, wlecze w dali, o, strach budząca armio,
O, wy pułki żałosne, dziesiątkowane gorączką i śmiertelną
biegunką,
Okaleczone dzieci Ameryki, całe w krwawych bandażach,
o kulach,
Tak sunie armia duchów.)

5 Ale czy ten rozległy, cudowny krajobraz,
Z jego drogami i drózkami, z kopiałymi furami, z owo-
cami i stodołami,
W te pogodne dni, powinni zakłócać zmarli?

Ach, zmarli nie szpecą pejzażu, komponują się świetnie z Naturą,
Komponują się świetnie z pejzażem, z trawą i drzewami,
Z niebem, stykającym się z dalekim horyzontem.

Bo też nie zapominam o was, Którzyście Odeszli,
Nie zapominam zimą, ani latem, moi utraceni,
A najczęściej na wolnym powietrzu, jak teraz, kiedy dusza
skupiona i spokojna,
A wspomnienia o was, jak przyjazne widma, unoszą się bez-
szelestnie wokół.

6 Widziałem owego dnia powrót bohaterów
(Choć przecież ci najwięksi nigdy nie powrócą,
Tych tamtego dnia nie widziałem).

Widziałem niekończącą się rzekę, widziałem procesje armii,
Widziałem, jak podchodzą, dywizja za dywizją,
Jak płyną strumieniem na północ, po skończonej robocie,
i obozują przez chwilę w ogromnych obozach.

To nie żołnierze na urlopie — młodzi, a przecież weterani,
Wycieńczeni, smagli, przystojni, krzepcy, z zagród i warsztatów,
Zahartowani w wielu długich kampaniach i wyczerpujących
marszach,
W niejednej okupionej krwią bitwie.

Chwila przerwy — armie czekają,
Milion dumnych, gotowych do walki zwycięzców czeka,
Świat także czeka, i — tak jak o świcie noc blednie,

Tak oni topnieją i znikają.

Radujcie się, o krainy! zwycięskie krainy!
Nie tam, na tych czerwonych, drgających polach jest wasze
zwycięstwo,
Lecz tutaj jest jego źródło.

Topnijcie, topnijcie, armie — rozpraszcacie się żołnierze w błę-
kitnych mundurach,
Niech się dokona przemiana, porzućcie broń śmiercionośną,
Już inna broń, inne pola czekają odtąd na was, na Południu
i na Północy,
Inne wojny: bezkrwawe, budujące i życiodajne.

7 Niech głośno i czysto rozbrzmiewa moja pieśń, duszo!
To czas dziękczynienia, głos pełnego oddania,
Śpiew radości i nieskończonej płodności.

Oto widzę wszystkie pola: uprawiane i nieuprawiane,
Widzę prawdziwe areny mojej rasy: pierwsze i ostatnie,
Areny człowieka mocnego i niewinnego.

Widzę bohaterów przy innej robocie,
Widzę, jak sprawnie posługują się już lepszą bronią.

Widzę, jak Matka Wszystkich patrzy
Wszecchobejmującym okiem, jak rozmyśla
I przelicza obfitość plonów i produktów.

Wiele się dzieje na rozległym, słonecznym horyzoncie:
Prerie, sady i żółte zboża na Północy,
Bawełna i ryż na Południu, trzcina cukrowa w Luizjanie,
Puste, nieobsiane odłogi, bogate pola koniczyny i tymotki,
Pasące się krowy i konie, stada owiec i świń,
I wiele dostojnych rzek, i wiele radosnych potoków,
I zdrowe wyżyny z ich pachnącą ziołami bryzą,
I soczysta, zielona trawa, ten delikatny, odwiecznie odradza-
jący się cud.

8 Nie szcędźcie trudu, bohaterowie! zbierajcie plony!
Nie tylko na polach bitwy ogląda was
Potężna Matka Wszystkich o jasnych oczach.

Nie szcędźcie trudu, bohaterowie! umiejętnie obchodźcie
się z bronią!
Matka Wszystkich, jak zawsze, patrzy na was.

Oto ty, Ameryko, rada oglądasz
Te pełzające potwory na polach Zachodu,
Ludzko-boskie wynalazki, narzędzia usprawniające pracę;
Oglądasz uwijające się jak żywe, obracające się grabie do siana,
Kieraty i żniwiarki parowe,
Silniki, młockarnie i wytrząsacze słomy, gorączkową pracę
patentowanych wideł,
Oglądasz nowszy tartak, odziarniarkę bawełny z Południa
i łuszcarkę ryżu.

Pod twoim Macierzyńskim spojrzeniem,
Przy pomocy tych i innych urządzeń, i własnymi rękami, bo-
haterowie zbierają plony.

Wszyscy zbierają plony,
Lecz gdyby nie ty, o Potężna, kosa nie mogłaby tańczyć tak
bezpiecznie, jak tańczy,
A łodyga kukurydzy nie mogłaby tak spokojnie wymachiwać
swą jedwabistą kitką.

To tylko dzięki tobie oni zbierają plony, nawet najmniejszą

wiązkę siana,
Zbierają pszenicę w Ohio, Illinois, Wisconsin, każde wąsate
żdźbło dzięki tobie,
Zbierają kukurydzę w Missouri, Kentucky, Tennessee, każdy
kłos w jasnozielonej osłonie,
Gromadzą nieprzeliczone sterty siana w wonnych, cichych
stodołach,
Owies — w koszach, podobnie białe ziemniaki i michigań-
ską grykę;
Zbierają bawełnę w Mississippi czy Alabamie, kopią i robią
zapasy złocistych patatów w Georgii i Karolinach,
Strzygą owce w Kalifornii czy Pensylwanii,
Ścinają len na Środkowym Zachodzie, a konopie czy tytoń
— przy granicy,
Zbierają groch i fasolę, albo zrywają jabłka czy kiście winogron,
Albo cokolwiek, co dojrze we wszystkich tych stanach,
na Północy czy na Południu,
Dzięki świecącemu słońcu i tobie.

Wiersze pochodzą z książki Walt Whitman "Powrót bo-
haterów" w przekładzie Andrzeja Szuby. Wydawca: „Śląsk”
Sp. z o. o. Wydawnictwo Naukowe, Katowice 2019.



Woda. Rys. Marta Domagała

Śląskie tajemnice cz. 13

Piękno zaklęte w baroku

JULIA MONTEWSKA

Do niewielkiej wsi Mańczyce leżącej na trasie Strzelin-Borów jechałam bez przekonania. Wiedziałam o istniejącym tam pałacu, jednak informacje krążące o właścicielu nie napawały mnie optymizmem, co do możliwości fotografowania obiektu czy zwiedzenia jego wnętrza. Pałacu w Mańczęch nie sposób przeoczyć, widoczny z daleka góruje nad okolicą. Rudobrzazowe od rdzy poszycie dachowe z dużej odległości wskazuje miejsce, w którym wybudowano pałac.

Przemierzając Dolny Śląsk w poszukiwaniu dworów, pałaców bądź tego, co po nich zostało nieraz zastanawiałam się, który z nich bym kupiła – gdybym była tak obrzydliwie bogata, że byłoby mnie na to stać. Wybieając styl postawiłabym na symetrię baroku, pałac nieduży, najlepiej lokowany w założeniu parkowym o starym drzewostanie. Nie sądziłam, że taki kiedykolwiek znajdę aż do czasu, gdy trafiłam do Mańczę. Tak, ten pałac zrobił na mnie wrażenie.

Patrząc przez ogrodzenie długo się zastanawiałam, czym on na chwilę obecną jest. Z jednej strony własność prywatna, co do której właściciel ma wielkie plany, z drugiej – ruina, która miała podnieść się z kolan, ale od 22 lat nic poza ogrodzeniem obiektu się tu nie dzieje. Sytuacja cokolwiek dziwna; zważywszy na to, że pałac jest naprawdę piękny. Jego historia rozpoczyna się około 1711 roku, gdy na miejscu XVI-wiecznej renesansowej rezydencji wybudowano pałac za sprawą Karla Chrystiana von Gfuga – barona a następnie hrabiego, który tytuły otrzymał z rąk samego Cesarza. Pałac został przebudowany w XVIII wieku przez rodzinę von Stosch.

Na przestrzeni wieków pałac był dziedziniony i sprzedawany, zmieniali się właściciele a wraz z nimi pomysły na zagospodarowanie majątku w Mańczęch. W pobliżu rezydencji rozlokowano zabudowania gospodarcze folwarku, rozłożone wokół prostokątnego dziedzińca, te posiadały nawet gorzelnię. Większość z nich zachowała się do dziś, najciekawsza jednak jest gorzelnia. Do pałacu należał też park krajobrazowy z oranżerią, której pozostałości możemy oglądać do dnia dzisiejszego.

Rok 1887 to ostatnia ingerencja w bryłę obiektu, gdy rezydencja została nieznacznie przebudowana. Ostatnim przedwojennym właścicielem pałacu była rodzina von Minckwitz. Bezlitosne, niszczące działania wojenne w nieznanym stopniu uszkodziły pałac. Ślady walk widoczne są do dzisiaj na kominie gorzelni, być może właśnie to było powodem do jej zamknięcia. Powojenne losy obiektu nie odbiegają od schematu, który znamy z historii innych obiektów

O LOSIE DECYDUJE JEDEN POCISK

Niedaleko mańczyckiego pałacu znajduje się gorzelnia, która niegdyś stanowiła część dużego założenia pałacowo-folwarcznego. Obiekt został wybudowany z dużym rozmachem, ponieważ w odróżnieniu od innych budowli tego typu został wyjątkowo pięknie ozdobiony. Gorzelnię wybudowano z cegły, jednak elewację pokryto łupkiem granitowym. Na jednej ze szczytowych ścian widnieją inicjały „G v S”, co wskazuje na to, że obiekt powstał z inicjatywy Georga von Stosch w 1874 roku. Gorzelnia funkcjonowała do czasów wyzwolenia w 1945 roku. Podczas walk pocisk uszkodził komin gorzelni. Ślad widoczny jest do dziś, uszkodzenia nigdy nie naprawiono. Po wojnie gorzelnia wraz z innymi zabudowaniami folwarcznymi i pałacem weszła w skład PGR. Do jakich celów wykorzystywano jej pomieszczenia, czy odbywała się w niej jeszcze jakaś produkcja czy też przekształcono ją na magazyn trudno dziś określić. Obecnie to ruina pozostająca w dalece posuniętym stopniu rozkładu. Dach gorzelni oraz górne kondygnacje w zasadzie nie istnieją, wnętrza odarte z elementów metalowych jak i urządzeń gorzelnianych świecą pustkami. W zasadzie w całym obiekcie panuje dziwna próżnia, jedynie rozkute ściany i okna bez stolarki świadczą o tym, że z gorzelni zabrano w zasadzie wszystko, co mogło się przydać w gospodarstwie lub stanowiło jakąś wartość. W najlepszym stanie zachowały się gorzelniane piwnice pomimo tego, że zalegają w nich sterty śmieci. Podobno całkiem niedawno był pomysł na zagospodarowanie starej gorzelni, szkoda, że został w sferze niespełnionych marzeń.

tego typu. Pałac wraz z zabudowaniami folwarcznymi stał się częścią PGR. Potem było już tylko gorzej, likwidacja PGR spowodowała, iż obiekt wpisano na listę Agencji Własności Rolnej Skarbu Państwa. Rok 1997 przyniósł zmiany w postaci prywatnego właściciela i nadziei, że pałac odzyska dawny blask.

Niestety na marzeniach i planach najwyraźniej się skończyło, a nadzieja? Ta jeszcze jest, pomimo że stan pałacu pogarsza się z roku na rok. Nie potrzeba być fachowcem by ocenić, że obecny stan dachu, który w kilku miejscach przegnił do tego stopnia, że się zawalił, nie wróży obiekтови najlepiej. Okna dolnej kondygnacji zostały zamurwane, pozostałe straszą wybitymi szybami i postrzępioną folią, którą ktoś nieudolnie starał się zastąpić szyby. Piękno baroku zostało w barbarzyński sposób okaleczone betonowymi bloczkami, które uznano za najlepszy sposób na zabezpieczenie obiektu.

Najwyraźniej cel uświęca środki, wszystkie możliwe, potencjalne wejścia do pałacu zostały zamurwane po notorycznych grabieżach obiektu na początku lat dziewięćdziesiątych. Najczęściej łupem złodziei padały elementy metalowe oraz drewniana boazeria, którą wynoszono na opał. Reszta zniszczeń jest po prostu wandalizmem.

Pałac urzekł mnie do tego stopnia, że postanowiłam wejść na jego teren. Jak się okazuje elewacje rezydencji zachowały liczne detale architektoniczne, np. kartusze herbowe nad środkowym oknem drugiej kondygnacji.

Budynek wybudowano na planie zbliżonym do podkowy z czterokondygnacyjnymi wieżami. Wejście główne, do którego prowadzą symetrycznie rozmieszczone schody zostało ozdobione osiemnastowiecznym barokowym portalem, na którym ulokowano balkon. Przed pałacem znajduje się fontanna. Stojąc przed nią i spoglądając na bryłę obiektu bez trudu dostrzeżemy proporcje i równowagę baroku. Prawa strona jest odzwierciedleniem lewej, wszystko ma swój bliźniaczy odpowiednik.

Pomimo że od roku 1980 pałac znajduje się rejestrze zabytków i z urzędu powinien być objęty ochroną konserwatorską, popada w ruinę. Nie wiadomo, w jakim stanie znajdują się pałacowe wnętrza, mając na uwadze złą kondycję poszycia dachowego wniośki nasuwają się same.

Osobiście uważam, że jeśli na przestrzeni kilku kolejnych lat pałac nie zostanie poddany remontowi podzieli los innych śląskich rezydencji, które przez zaniedbania popadły w całkowitą ruinę. ■

Julia Montewska – regionalistka, pasjonatka ruin, miłośniczka zabytków oraz architektury obronnej i przemysłowej Dolnego i Górnego Śląska, twórczyni internetowego portalu Łowcy Historii, publikuje w miesięczniku „Odkrywca”.





Półkopia pancerna wraz ze zrzutnią lusek.



Tylna ściana obiektu ze strzelnicą rkm-u (w miejscu czerpni powietrza)

Kolos u wrót Dąbrówki Wielkiej

DARIUSZ PIETRUCHA



foto Dariusz Pietrucha

Romek podczas oprowadzania zwiedzających.

Pamiętam ten schron sprzed lat. Pomimo tego, że stał zaraz przy drodze, właściwie nie było go widać. A przejeżdżało się obok autobusem czy też tramwajem. Zarośnięty krzakami i samosiejkami, widoczny był tylko wtedy, gdy roślinność zrzucała z siebie swój letni mundurek. Gdy podeszło się bliżej, ukazywała się jego potężna bryła, choć wtedy spora jej część ciągle była jeszcze niewidoczna. Gdy rozpoczęła się jego renowacja, oczom wszystkich ukazał się w swojej pełnej okazałości. To naprawdę kawał betonu.

Schron Prezydenta

Właściwie należy się cieszyć, że co cztery lata mamy w kraju wybory samorządowe. Dlaczego? Bo wtedy nagle wielu samorządowców chce zaistnieć. Zrobić to w bardzo widoczny sposób. W Piekarach Śląskich udało się to wygrać po naszej myśli. Renowacja schronu leżącego zaraz przy ruchliwej drodze? Ależ tak. To bardzo spektakularne. Będzie wymalowany, odświeżony? Ależ tak. To będzie dobrze postrzegane przez okolicznych mieszkańców. Zrobione rękoma członków stowarzyszenia? Tym lepiej – wystarczy dać pieniądze, a oni to sami zrobią. A później? Przyjedzie się, przetnie wstęgę, zdjęcia pojawią się w mass mediach, członkowie stowarzyszenia oprowadzą, zadbają o zwiedzających i wszystko będzie super.

Tak właśnie było, choć pieniądze przekazane wówczas przez władze samorządowe na niewiele wystarczyły. Przedstawiciele władz przecięli wstęgę, wdzięczyli się do zdjęć, choć finalnie niewiele im to pomogło. Ale członkowie stowarzyszenia zrobili swoje. Jak zawsze. Schron został bardzo szybko wyremontowany, a jeszcze szybciej wyposażony. Był tylko jeden zgrzyt. Na stojącej nieopodal schronu tablicy infor-

macyjnej, której standardowy wygląd mamy od lat opracowany, miała się znaleźć informacja, że schron został wyremontowany dzięki wsparciu... Tu miało paść konkretne imię i nazwisko. No i się nie zgodziłem. To nie było prywatne wsparcie, tylko pieniądze podatników. Tak nie można.

Na szczęście te czasy już minęły. Obecne władze pomagają nam, ile mogą. I nikt nie wspomina o osobistych laurkach. W 2018 r. w miejscie Piekary Śląskie została przeprowadzona wzorcowa wręcz akcja oznakowania tablicami informacyjnymi zarówno schronów bojowych, jak i podziemnych schronów przeciwlotniczych, których stan techniczny przy okazji został sprawdzony. Nie wszystkie tablice zostały już zamontowane, ale to kwestia tygodni. Inni powinni pójść w ich ślady.

Romek

Od dzieciństwa związany jest z Dąbrówką Wielką. Stąd pochodzi jego rodzina. Ta rozległa wieś kiedyś należała do bytomskich mieszczan. Obecnie jest częścią miasta Piekary Śląskie. Ale Dąbrówka to miejsce specyficzne. Na swój sposób hermetyczna społeczność. Enklawa śląskości.

Romek jest z nią zrośnięty, jak drzewo ze swoim korzeniem. Dla niego Dąbrówka jest wszystkim, całym małym wszechświatem, który stara się chronić i pielęgnować. Robi to dla innych – nie dla siebie. I za to go cenię.

Ludzie na obiekcie się zmieniali. Jedni przyszli tylko ponarzekać, inni, by tylko namącić, a jeszcze inni zajrzeli tam raz czy dwa, ale pewnie ogrom roboty ich przerósł. Romek był od początku do końca. Jest do dzisiaj. Ów schron to właściwie jego dzieło. On dba o jego wnętrze, on zazwyczaj oprowadza, choć czasami starają się mu w tym pomóc Melchior i Jasiu. Romek uzupełnia ekspozycję, przynosi nowe ekspozyty, dba o ich estetyczny wygląd. On też opowiada. Ludzie lubią go słuchać. Widziałem to nie raz, gdy nierozpoznany przez innych stałem i słuchałem. Jak każdy zwiedzający.

Romek jest Ślązakiem i z właściwymi dla siebie emocjami opowiada o historii tego regionu. Na jego schronie powiewa również śląska flaga. Pomimo upływu lat ciągle jest pełen pomysłów i energii do ich realizacji, choć przecież młodszy nie jesteśmy. Razem opracowaliśmy tablice, które stały przy wszystkich piekarskich obiektach. Razem obsługiwaliśmy w 2018 r. edycję Europejskich Dni Dziedzictwa. Co prawda Romkowi przybył jeszcze jeden obiekt w Dąbrówce, którym musiał się zająć, ale daje radę. Bez niego opisywany schron nie miał by szansy na funkcjonowanie. Ja myślę, że serce tego betonowego kolosa doskonale to wie. Bije w zsynchronizowanym tempie z sercem Romka.

Schron

Wspomniany schron został wybudowany w 1936 r. Jest częścią Grupy Bojowej „Brzeziny”. Owa grupa została wybudowana jako kolejny element polskiej linii umocnień, którą pomalutku przekształcano w Obszar Warowny „Śląsk”. Obok znajduje się „wiekowe” Wzgórze 304,7, jeden z pierwszych elementów owych umocnień. Ale o nim innym razem. Dzięki obiektom tej grupy (a były to również schrony pozorowo-bojowe i jeden lekki schron dla dwóch rkm-ów) została wypełniona zapelniona luka w obronie, znajdująca się w obniżeniu terenu pomiędzy Wzgórzem 298 w Kamieniu a Wzgórzem 304,7 w Dąbrówce Wielkiej, osłonięty dodatkowo zabudową miejską i przemysłową. Pomiędzy schronami Grupy Bojowej „Brzeziny” ciągnęły się dodatkowe umocnienia polowe i ziemne, których niewielkie fragmenty zachowały się do dzisiaj. Niestety, w skali całego Obszaru Warownego „Śląsk” Grupa Bojowa „Brzeziny” to słabe ogniwo w łańcuchu polskich fortyfikacji. Niemcy o tym wiedzieli...

To najcięższy schron w tej grupie. Na jego wyposażeniu bojowym były dwa ckm-y i jedno działko przeciwpancerne. Ckm-y to oczywiście chłodzone wodą karabiny typu Browning wz. 30. Jeden z nich był umieszczony w kopule pancernej, która ma od wewnątrz wybitą sygnaturę ZO 1936 N84. Drugi ckm umieszczono za pionową płytą pancerną. Pierwszy ckm zamykał swoim ogniem drogę prowadzącą z Brzeziny Śląskich do Dąbrówki Wielkiej. Bez wątpienia zamykał dość skutecznie. Drugi ckm miał ostrzeliwać teren ciągnący się w stronę kopalni „Andaluzja”. Najważniejszym uzbrojeniem tego

obiektem było jednak działko przeciwpancerne, którego strzelnica jest skierowana na kopalnię „Andaluzja” i drogę prowadzącą z Kamienia na stronę Brzezin Śląskich. Może inaczej. Miejsce, gdzie kiedyś stała kopalnia, bo dzisiaj pozostały po niej tylko cztery schrony i wielkie, puste pole. To też zasługa prezydenta. Tego samego, który chciał się uwiecznić na naszej schronowej tablicy. Schron miał również chronione zapole (czyli teren na swoich tyłach), gdyż sięgała tam strzelnica rkm-u (Browning wz. 28). Co ciekawe, obiekt nie posiada wyjścia ewakuacyjnego. Gdyby zaszła taka potrzeba, można się było ewakuować przez strzelnicę działka przeciwpancernego.

Schron posiada dwie kondygnacje. Górna była kondygnacją bojową, a dolna techniczno-mieszkalną. Schron posiadał swój agregat prądotwórczy, który zapewniał mu niezależne źródło prądu. Obiekt ma wiele przeróbek i nietypowych rozwiązań. Jedną z czerpni powietrza została przebudowana na strzelnicę rkm-u. Schron posiada dwuskrzydłowe, dwu-

dzielne drzwi pancerne o nietypowo szerokim wymiarze (część z nich musieliśmy dorożkami). Pomimo tego działka nie dało się wtoczyć do środka, dlatego musiało być wstępnie rozbiierane i składane dopiero na stanowisku bojowym. Nietypowa jest również grubość ścian obiektu, gdyż tylna i boczna ściana schronu, czyli ściany mniej narażone na bezpośredni ogień przeciwnika mają po 150 cm grubości, czyli więcej, niż tradycyjne obiekty wybudowane w klasie odporności E. Co ciekawe, podłoga na górnej kondygnacji posiada charakterystyczną, zielonkawą wylewkę imitującą PCV, co spotykamy w bardzo niewielu schronach. Prawdopodobnie w ten sposób eksperymentowano z podłogą. Na górnej kondygnacji ulokowano izby bojowe oraz skład amunicji, natomiast na dolnej znajdowały się pomieszczenia załogi, maszynownia oraz izba dowodzenia. No i znowu coś nietypowego. W trakcie budowy obiektu na dolnej kondygnacji źle zamontowano uchwyty dwóch żołnierskich prycz. Ich elementy montażowe to spore stalowe elementy

wtopione w żelbetową ścianę. Nie było wyjścia – błąd trzeba było naprawić. Oznaczało to moliżną pracę żołnierzy, którzy musieli skuć beton na głębokość 10 cm, dzięki czemu powstała widoczna do dzisiaj nisza w ścianie. Natomiast na zewnątrz, przy kopule pancernej, znajduje się głęboka betonowa zrzutnia na łuski z ckm-u, rzadko spotykana na innych obiektach.

1939

W 1939 r. obsadę bojową Grupy Bojowej „Brzeziny” stanowili żołnierze ze składu IV batalionu specjalnego ckm 11 pułku piechoty z Tarnowskich Gór. Była to tzw. kompania forteczna „Dąbrówka”, która miała na Wzgórzu 304,7 swoje koszary. W związku z tym, że ten fragment polskiej linii obronnej nie był zbyt szczelny, Niemcy starali się to wykorzystać. W dniu 1 września 1939 r., w godzinach rannych, silna grupa niemieckich dywersantów z organizacji „Freikorps” dowodzona przez miejscowego szefa „Jungdeutsche Partei” Schimmelbrota przedarła się stroną zakładów „Orzeł Biały”. Wywiązała się zaciekła walka. Do kontrataku ruszyły kompania powstańcza dowodzona przez Emanuela Nowaka i kompania Wojska Polskiego dowodzona przez kapitana Bombę. Niemcy zostali wyparci, ponosząc spore straty. Owo starcie toczyło się już bardzo blisko opisanego schronu. Kto wie, czy jego załoga nie brała udziału w tej potyczce. To całkiem prawdopodobne. Popołudniem w dniu 2 września polscy żołnierze zgodnie z rozkazem wycofali się na wschód. Schron pozostał opustoszały. Takim zajęli go Niemcy.

Opowieść Romka

Podobno w 1945 r. w owym obiekcie schronił się niemiecki dezertor. Nie chciał już walczyć za Hitlera i jego tysiącletnią III Rzeszę. Nie chciał już narażać życia w żadnej sprawie. Chciał przeżyć i wrócić do domu. Nie wiem, czy czasem nie pochodził z Dąbrówki, którą podczas tej wojny w dużej części wsadzono w mundury Wehrmachtu. Podobno pomagała mu jakaś miejscowa kobieta. Podobno była nauczycielką. Przynosiła mu jedzenie i cywilne ubrania. Może nie był obcy jej sercu? A może straciła swojego mężczyznę i starała się uratować kogoś w zamian? Tak dla humanitarnej równowagi? Tego nie wiem. Wiadomo jednak, że w tamtych czasach dezertor nie miał szans. Czy złapali go Niemcy? Czy może Rosjanie? Szczerze mówiąc u jednych i u drugich czekała go kulka. Co się stało z pomagającą mu kobietą? Pytania bez odpowiedzi...

Opowieść Bernarda

W tym roku ma 104 lata. Od urodzenia mieszka w Dąbrówce Wielkiej – w odległości ok. 500 m od schronu. Jego życiorys to dobry materiał na film sensacyjny. Jako polski żołnierz w 1939 r. brał udział w obronie Kępy Oksywskiej. Służył w morskiej jednostce obsługującej reflektory przeciwlotnicze. Wspomina, że pole walki zamieniło się wtedy w księżycowy krajobraz, a kule złowrogo świszczwały nad głową. Później trafił do niemieckiego Stalagu. Tam jako Ślązak został rozpoznany przez jednego z niemieckich strażników, który pochodził z Ka-

foto Dariusz Pietrucha



Korytarz obiektu z widokiem na różne ekspozycje.

towic. Ten załatwił mu zwolnienie do domu. Przecież Bernard był już obywatelem III Rzeszy (Śląsk w 1939 r. wcielono do Niemiec). Wrócił więc do domu i rozpoczął pracę na kopalni. Nie na długo. Dostał powołanie do niemieckiej armii. Jako żołnierza Wehrmachtu wysłano go do jednostki szkoleniowej ulokowanej na terenie Francji. W jego oddziale było dużo Ślązaków. Część z nich to dawni żołnierze Wojska Polskiego. Kilku z nich, w tym Bernard, postanowiło uciec. Wykorzystali moment, gdy wysłano ich na patrol. Samych Ślązaków. Już nie wrócili do swojej jednostki.

Chcieli dalej walczyć. Tym razem z Niemcami. Ale mieli jeszcze jedno marzenie. Nie widzieli Paryża. W niemieckich mundurach, bez stosownych dokumentów, grupka dezertków udała się do zajętej przez Niemców stolicy Francji podziwiać tamtejsze zabytki architektury, a może bardziej słynące z urody francuskie przedstawicielki płci pięknej. Przechadzając się po Paryżu mówili do siebie śląską gwarą. W pewnym momencie podszedł do nich mężczyzna i spytał po polsku, skąd pochodzą. Odpowiedzieli. Ten zaproponował im przerzut do II Korpusu. Zgodzili się. Prawdopodobnie trafili na jakiegoś agenta werbunkowego.

Ruszyli w stronę południowej Francji. Znaleźli się w porcie Le Havre. Tam trafili na moment bombardowania urządzeń portowych przez formację alianckich bombowców. No i właśnie. Bernardowi przypomniał się wtedy Śląsk. Gdy był nastolatkiem, najpierw brał udział w sypaniu Kopca Wyzwolenia, a później wraz ze swoim ojcem zatrudnił się przy wznoszeniu polskich schronów bojowych. Pracował przy budowie opisywanego wcześniej schronu. Gdy w Le Havre zobaczył, jak wielkie betonowe schrony, które Niemcy wnieśli w tym porcie, unosiły się w powietrzu pod uderzeniem alianckich bomb pomyślał sobie: „Boże, co myśmy na tym Śląsku budowali? Takie kolosy latają w powietrzu, a tam my takie pyrtki (tzn. maleństwa) budowali!”. Bombardowanie w Le Havre wspominał jako jedno ze swoich najgorszych wojennych doświadczeń.

Ciężki polski schron bojowy wchodzący w skład Grupy Bojowej „Brzeziny” wcale nie jest pyrtkiem. Pewnie, w porównaniu z wielkimi schronami przeznaczonymi dla U-bootów to pestka. Ale w 1939 r. to jeden z większych schronów na tym odcinku, który dla Niemców był postrachem. Omijali go z daleka. A Bernard? Trafił do II Korpusu, ale już po Monte Cassino. Zakończył swój szlak bojowy w północnych Włoszech. Co szczególnie zapamiętał? Potancówki i piękne Włoszy. Ale jako saper zajmujący się montażem (często pod ostrzałem) stalowych mostów Bailey'a pamięta nazwy wszystkich włoskich rzek, które wtedy przekraczali. Pełen żołnierski profesjonalizm. Ma 104 lata. Mieszka niedaleko schronu.

Bunkrowa integracja

To już wspólna inicjatywa Jasia i Romka. Kiedyś pomyśleli sobie, że byłoby fajnie, gdyby pod koniec roku, w zimowej aurze, przy trzaskających płomieniach ogniska spotkać się, zjeść pyszne pieczone kielbaski lub inne ogniskowe specjalności, a także napić się czegoś mocniejszego. Tak na pożegnanie roku wraz z życzeniami, żeby wszyscy



Jedno z pomieszczeń obiektu z ekspozycją.

spotkali się w tym miejscu w następnym roku. Z czasem inicjatywa dobrze się przyjęła i na opisywane spotkania zaczęli również przyjeżdżać ludzie, którzy na co dzień nie mają nic wspólnego ze stowarzyszeniem. Przyjeżdżają pogadać, wymienić się życiowymi doświadczeniami, posmakować smaku kielbaski z ogniska, a czasami jakiegoś mocniejszego trunku. A jest gdzie, bo wokół schronu rozciąga się spory teren, który można jeszcze lepiej wykorzystać. Może kiedyś się uda. Romek ma swoje pomysły.

A schron? Zapewne odwiedziło go już parę tysięcy osób. Jest co oglądać, bo Romek zadbał o ciekawą ekspozycję. Są tam oryginalne fragmenty umocnień polowych, znalezionych nieopodal zapór przeciwczołgowych, a także ekspozycja drugowojennej broni i amunicji. Są też hełmy, zabytkowe wojskowe oporządzenie, a także mnóstwo innych rzeczy. Na dolnej kondygnacji

można się wczuć w realia 1939 r., gdyż z głośników słychać dogłosy walki. Jest wiele dokumentów, zdjęć i różnego typu innych archiwaliów, o których można opowiadać i opowiadać. Co prawda schron we wcześniejszych latach został wypatroszony przez złomiarzy, ale dorobiliśmy drzwi pancerne, dorobiliśmy inne elementy i teraz prezentuje się wspaniale.

Ludzie chętnie go odwiedzają. Podziwiają jego klimatyczne wnętrza, słuchają opowieści Romka czy Jasia, ale pytają również o inne obiekty pozostające pod opieką naszego stowarzyszenia. One również są wyremontowane i udostępnione do zwiedzania. Wystarczy zajrzeć na naszą stronę internetową (<http://www.profort.org.pl/>), znaleźć odpowiedni schron i jego opiekuna, zadzwonić, umówić się i podziwiać. No i słuchać naszych pachnących betonem opowieści...

Dariusz Pietrucha – historyk z wykształcenia, absolwent Uniwersytetu Śląskiego, wieloletni nauczyciel historii, od urodzenia związany ze Śląskiem, miłośnik i badacz historii regionu, autor wielu książek i artykułów, prezes Stowarzyszenia na Rzecz Zabytków Fortyfikacji „Pro Fortalicium”.

Projektowanie obiektów sakralnych należy do zadań najtrudniejszych dla architekta. Łatwo bowiem jest wpaść w pułapkę epatowania odbiorcy własnym ego – budowania świątyni nie na chwałę Boską, lecz dla zaspokojenia własnych ambicji, dla własnej satysfakcji. Architekci skupieni wokół Pracowni Architektury Żywej starali się eliminować taką postawę w swoich działaniach, opierając się na procesach przestrzennych, kulturowych, społecznych, biologicznych toczących się wokół przedsięwzięcia, jakim jest powstawanie nowego obiektu. Tak też się stało w przypadku Ośrodka Wydawniczego Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego w Bielsku-Białej zaprojektowanego w latach 1985–86 w ramach tej Pracowni przez zespół autorski: Atelier PS Mirosław Polak, Marek Skwara we współpracy z Karolem Gasiem i konstruktorem Janem Kubicą.

Najpierw należało poznać miejsce. Nazywane Bielskim Syjonem należy do „wrażliwych” miejsc o niezliczonej ilości zakodowanych informacji. Znajduje się tam ufundowany w 1782 roku Kościół Ewangelicki pw. Zbawiciela zbudowany według projektu, którego autorem był prawdopodobnie Szymon Bogumił Zug, znamienity architekt Stanisława Augusta Poniatowskiego. Założenie dopełnia plebania, szkoły będące niegdyś własnością parafii oraz jedyny w Polsce pomnik Marcina Lutera. Nieopodal leżą: ewangelicka nekropolia i historyczne błonia, a dalej mury okalające bielską starówkę z rynkiem. Rejon ten stanowi istotny element planu miasta; jest włączony w realizowany od lat ciąg pieszy o charakterze parkowym. Procesy wszechobecnej degradacji środowiska ominęły to miejsce. Mimo bliskości centrum miasta i trasy samo-



Wyzwalanie świętości miejsca

MAREK SKWARA

chodowej wiodącej w Beskidy sprawia ono wrażenie enklawy wśród starych drzew. Proste odczytanie tych informacji było jednak niewystarczające. Istotne było „wczucie się” w to miejsce, dostrojenie do jego „wibracji” możliwe jedynie poprzez wielokrotne wizyty, które odbywali architekci w trakcie procesu projektowego, choć być może idealnym rozwiązaniem byłoby zamieszkanie na czas projektowania i realizacji w tym miejscu.

Obiekt Ośrodka Augustana, bo tak został nazwany, zaprojektowany został na miejscu dwóch budynków miesz-

kalnych przeznaczonych do rozbiórki ze względu na ich bardzo zły stan techniczny. Dla zachowania równowagi przestrzennej jego nowy układ został wpisany w zarysy i gabaryty dotychczas istniejących budynków. Nowe elementy realizacji, szczególnie „wieża” wieńcząca podkowę rztutu miały na celu uporządkowanie osi widokowych i zorientowanie nowego obiektu w hierarchii zespołu urbanistycznego. Wytworzony został dziedziniec wydzielony kolumnadą – jako strefa przejściowa pomiędzy otoczeniem a samym Ośrodkiem, która to razem z zamkniętym ogrodem znajdującym się w zachodniej części działki stanowi poszerzenie przestrzeni sakralnej obiektu.

Tu dały znać o sobie doświadczenia przestrzenne charakteryzujące architekturę sakralną w ogóle. Droga dojścia do budowli tego typu nie może odbywać się „wprost z ulicy”. Musi następować sekwencja przestrzeni od publicznej, poprzez pośrednie do intymnej, wewnętrznej. Tak, jak w kościołach przejście od profanum do sacrum powinno mieć charakter oczyszczający i skupiający umysł – stąd dziedzińce, bramy, arkady, korytarze i nawy do przebycia zanim stanie się przed obliczem Pana. Gradacja napięcia, wytworzenie takiej „ceremonii” wejścia – to niezbędna oprawa tego niezwykłego Spotkania. Bowiem oprócz przestrzeni fizycznej, warunkującej projekt, istnieje jeszcze





inna przestrzeń – przestrzeń umysłu, w której nagromadzone są doświadczenia dotyczące sfery kultury, historii, religii, nie zawsze uświadamiane symbole i archetypy.

By poznać i wzbogacić wiedzę na temat społeczności protestanckiej, niezbędne były liczne spotkania i rozmowy z jej przedstawicielami.

Parafia Ewangelicko-Augsburska w Bielsku-Białej odgrywa znaczącą rolę w historii protestanckiej społeczności w Polsce, gdyż rejon Bielska i Cieszyna grupuje ponad połowę wyznawców tej religii. Pierwiastki „inności” wnoszone przez tę kulturę w polską tradycję i doświadczenie współistnienia znalazły swój wyraz w formie obiektu. Powściągliwość i ascetyczność spowodowały umiar w stosowaniu ornamentyki. Układ całości jest klarowny, uporządkowany z wyodrębnionymi strefami publicznymi i prywatnymi, otwartymi i zamkniętymi, choć program funkcjonalny jest kompleksowy i może wydawać się wewnętrznie niespójny. W budynku tym mieści się zarówno oficyna wydawnicza z drukarnią, intrologatornią, magazynami, biurami i księgarnią, jak i pomieszczenia spełniające funkcje sakralne, kulturalne oraz mieszkaniowe i hotelowe.

Wyraz formalny obiektu, przez niektórych określany jako postmodernistyczny, jest wynikiem usytuowania realizacji w pełnym sensie tego słowa „pomiędzy”, „na styku” – pomiędzy ludźmi (inwestorem, wykonawcą, projektantami), pomiędzy istniejącymi zabudowaniami, drzewami, na styku kultur, idei, religii, w historycznym kontekście przestrzennym tworzonym przez wieki. Znamienny jest fakt, że projekt wykonywany był dla protestantów, w ścisłej współpracy z członkami gminy, a część człon-

ków Pracowni Architektury Żywej była buddystami, część katolikami uważającymi, że architekt-twórca nie jest ani specjalistą wąskiej branży, ani też twórcą totalnym, lecz powinien być mądrym mediatorem niezliczonych procesów toczących się wokół i w organizmie przestrzennym.

Takie rozumienie architektury dało w rezultacie żywy, ewoluujący kształt koncepcji architektonicznej.

Dotychczas mówiliśmy o projekcie, co nie jest równoznaczne z tym, co uważamy za architekturę. Od sfery rysunku, za którą w pełni odpowiada architekt, wkroczyliśmy później

w dziedzinę realizacji, która często-kroć zależy od inwestora, wykonawców, warunków ekonomicznych, technologii w większym stopniu niż od projektanta. Tu już nieistotne były niuanse symboli, archetypów, kultury i idei, ale tępa, szczególnie na przełomie lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych zeszłego stulecia rzeczywistość.

Budowa Ośrodka Wydawniczego, która winna była trwać nie dłużej niż dwa lata, trwała sześć. Zbyt długo, bowiem owe sześć lat cyklu budowlanego – to czas zniszczenia harmonii życia złożonego organizmu, niebezpiecznego zaburzenia biotopu. Uciążliwości związane z ciężkim transportem samochodowym, hałasem maszyn, i składowaniem materiałów budowlanych dały się we znaki wszystkim okolicznym mieszkańcom; nie tylko ludziom, ale i ptakom, jeżom i wiewiórkom, które zmuszone były wyprowadzić się z tego miejsca. Czy wrócili? Czy chronione w projekcie drzewa przeżyły tak długą budowę? Tego typu pytania stawiali sobie projektanci, mieszkańcy i przyszli użytkownicy, trzydzieści lat temu, mając nadzieję, że architektura – ten antropocentryczny aspekt złożonego zachodzącego procesu stworzy ramy do przywrócenia równowagi, ładu i świętości przestrzeni, w których się rozgrywa. Teraz, po latach można sprawdzić, czy udało się to osiągnąć, wybierając się na spacer na Bielski Syjon w słoneczne popołudnie AD 2019.



Autorzy: Atelier PS Mirosław Polak i Marek Skwara otrzymali za projekt i realizację Ośrodka Wydawniczego Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego w Bielsku Białej Wyróżnienie Nagrody Roku 1991 przyznawaną corocznie przez Stowarzyszenie Architektów Polskich za najlepsze realizacje architektoniczne w Polsce.

Profesorowie piszą arcydzieła?

(O Eco, Myśliwskim i Saundersie)

JERZY PASZEK

Zamierzam zająć się zmarłym prawdziwym profesorem (semantyki generalnej), czyli Umberto Eco (1932–2016), magistrem filologii polskiej, czyli Wiesławem Myśliwskim (ur. 1932), który zgrabnie udaje profesora historii w *Uchu Igielnym*, oraz amerykańskim profesorem creative writing, czyli George'em Saundersem (ur. 1958). Pisarze ci chodzą w glorii twórców powieściowych arcydzieł! Za taki okaz uznano światowy bestseller Eco – *Imię róży* (1980, polski przekład w roku 1987). Trochę mniej głośny jest zapewne *Lincoln in Bardo* (2017) Saundersa, choć popularna angielska powieściopisarka – Zadie Smith – zrecenzowała tę buddieską fabułę właśnie słowem „Arcydzieło”, a za nią powtarza to samo („Największy amerykański autor opowiadań [...] napisał pierwszą w życiu powieść. I od razu arcydzieło”) Juliusz Kurkiewicz w dwumiesięczniku „Książki” (2018, nr 4, s. 3). O arcydzielnosci beletrystyki Myśliwskiego mówiono już z okazji pierwodruku *Kamienia na kamieniu*: „Dzieło Myśliwskiego [...] skaże się na skomplikowany, dwuznaczny i podejrzany żywot tak zwanych arcydzieł, bo czymś takim *Kamień na kamieniu* jest z całą pewnością” (H. Berza: *Spełnienie*. „Twórczość” 1983, nr 2, s. 161), a jego powieści *Widnokraj* oraz *Traktat o łuskaniu fasoli* wyróżniono Nagrodą Nike (1997, 2007). Czy profesorowie istotnie tworzą tak wspaniałe utwory?

Myśliwski, autor siedmiu chwalonych przez krytykę powieści (*Nagi sad*, *Pałac*, *Kamień na kamieniu*, *Widnokraj*, *Traktat o łuskaniu fasoli*, *Ostatnie rozdanie*, *Ucho Igielne*), na pewno nie jest profesorem, choć jako polonista został redaktorem w Ludowej Spółdzielni Wydawniczej, a także redagował kwartalnik społeczno-kulturalny „Regiony” i dwutygodnik kulturalny „Sycyna”. Natomiast dominującym narratorem w jego *Uchu Igielnym* (mającym wiele rysów autobiograficznych) jest profesor historii średniowiecznej. Te charakterystyczne linie papilarne autora *Widnokraju* – tu też nienazwanym miejscem akcji jest Sandomierz – widoczne są już w tytule powieści z roku 2018, bo *Uchem Igielnym* na-

zywa się však „dawną furtę w obwodzie murów miejskich, prowadzącą do klasztoru Dominikanów” (zob. O. Budrewicz i P. Witosławski: *Sandomierz*. Olszanica 2008, s. 34); toż mamy w tekście utworu: „była to zachowana niemal w pierwotnym stanie dawna furta dominikańska, stanowiąca fragment średniowiecznych murów obronnych. Rzeczywiście miała kształt igielnego ucha” (W. Myśliwski: *Ucho Igielne*. Kraków 2018, s. 49). Wspominany na jubileuszu 400-lecia szkoły średniej (czyli sławnego tamtejszego Collegium Gostomianum) Wąwóz Królowej Jadwigi (op. cit., s. 408) to znana osobliwość krajobrazowa Sandomierza, lessowy, głęboki na 10 metrów, wądół bądź parów.

Także ostatnia stronica utworu, na której mamy wspomnienie-fatamorganę pięknej dziewczyny, której koledzy szkolni narratora nadali pseudonim „Żydówka” (bo napisała zadanie klasowe o wyjsciu Żydów z miasteczka w czasie II wojny światowej), nawiązuje do likwidacji sandomierskiego getta w roku 1943. Profesor obserwuje: „Nagle w półmroku zalegającym ulicę zobaczyłem jakby koniec kolumny, która poganiania pejcami, oddalała się ode mnie w szumie stóp, przekleństw. Na jej końcu, w odległości kilkunastu kroków, biegła ona, daremnie próbując dogonić kolumnę” (op. cit., s. 424). To przywidzenie narratora jest ważną dlań wizją (nieznane są bowiem późniejsze losy jego ukochanej), ale niezgodną zupełnie z prawdą historyczną! Dziewczyna nie mogła zbliżyć się na „odległość kilkunastu kroków” do kolumny Żydów, bo Niemcy lub Łotysze by ją zastrzelili, o czym czytamy w relacji autentycznego świadka tych wydarzeń: „Po przemarzu całej kolumny wyszedłem z kolegami z ukrycia, by iść w odległości około 50–60 metrów, ale zaraz za Spichlerzem oddano do nas kilka strzałów z końca kolumny” (W. Orłowski: *Zagłada sandomierskich Żydów. Wspomnienia mieszkańca Sandomierza*. Do druku przygotowała A. Michalska. „Zeszyty Sandomierskie” 2009, nr 28, s. 81).

Uważam, że jest to istotne sprostowanie autobiograficznych dywagacji profesora, bo cała jego opowieść została zawieszona na niedopowiedzeniach i kolejnych wątkach bez oczekiwanego przez czytelnika zakończenia! Rzecz zaczyna się od przesłuchania na posterunku MO ucznia-narratora, podczas którego oficer próbuje wydobyc od świadka, w jaki sposób zginął miejscowy historyk na zejściu po schodach, towarzyszących obustronnie Uchu Igielnemu. Narrator twierdzi, iż starszy człowiek potknął się o własną laskę i nieszczęśliwie spadł ze schodów. Motyw tej laski, jej wyglądu, złotej plakietki z dziękczynnym napisem uczniów profesora gimnazjalnego, będzie przewijał się przez cały utwór, bo i uniwersytecki profesor ma przecie „laskę w rękę” (op. cit., s. 418) i to tę ze złotą tabliczką (op. cit., s. 45–46). Tak samo nie wyjaśniono zagadki przeszukiwań prowadzonych na wale przeciwpowodziowym przez pracownika UB, który obiecywał matrzyście – po kursie przygotowawczym w wiadomych „organach” – łatwe dostanie się na studia. Podobnie niejasne są pobudki hojności (mieszkanie i darmowy wykwintny wikt) starego żołnierza-dygnitarza wobec studenta historii (nie znajduję tu żadnych aluzji homoseksualnych, a pasją życiową bogatego gospodarza jest męski brydż i orgie w kole przyjaciół frontowych, przyprawiających na bal swoje niemłode już towarzyski życiowe). Takich niedopowiedzeń jest tu wiele, w tym również m.in. podejrzenia, czy mama narratora zdradzała ojca z elokwentnymi i dobrze prezentującymi się mężczyznami.

Czy taka konstrukcja fabuły oznacza, że wszelka pamięć bywa dziurawa, więc i narratora, profesjonalnego historyka, może dopaść analogiczna niedogodność i słabość? Jest to wygodny wybieg i chwyt artystyczny autora, gdyż biografia bohatera bywa ukazywana bardzo fragmentarycznie i wybiórczo, stanowiąc niezmiernie naciągniętą nić, na której tkwią koraliki-epizody *Ucha Igielnego*. Należy przypomnieć, iż igłę z dziurką na nitkę wynaleziono 20.000 lat temu w kulturze solutrejskiej, charakteryzującej się obróbką ostrzy liściowatych i wyrobami z kości, a w tym pierwszych igieł z uszkiem (zob. *Encyklopedia „Gazety Wyborczej”*. Warszawa [2006], t. 17, s. 227). Stąd wynika, że Myśliwskiego mogły inspirować nie tylko ewangelijne legendy o wielbłądzie i uchu igielnym. Wszak przez Ucho Igielne można dojść do zielonej doliny, czyli zapewne przedpola wielu mitycznych ogrodów rajszych (*Skarga umierającego*: „Dusza z ciała wyleciała, na zielonej łące stała”). A nanizanie na jednej długiej nitce opowieści milicjanta, stenografki Bronki, fotografa, Leona – hodowcy gerberów, autora mów pogrzebowych, matki profesora, jubilata, artysty malarza, fryzjera Stanisława itd., itp., to znana nam z wcześniejszych utworów pisarza metoda, będąca zapewne echem techniki epickich aoidów!

Homer, Wergiliusz i Dante prowadzą swoich bohaterów w zaświaty, ale żywe osoby,

rozmawiając ze zmarłymi, wcale nie stają się mieszkańcami Hadesu czy piekła! Inaczej jest u Myśliwskiego: stary gimnazjalny profesor – w wizjach i snach narratora – nie odróżnia się od profesora uniwersyteckiego! Kochają się w tej samej dziewczynie, ciągle wspominają wróżby Cyganki o swoim długim życiu (i przekroczeniu o rok przewidywanej granicy zgonu), często mijają się w Uchu Igielnym, spoglądając na „dawną dziką, zieloną dolinę, oddzielającą wzgórza, na którym leżało miasto, od przeciwległego, znacznie niższego, gdzie znajdował się jej [„Żydówki”] dom” (op. cit., s. 31). Jest to analogiczne do przyjaźni narratora ze starszym gejem: „moje życie, jego życie jakby się zaczęły nakładać jedno na drugie” (op. cit., s. 114). Profesor gimnazjalny mówi uniwersyteckiemu o swoim śnie: „Zdradzę panu coś. Pan również ze mną umarł” (op. cit., s. 162); „Widzi pan, jaką przewagę ma sen nad jawą. Nawet z trumny pan widzi, słyszy, co się nad panem dzieje. Jawa nie ma takich możliwości” (op. cit., s. 163). Nie obcuje tu jeszcze ze sobą duchy zmarłych – jak to jest u Saundersa – ale w zasadzie ten dobitny refren wchodzenia i schodzenia z Ucha Igielnego, lejtmotywu „zielonej doliny”, czyli persewerujące aluzje do zaświatów – układają się czytelnikowi w jakąś „sandomierską księgę umarłych”. Można rzec, iż ostatnia powieść Myśliwskiego jest w istocie nie poświęconia (jak wielu przypuszcza) tajemnikom pamięci i jej zaniku, zraty, lecz staje się melancholijnym traktatem o umieraniu! I w tym stanowi konkurencję dla powieści Saundersa.

Utwór ten w tłumaczeniu Michała Kłobukowskiego ukazał się po polsku pod tytułem *Lincoln w Bardo* (Kraków 2018). Nie jest to najszcześniejszy nagłówek, bo Bardo to nazwa dwu miejscowości (polskiej i turezyjskiej), a amerykańskiemu autorowi chodzi o religijny termin „bar-do”, czyli wedle „tybetańskiej koncepcji reinkarnacji stan, w którym przebywa dusza zmarłego od momentu śmierci do ponownego wcielenia lub wyzwolenia z kręgu wcieleń” (*Encyklopedia „Gazety Wyborczej”*, Warszawa [2006], t. 2, s. 148). Jak widać, chodzi o pojęcie związane i z buddyzmem, i z językiem tybetańskim (stąd taka, a nie inna pisownia). Saunders ukazuje rozpacz prezydenta Abrahama Lincolna po śmierci jego 10-letniego syna Williego w roku 1862. Struktura dwuczęściowej powieści oparta jest na montażu 108 głosów z przeszłości, niekiedy autentycznych (świadkowie dziejów Lincolna), a w większości spreparowanych (sugestia cytatów z oryginalnych listów żołnierzy wojny Unii z Konfederacją Południa) i zmyślonych (historie z życia duchów i duszków). Przeważają już od pierwszej strony powieści przygody ludzi zmarłych, lecz udających, że nie są martwymi, bo leżą w szpitalnych pudłach i pudełkach, a wcale nie w trumnach. Sztuka Saundersa polega na takim ukazywaniu duchów, by ich pośmiertne losy były odzwierciedleniem poprzedniej,

ziemskiej historii: porucznik Cecil Stone, dozorca Murzynów na farmach, po zgonie w dalszym ciągu poluje na młode i atrakcyjne SMOLUSZKI („Dość mi było Ucapić jakowąś SMOLUSZKĘ, na krzyki jej SMOLUCHA nie baczac, abym...”; „Zaczynała się taka Zabawa, że ze SMOLUSZKI istnie się ISKRY sypały” (G. Saunders: *Lincoln w Bardo*. Przeł. M. Kłobukowski. Kraków 2008, s. 98–99, 111).

Drugą zaletą utworu Saundersa jest stylizacja językowa, a w tym i rzetelne oddawanie błuzgów i wulgaryzmów niższych warstw społecznych, których nawet śmierć nie może powstrzymać od przekleństw: „Eddie. Przecie my, k..wa, nie żyjemy. Kocham cię, ch..u j...bany.” (Betsy Baron); „Nie. Nie nie nie. Nie rób mi tego [reinkarnacja: „przybierać począł rozmaite przeszłe kształty, których nigdy, niestety, nie miało być jej danym osiągnąć: troskliwej matki; uważnej piekarki, chleby i ciasta zagniatającej; trzeźwej uczenniczki nabożeństw; szanownej babci, łagodnie się wyślawiającej wśród wielbiącego ją, czysto utrzymanego drobiazgu”]. Nie rób. Zostań ze mną, k..wa, dzidziu.” (Eddie Baron) (op. cit., s. 402). Obok takich stylizacji, charakterystycznych dla młodych, zbuntowanych neorealistów, pojawiają się tu pastisze stylu Jamesa Joyce’a: *Ulyssesa* oraz końcówki *Finnegans Wake*.

Z pierwszą z tych powieści łączę wypowiedź pana Benjamina Twooda, nawiązującego do epizodów „Eol” i „Nauzykaa”: „W ŚRODKU NADZWYCZAJNA OKAZJA: Tylko wspomnij swą chudą znużoną matkę, którą mogłobyjeszcze zbawić Samowylądne żelazko, tarka z korbką, chłodziarka, samosypna solniczka, przywracając jej niegdyś zgrabną figurę, ujmujący miłusmięch z dawnych lat, gdyż w krótkich porciętach pośród plackowoni gałęzioszablą wywijają.” (op. cit., s. 160).

Z utworem Joyce’a z roku 1939 łączyłbym tajemnicze wynurzenia pana L.B. Papera: „Pora tu je miękl oś? Pój. Dzimi. Pomnóż? Pora tuje mię? La dachto? Morze onuc? Podmurz? Mnij? Prosię wspomnóż Mnij.” (op. cit., 161).

Pomimo wszelakich tych pociągających uroków uczonego stylu Saundersa, tematyka jego „arcydzieła” bardziej mi przypomina *Zdziczenie obyczajów pośmiertnych* Bolesława Leśmiana (Jacek Trznadel we wstępie do edycji tego dramatu z 1998 roku – *Leśmianowski teatr duchów* – również w podtytułach swych wywodów mówi o „odnalezionym arcydziele”!) aniżeli dramaturgię *Dziadów* Mickiewicza, o których Amerykanin (profesor!) nigdy nie słyszał, co zadokumentowano w wywiadzie, jaki udzielił Juliuszowi Kurkiewiczowi (*Zbyt wielka miłość*. „Książki” 2018, nr 4, s. 16, pierwsze pytanie wywiadu). Wątpię więc, czy istotnie nastąpi tu metamorfoza bestsellera w istotne arcydzieło!

Obie powieści opublikowało jesienią 2018 roku Wydawnictwo Znak. Widzę, z jaką maestrią poligraficzną strukturali-

zowano w tych utworach wygląd poszczególnych stron: w *Uchu Igielnym* na 424 stronach tekstu aż 187 z nich kończy się wraz z akapitem lub chociaż kropką zdaniową w najniższym wersie. W *Lincolnie* – w związku z cytowaną strukturą całego dzieła – łatwiej było osiągnąć jeszcze wyższy procent dobrze prezentujących się kolumn zadruku: na 427 stronach aż 243 mają harmonijną budowę, czyli zazwyczaj kolejne dywagacje bądź kwestie w dyskursach duchów zaczynają się od nowej strony! Najbardziej mnie dziwią błędy ortograficzne w omawianych edycjach. W tłumaczeniu powieści Saundersa jest ich mniej (bo duchy mówią niepoprawnie i tak samo z błędami piszą!), ale w cytowanej książce Elizabeth Keckley (*Za kulisami, czyli trzydzieści lat niewoli i cztery lata w Białym Domu*) adiuśtor poprawiłby zapewne pisownię w zdaniu: „Zwolna minęła noc: nadszedł ranek, a Williemu się pogorszyło.” (op. cit., s. 29 i 15; tu i dalej podkr. J.P.).

Zdumiewają mnie błędy w *Uchu Igielnym*, czyli w tomie, w którym „opiekę redakcyjną” sprawował dr Jerzy Ilg. Aby nie być gołosłownym: „**żonę nieżonę** nieboszczyka” (op. cit., s. 62) – „**biuro nie biuro**” (s. 64) – „**mąż, jeszcze nie mąż** wtedy” (s. 84) – „Nie było **nieżołnierzy**” (s. 323). Narrator, podejrzliwy wobec własnej matki, kleci dwuznaczne zdanie na temat mam: „Tylko jakie **mamy** prawo osądzać naszych ojców, **matki**?” (s. 258). Są to drobiazgi, ale wobec oczekiwanych zapewne bardzo wysokich ocen (wreszcie wydajemy niepodważalne przez nikogo arcydzieło!), i o nie należy zadbać. Brakuje też większej porcji komicznych scen czy „wsielszego humoru” w tej książce o umieraniu i nieoczekiwanych reinkarnacjach (babcia, właścicielka psa o rzadkim imieniu – Mieszko – dopatruje się w narratorsze swego dawnego kawalera!). Bo nie wypada, by tu najlepszym wicem była riposta działacza na toast „Zdrowie władzy ludowej w osobie obecnego tu z nami towarzysza sekretarza.” – „Władza ludowa nie musi pić swojego zdrowia. Mamy obowiązek być zdrowi.” (s. 138).

Imię róży Umberta Eco, po prawie półwieczu od opublikowania, przekształca się chyba ze statusu światowego bestsellera w ponadczasowe arcydzieło. Dla czytelników *Żywych kamieni* Wacława Berenta jest to oczywiste. Ale amatorów „czystego” kryminału u Eco razi nadmierna szczegółowość opisu średniowiecznych realiów, ergo ta erudycja autora nie sprzyja sławie i chwale jego dzieła, bo niektórym czytelnikom takie szerokie horyzonty kojarzą się z osławionym gatunkiem „powieści profesorskiej”! Jaki morał z moich wywodów? Nie każdy profesor – nawet filologii polskiej – tworzy arcydzieła literackie! Najlepszym przykładem będą na zawsze losy *Smutnej Wenecji* (1967, 1968, 1971) prof. dra hab. Wacława Kubackiego – ongi bestseller, dziś na cmentarzysku zapomnianej beletrystyki!



Nie śpiesz się. Nie ma do czego. Nikt cię nie goni

KSIAŻKI

URSZULA M. BENKA

Ani do śmierci, ani do miłości! – takie zdania-ocknienia albo, że „historia wywija nade mną ogonem jak maczugą” – trafiają się w wierszach transowych, pisanych przez młodość unerwienia i właśnie ocknięcia z maligny, nie dającą się upchnąć, zatrzasnąć w metrykalnych ramkach, tak jak utworu w przewidzianych ramkach formalnych. Gdyż miałyby one w sobie coś z kołków do świniobicia. Jeśli wyobrazić sobie scenę tego wywijania ogonem przez wielkie zwierzę (historia jest zawsze pamięcią; tu mowa o potworności spraw zalegających w pamięci) – kiedy sami bywamy w sytuacji skulonego wiersza lub prosiaka – to pozostaje nam giętkość uchylania się, właściwie taniec, a taniec, przynajmniej ludy naturalne tak wierzą, to sposób wyrażania siebie, świata i rzeczywistości.

Paradoksalnie, *Lacrimosę*, poemat zbudowany z siedmiu elegii, Mar-

ta Fox rozpoczyna wierszem o starzeniu. Starość okazuje się nawałem nieznanym dotąd, bo nigdy jeszcze aż tak intensywnych wrażeń zmysłowych, np. zapachu grzyba w piwnicy, zapachu koca na fotelu. Och, nie usuwają z przestrzeni psychicznej zapachu perfum Passion – po prostu go uzupełniają. Fox wymienia też pewne symboliczne miejsca, wręcz kultowe dla młodości metrykalnej, teraz omijane: czarne dziury, studnie z echem, zejścia do piekiel. Nie tędy droga. Droga przez kręgi piekielne stała się już dzisiaj trasą regularną i gęsto upstrzoną reklamami jak szosa na miejskich rogatkach, zarazem drogą na skróty, a o jej symbolicznie powiadania się nas hurtem, w ramach obowiązkowej edukacji. Co nie ma nic wspólnego z trwożnym samopoznaniem, pełnym wstrętu i wahań.

Patrząc na ten późny już tomik wierszy cenionej poetki, ujmującej werwą i sex-appealem, porów-

nywanej przez Tymoteusza Karpowicza z Haliną Poświatowską „ale na następnym poziomie” dojrzałości życiowej i, dodam od siebie, wolnej od szaleńczych ekstrawertyzmów – patrzę jednak przez pryzmat może nie tyle samych wierszy teraz, co jej książki, jaka ukazała się w 2004 we wrocławskim Siedmiorogu, *Coraz mniej milczenia. O dramatach dzieciństwa bez tabu*. Było to kilka rozmów, bo nie wywiadów, ale właśnie trwożnych rozmów, z osobami, jakie odpowiedziały na jej zaproszenie. Mówiły więc o swoich wczesnych doświadczeniach udręki odbierającej odwagę a nawet umiejętność przeżywania szczęścia. Jednej z rozmówczyń Fox wyjaśnia: „Nie chodziło mi o wspomnienia z tzw. trudnego dzieciństwa, trudnego z powodów obiektywnych – bo była wojna, bo była bieda, były choroby, był alkohol. Chodziło mi o dzieciństwo spędzone z rodzicami albo innymi dorosłymi opiekunami, którzy zafundowali dzieciom koszmarny los, ale czynili to z premedytacją: w imię tak zwanej miłości, chorych ambicji, fałszywego wstydu i bezwzględnego imperatywu społecznego nakazu wychowania dziecka na 'porządnego człowieka'; o dzieciństwo, w którym rodzice w imię tak zwanej miłości **poniżają** i jeszcze robią wszystko, by dziecko całe to wyrządzone mu okrucieństwo poczytywało za dobrodziejstwo”. Brak akceptacji jest poniżaniem. Brak chęci poznawania myśli, pragnień, namiętności dziecka przez najbliższych mało się różni od niepoznawania przyjaciela na ulicy – jest poniżające.

Coraz mniej milczenia było pierwszą znaną mi książką o tych sprawach, napisaną w Polsce przez cenionego pisarza – a nie przez zawodowego psychologa, nie przez terapeutę, i nie w formie skandalizującego głośnego debiutu jak *Rozstania* Magdy Dygat z 1998 (uwaga czytelnika za bardzo lgnie tam do pikantnych scen z życia gwiazd srebrnego ekranu) – bądź powieści, chociaż Marta Fox szerszym kręgom znana jest raczej jako prozaik. W prozie siłą rzeczy rządzą prawa fikcji, toteż i artystycznej manipulacji rzeczywistością. Nie tylko z winy pisarzy. Wydawcy poczytnego autora naciskają, aby nie komplikował, aby możliwie ułatwiał odbiór, a jeszcze nęcił czymś „hot”. Powieść w rezultacie okazuje się często wypadkową artystycznych zamierzeń i tzw. realiów rynkowych, a to znaczy – literaturą śmieciową jednorazowego użytku. Fox umiała się obronić, niemniej jedną z form tej manipu-

lacji bywa gra z odbiorcą w zgaduj-zgadulę co takiego w tekście jest „autentyczne”. Rozmowy Marty Fox stanowią wręcz przeciwieństwo celebryckich zwierzeń na pokaz. W wierszu *Dmuchał na lustro* mówi ona coś kluczowego: ten cały proces arbitralnego „kształtowania”, wykręcania nas ze złej drogi „na ludzi”, powoduje, że spod matczynych palców nie popłyne mleko, tylko, jak z chorego wymienia, krew i

*Nie wyfrunie ze mnie gołębicą,
Tylko wiersz –*

Ścieżka tej poezji faktycznie omija piekielne czeluści tudzież dzieciństwo wykreowane, przesunięte do jakiegoś zalegoryzowanego „w ogóle” z zadaniem uniwersalności, mówi natomiast o codziennej szarzyźnie bycia razem w złej ciszy. Nie o gwałcie, ale o byciu grzeczną, dobrą dziewczynką, która jednak wolałaby być bita kablem niż robić wujkom „to”. Ta psychiczna przemoc ma teraz, po latach, zapach kapci, powraca pomimo potrzeby zapatrzenia się w okno. Zresztą, w zbiorze Fox *Wszystko co niemożliwe* z 2012 jest osobliwy wiersz *Moja Kora*. Klasyczna tam figura bolesnej matki, Demeter, strwożonej o zaginioną córkę, Kore, znalazła puentę z „tego świata”, a miánowicie, że – skoro jestem matką – będę też pewnego dnia pożegnana na zawsze. Jest w tym przenikająca do szpiku dosłowność, ponieważ niezgoda na własne odejście oznaczałaby wyrok śmierci na córkę. Oznaczałaby narcyzm trzymania w zbolałych ramionach zwłok dziecka. Być może Fox w przyszłości odnajdzie związek podobnego „mitycznego” narcyzmu z odmową zgody na to, aby dziecko żyło po swoim, aby odłączyło pępowinę i nabrało autonomii.

W środowisku wrocławskim, bliskim Marcie Fox z wielu względów, *Coraz mniej milczenia* przeszło bez żadnego prawie echa, chociaż mogło stanowić swoisty intelektualny przełom, wyłom w murach poezji stanowiących innych twórców tutaj, poza Janem Kurowickim (*Momenty prozaiczne*), którzy wciąż nie ośmielają się wprost nazwać własnej psychicznej rzeczywistości i – jeśli wolno się tak wyrazić – małpują ekspiację. Czym? Agresywnością tonu oskarżeń, tyle że nie winowajców, a jakichś „onych”, poznawanych *po dzieciństwie*. Tym zastępczym gniewem maskują swoją wstydliwą studnię przeżycia upokorzenia, jak wilczy dół. Maskują ją też rozdzierającymi wołaniami „poko-

chajcie mnie, pokochajcie, wreszcie, do jasnej cholery!”, „tak was nie nawidzę za to, że mnie nie wielbicie!”. Zamiast prawdy. Co stało się już natarczywą powszedniością, jak gdyby brak samozrozumienia rzutował na nierozumienie innych sfer świata i powodował niemoc zdobywania się na szczerość: socjologowie wprowadzają termin „postprawdy”.

Kilka razy już dotykałam problemu literatury jako aktywności zastępczej w poraniu się, neurotycznym, z matrycą upokorzenia. Literatura powojenna miała jeszcze długo wysoką rangę i pewien nimb, jaki kojarzył się z przywracaniem sobie poczucia bezpieczeństwa. Sukces literacki dawał nawet fory w mniej ważnych konfliktach z władzą komunistyczną. Mniej ważnych w tym sensie, że pisarz mógł wcale nie tykać kluczowej problematyki zniewalania, mógł nie naruszać cenzury „politycznej”, a tylko drażnić surowe totalitarne obyczaje: ubierał się, zachowywał jak ktoś „niegrzeczny”. Mógł więc kryć sporo potulności pod prowokatorską fryzurą hipisa lub Beatlesa. Każde zaczepienie go przez „władze” szło jednak na konto jego mniemanego wyzwolenia, każdy krach w realnym związku szedł na karb artystycznej nadwrażliwości. W momencie, kiedy zmieniał się system, ludzie ci nie potrafili wiele sprawić jako obywatele ani jako społeczeństwo. Raczej przyspieszali wykruszanie się wymagającej publiczności kulturalnej.

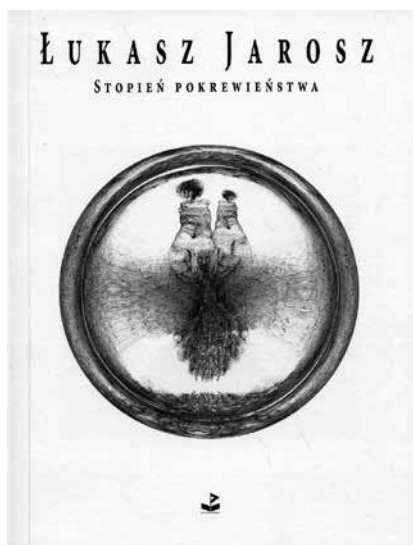
Nie chcę oczywiście przypisywać akurat Marcie Fox jakiejś wysokiej świadomości w zakresie filozofii kultury. Ta poetka-prozaik dokonała rzeczy ważniejszej: zaczęła pisać o własnych poranieniach w sposób rozumiały. Bez ucieczek w szumną „eschatologiczną” metaforykę. Bez przykucia do raz na zawsze zafiksowanej topiki pseudo-swiata. Jej proza dla młodzieży to – w powyższym kontekście – kilka mocnych nazwań po imieniu kilku okoliczności rodzących upokorzenie, co doskonale wychwytuje młody czytelnik. Takich choćby, jak prawo młodziutkiej kobiety do macierzyństwa, do seksualności czyli własnych impulsów biologicznych. Przywoływane jej teksty stanowią świetne ekrany, w jakich odbija się *Lacrimosa*. Fox uniknęła więc zarówno jałowej babraniny „nożem miłości w sercu”, uniknęła kompulsji zasypywania rynku rok w rok tomikiem bądź przeciętnym, bądź epatującym „formalną rewolucją”. Próba dokonania jakiejś *summy* tych spraw w *Autoportrecie z lisiczką* była w tym sensie jeszcze nieudana, że pozbawio-

na klarowności. Może za wcześniej Fox chciała podsumowywać? Osobiście cierpiałam kilka razy, w tym czytając jej *Stycznia w marcu*, krótkie, sympatyczne wspomnienie z przyjazdu Janusza Stycznia do Katowic. Cierpiałam, bo brakowało mi dystansu do jego okopów mityzacji, do jakich dorzucała tym samym swoje małe co nieco, powtarzając mantrę o rozdzierająco niezaradnym genialnym poecie. Aczkolwiek przemawiała za nią czysto ludzka dobroć serca. Lecz z drugiej strony, dzieje kultur są dziejami przyjaźni. Pytanie, czy kultury nie są właściwie niczym więcej, jak obecnością serca – lub też jego zmrózeniem? Lecz kultura a literatura to sprawy bardzo odległe. Aby kultura była przyjaźniami, literatura musi być bezlitosna. Musi być nie słodzikiem, ale solą nazywania spraw po imieniu, inaczej staje się wroga wobec wszystkiego, co kreatywne. Złe dzieciństwo zraża nam władźliwość, odbiera lekką swobodę dobroci, zmusza organizować dobroć, upolityczniać, ureligijniać, całkowicie wygłusza w niej zabawę – a nie ma kultury bez zabawy.

W *Lacrimosie* jednak nastąpiło uwolnienie z chaosu. Kluczowe kwestie Fox nazwała wprost: „bałam się ojca w trumnie”, „miałam być dojną krową dla matki” albo – że ciało „wszystko pamięta” i wywija tą pamięcią jak ogonem. Pojawia się bezdusność księżowska z tym swoim wyciągniętym mędrkowato palcem, jest wreszcie namiętność do mężczyzny ujęta jakby do dołu, tak, że w obiektywie wiersza wiadać muchę klejącą się do zroszonego fallusa, przy czym w tle słychać głos babki trzy razy dziennie odchodzącej od zmysłów.

Lacrimosa to płacz bez łez – niełzawy płacz. Spowiedź życia w niewielu tabletkach, ujęta bez apriorycznie nakazanych sobie stanów. Tytuły więc świadomie zaprzeczają stereotypom: „to nie jest pieśń” rozpaczy, żalu, więzienia. Nie są „tym”. Natomiast niepokojem oraz ciszą są w *Lacrimosie* dwa osobne cykle wierszy. W ich przestrzeni większość miejsc to jakby pustka po czymś, co już było. Po prostu grubiej kołkon miejsc już pustych – po czymś albo kimś, czyli czymś. Z konkluzją, że właściwie potrzeba tylko kąta bez strachu i jeden wiersz dziennie – nie trzeba go pisać. Wystarczy przeczytać. ■

Marta Fox: *Lacrimosa*. Eperons-Ostrogi, Kraków 2017, s. 60.



Dojrzały tom dojrzałego poety

KSIĄŻKI

ALEKSANDRA CHARYGA

Zwykło się patrzeć na twórczość Łukasza Jarosza przez pryzmat tego, co w jego wierszach krzyczy najgłośniejszy – poprzez wszechobecną śmierć i wiejski klimat utworów. Oba tematy to jednak zaledwie powierzchnia, pod którą skrywają się znacznie ciekawsze problemy, dominujące w jego liryce. Swoisty „układ nerwowy” poezji Jarosza ufundowany został na trzech innych, pozornie nieprzystających do siebie motywach: ciało, pisanie i Bóg. Ścisłe przylegają one do głównego nurtu lirycznej narracji, kształtując go i kierując nim. Twórczość ta stanowi jednocześnie zwykłe i niezwykłe zjawisko literackie. Jest zaproszeniem do świata, w którym przewodnikiem jest – jak sam siebie nazywa poeta spod olkuskiej Żurady – wieśniak. Jednakże nie jest to propozycja poetycka, którą można porównać do bukoliki czy współczesnych wierszy z nurtu poezji organicznej. W utworach Jarosza można przejrzeć się jak w lustrze, ale też pokonać ten dystans między sobą samym, stworzony przez społeczno-kulturowe normy, i doświadczyć siebie, swojego ciała. To poezja, która boli i koi, drażni i przywiązuje do siebie, brudzi i oczyszcza. Nie ma w niej skomplikowanych fraz, pompatycznego tonu, wyszukanych strof. Język jest prosty, ale nie prostactki. Zarówno forma, jak i treść wierszy, oraz ich język wynikają bezpośrednio z życia, odzwierciedlając jego różnorodny, często paradoksalny charakter.

Z takiej perspektywy patrzę na *Stoień pokrewieństwa*. Każdy nowy zbiór to osobny świat, stanowiący równocześnie komplementarną część w lirycznej opowieści rozpoczętej w *Somie*. Niemniej najnowszy tom Jarosza został jakby oddzielony od całości. Rok wcześniej autor wydał zbiór wszystkich swoich wierszy, dodając do niego kilka nowych. Całość opatrzył tytułem *Święto żywych*. Kto

zetrzął się z liryką poety w formie zebranej, ten jeszcze bardziej rozumie prozatorski i integralny charakter tej twórczości. *Stoień pokrewieństwa*, mimo oddzielenia, nie jest wyłączony z tej swoistej poetyckiej komunii, a jedynie stanowi osobny rozdział, którego wyodrębnienie służy ukazaniu kilku ważnych cech tego tomu.

Zagadywanie śmierci, kadry z codziennego, zwykłego życia wśród natury, egzystencjalne rozważania o tym, co trwa a co rozpada się w proch, gnije i odchodzi; fluksująca, płynna rzeczywistość ludzkiego ciała – to wątki, które dominowały w poprzednich tomach. Nie brak ich również w najnowszym zbiorze. Ale *Stoień pokrewieństwa* jest inny, jest jak obnażony nerw tej poezji. Nerw – bo fundamenty „układu nerwowego” tej liryki: ciało, pisanie i Bóg, właśnie tutaj dochodzą do głosu najmocniej, tworząc niepowtarzalną dotąd kombinację. Świat, który formują najnowsze wiersze Jarosza to mistyka dnia codziennego poety – ciało, które pisze i gada z Bogiem. Ciało, które pamięta, trwa i przemija. Meta-poetyckość, metafizyczność i metasomatyczność. Wiele pytań, które pośrednio stawał poeta w poprzednich zbiorach, tutaj znajduje odpowiedź. Co więcej, szczególnie ważna staje się kategoria pamięci, uruchamiająca maszynę wspomnień i myśli. *Stoień pokrewieństwa* wyróżnia także nietypowe spokrewnienie trzech fundamentalnych motywów twórczości Jarosza, mimo ich pozornej nieprzystawalności do siebie. *Scena*, *Memoiren* i *Odpowiedź* – te trzy wiersze najlepiej obrazują specyfikę *Stoienia pokrewieństwa*.

Utwór *Scena* to rozbrajające wyznanie poety zamknięte w dziesięciu wersach strofy: „Wiem, ten wiersz/jest podobny do innych. Nie umiem go, nie umiem świata”. Choć poeta odnajdu-

je w tym zbiorze odpowiedzi na wiele pytań, to ten fragment informuje – „nie wytlumaczę wszystkiego”. Ale przyzwala na niewiedzę, na słabość, na niemoc. *Scena* oddaje również lakoniczny styl wyrażania emocji przez Jarosza. Kulminacyjne momenty poezji zamyka autor w krótkich formach. Podział na strofy, wyszukana kompozycja – zbędne są tak samo, jak przy wyznaniach twarzą w twarz zbędne są utarte formuły, przydługie wstępy i patos. Wiele jest takich otwartych wyznań, dzięki którym można poczuć się w twórczości Jarosza jak w domu, jakby się znało poetę osobiście i jakby łączył nas stopień pokrewieństwa. Proste formy, prosty, bezpośredni język skracają dystans między twórcą a odbiorcą.

Memoiren to przykład meta-poetyckiej i metasomatycznej natury tych wierszy. Czynność twórcza opisana jest w łączności z fizycznością autora: „Piszę, czekam na siebie. Jestem nikłym, słodkim/powietrzem, kością obwiezoną mięśniami./Piszę?”. Uspójnienie siebie w procesie tworzenia, akceptacja fizycznych ograniczeń, warunków somatycznych – to skierowanie spojrzenia na ludzką naturę, propozycja przełamania myślenia „muszę być ponad swoje ciało, ponad swoje ograniczenia”. Tutaj spotykają się ze sobą również mistyka i pamięć. Wszystko na tle zwyczajnej codzienności: „To miejsce, gdzie mogę spokojnie pomodlić się/pokłęczyć”, „Dla kogo, po co wspominać?”. Poezja to modlitwa, okazja, by „zrzucić z siebie słowa” i zwyczajność dni połączyć z transcendencją. Wiersz to most między *sacrum* a *profanum*. Sama nazwa utworu wskazuje na kolejną ważną cechę – na pamiętnikarski charakter pisania Jarosza. *Memoire* to po niemiecku „pamiętnik”.

W *Odpowiedzi* czytamy: „człowiek/rozkłada się w grobie w ciągu pięciu lat”. Wszystkie rozważania dotyczące śmierci, ciała, rozkładu, fizjologii, toczone na setkach stronich dotychczas wydanych wierszy, w tym jednym zdaniu znajdują naturalne, szczerze, proste dopełnienie. W wierszu *Lek* z tomu *Świat fizyczny* Jarosz napisał „Życie jest tym, czym jest./Żadną metaforą”. *Stoień pokrewieństwa* i *Odpowiedź* bardzo dosadnie to przedstawiają. „Krew, woda, świszczący kamyk” – to rzeczywistość ludzkiego bycia w ciele, życia w ciele. Poezja jest bliżej niż skóra, jest częścią człowieka – ostatni tom poety wyróżnia to spostrzeżenie.

Wszystko jest układem trawiennym – *Stoieniem pokrewieństwa* podsumowuje poeta swoje rozważania. Przystaje mocować się za śmiercią, zagadywać ją. Ale nie wymazuje jej, lecz afirmuje. Myśl o odejściu, rozkładzie, natrętnie powracające obrazy rozłożonych ciał, umierających krewnych czy ukochanych zwierząt – to już nie ta poezja. To wszystko staje się wymiarem pamięci, drogą do dojrzałości. Dojrzały tom od dojrzałego pisarza. Poezja, która staje się domem dla myśli. Domem dla czytelnika. Bliska jak skóra, poruszająca do samych trzewi. ■

Łukasz Jarosz: *Stoień pokrewieństwa*. Biuro Literackie, Strońskie Śląskie 2017, s. 56.



Podróż do siebie i trochę dalej

KSIĄŻKI

RYSZARD JASNORZEWSKI

Sonia malowała (często autoportrety), projektowała grafikę dla komputerów, parzyła herbatę z ziół, podawała do nich powidła lub konfitury. Nosila naszyjniki z emalii i ubierała się, jak chciała, niekiedy decydując się na wysokie, własnoręcznie dziergane skarpetki, w których wyglądała uroczym – szczególnie wtedy, gdy „prócz nich ubierała się w nic”. Była uczynna i wszystkich podwoziła autem marki WAZ, w którym „pachniało radzieckim dzieciństwem”. Własne życie także prowadziła sprawnie, uczynnie, bez nadmiernej szybkości – ot tylko tak, aby się nigdzie nie spóźnić. I kochanie przychodziło jej bez trudu – zwyczajnie i bez zbędnych pytań.

Tak naprawdę nawet nie wiedziała, czy zakochała się w Luisie, ale poczuła pustkę, gdy odszedł. Nic dziwnego, że na jedną noc przytuliła się do innego mężczyzny, mimo że nie знаła nawet jego imienia. Tylko wiadomo, że to był „mężczyzna-gołąb”, bo zrobił Soni dziecko w gołębniku i odleciał w nieznaną. Wystarczy na węzeł, intrygę lub perypetię. Którejś przypadkowej nocy zrodziło się życie – też jakieś przypadkowe, niezaplanowane – i jak Sonia samotne. Jeszcze nie wiedziała, że miłość to podróż do siebie, odwieczna i staroświecka wędrówka, co tu dużo mówić – pielgrzymowanie, peregrynacja z czymś niby świętym, ale mało wyraznym.

I wyruszyła Sonia w drogę do miejsc, które znała i do ludzi, którzy ją znali, po to, „żeby wcisnąć się w szparkę czyjegoś świata, gdzie być może znajdzie się miejsce dla niej i dla wszystkiego z czym nie wie, jak postąpić”. Ale wciąż nie będzie wiadomo. I tyle miejsc nowych. Taka uroda wędrówki, że nie ma ni-

czego pewnego, że trzeba zjechać pół świata, spotkać wielu nieznanych ludzi, chcieć z nimi coś swojego rozplątać, ale nie móc tego uczynić naprawdę, bo ani kiedyś poznane, ani zupełnie nowe, nie jest nigdy tym samym. Z tych oczywistych powodów podróżuje się tylko do siebie, a nasze przygody mają wesołe i smutne oczy, które wpatrują się w kogoś przez chwilę lub nieco dłużej. A gdy opadają powieki, to życie śni się po swojemu i zawsze inaczej.

W książkach, podobnie jak w życiu, są zagadki i kłamstwa. Gdyby słowo – pojęcie i niepojęcie – „ludzie” wydrukowano jako „ludzie”, to wszyscy bylibyśmy tacy, jak trzeba. Przeciagałoby się w nas oczekiwanie, niepoprawnie pisane, ale jakieś naprawdę, chociaż wbrew słownikom i nie tak, jak uczono w szkołach. Soni, widzianej na progu powieści, jest dobrze po prostu, w ogóle, bez niepotrzebnych warunków. Gdzieś, kiedyś zaczęło się życie, więc w jakimś celu, który był wcześniej, zawsze inny – oczywisty, mało mówny i zawsze przy Soni, ale wtedy tylko, gdy ona chciała. Kiedy porzucił ją Luis, po raz pierwszy zaczęła mieć problemy, poznała lęk, zaczęła się bać, że można nie oddychać sobą, nie odczuwać siebie. Jeszcze jedno w niej życie – nieplanowane, przypadkowe – to chyba za dużo. Może warto pojechać do rodzinnego miasta. Może warto wyruszyć gdzieś dalej, poszukać ojca, który odszedł, gdy Sonia była mała, a jak się nie znajdzie, to poszukać kogoś innego. To nic, że z dala od domu. Zawsze można wrócić, bo domy ludziom potrzebne.

Jak wiadomo, umieramy dłużej niż jest to potrzebne. Dzieje się tak przede wszystkim dlatego, że zbyt

często patrzymy w przeszłość, jakby można było w niej znaleźć życie albo nawet nas samych, mimo że jesteśmy gdzie indziej i na pewno inaczej. Gdzieś, podczas kolejnej w podróży przygody: „Niebo nad jeziorem było takie błękitne, że pękało serce”. Soni często pękało serce – ale tylko po to, by mogła je skleić na nowo. Jak lustro, zwierciadło lub pory roku. Ale z chwilą, gdy pojęła, że lustra są z natury samotne, potrzebowała kogoś, z kim można przejrzeć się w sobie. Chyba więc nie przypadkiem mężczyzna, któremu chciała wszystko o sobie powiedzieć, miał na imię Kaj, jak bohater baśni, która słonecznie się kończy. Niejeden mógłby za Sonią powtórzyć: „Wszystko było tak dobrze, jak tylko może być, kiedy ktoś, komu wierzysz, bierze cię za rękę i prowadzi pewnie, wiedząc dokąd”.

Życie ma jednak niewiele wspólnego z baśnią. Z góry także należy odrzucić podobieństwa do marzeń, które się ludziom wciska na siłę. To nieprawda, że możliwa jest złuda – „Przy stole, na wielkim tarasie, w słoneczny poranek, szczęśliwy małeńki świat – jak z reklamy keczupu” – bo każda złuda jest tania, kiczowata i bzdurna. Sonia jest nie tyle mądra, ile odpowiednio przebiegła. Chyba dlatego, że urodziła się jeszcze w Związku Radzieckim, że rozpadł się obraz za obrazem, rozpadły się rodziny i całe wspólnoty, a trzeba było jakoś żyć. Nic po wielkich miarach i zamiarach – Sonia będzie żyć na własną miarę i może nawet szczęśliwie.

Ważną, na swój sposób liryczną, właściwością powieści o Soni, jest to, że ukraińska pisarka powtarza model, wzór, narracji o przygodach w podróży, lecz nie zadaje swej bohaterce zadań, którym nie da się sprostać, w których smutek, absurd lub pułapki dla ludzi nazbyt okrutne. Sonia jest tylko pułapką na siebie, jak jesteśmy pułapką my wszyscy, a więc po trochu i każdy. W tym odrobinę dydaktyczna tendencja, lecz marginalna i drugorzędna, bo przecież każdy myli się na własny rachunek i tylko tyle, ile jemu samemu potrzebne. Polecam, że wszystkich, wcale licznych i mądrych spostrzeżeń autorki: „Nie chciała już natychmiast wiedzieć, co ma robić dalej. Czas przestał naciskać na Sonię”.

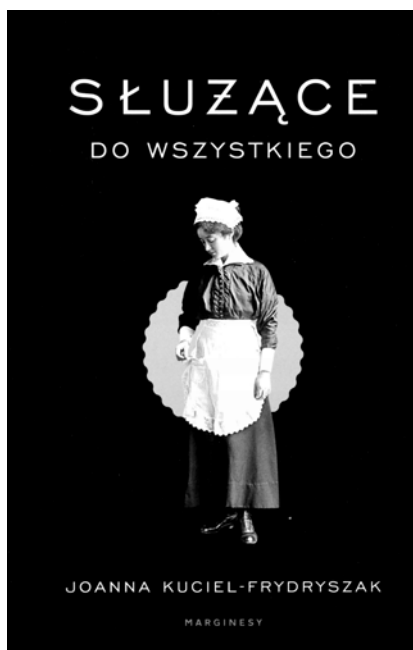
Bo, powiedzmy sobie szczerze, po co ma tak naprawdę naciskać? Czy on bank z naszym kredytem, lokata malejąca w nadmiernym tempie, wręcz jakiś debet straszny i wieczny? Nie z wierszy, opowiadań lub powieściowych historii powinniśmy wiedzieć, że mamy dużo czasu, by zapłacić spokojnie rachunki za siebie. Sonia nie umiała ani kłamać, ani oszukiwać – a że „oszukiwała stale – to potem przychodziła i mówiła całą prawdę”. Być może jedynie dlatego, że nie ma jednej prawdy, ale jest wiele i gdy do kogoś chociaż z jedną umiemy podejść, to więcej nie trzeba. A potem można obudzić się rano. Sonia przeżyła wiele przygód, smutnych i śmiesznych, pewno będzie dalej przeżywać, ale póki co „(...) budziła się i spieszyła się żyć, życie jej się podobało. Bardziej niż kiedykolwiek przedtem”.

PS. Podróż Soni – skądinąd właścicielki szengenkiej wizy – w dużej części była podróżą przez Polskę. Bardzo proszę jednak Wydawcę o to, by poprawił w drugim wydaniu jeden z obrazków: „Z miast minęli Katowice przyprószone niewesołym fabrycznym kurzem – coś tam takiego było, czy kopalnie, czy szkodliwe huty, czy przemysł chemiczny”. ■

Kateryna Babkina: Sonia. Przełożył Bohdan Zadura. Warsztaty Kultury, Lublin 2018, s.140.

Powiernice sekretów, akuszerki nowego ładu

KSIĄŻKI



ANDRZEJ JUCHNIEWICZ

W zamkniętej społeczności, której egzystencję reguluje rytm spotkań przy herbacie, mających na celu wymianę informacji o nowinkach technicznych i kulinarnych oraz konwentykli, których uczestniczki odpowiadają za organizację corocznego dobroczynnego balu na rzecz czarnoskórej lokalnej ludności, prym wiedzie majetna Hilly Holbrook. Jej inicjatywy spotykają się z akceptacją środowiska (nawet jeśli noszą znamiona szczególnego rodzaju niekonsekwencji, opierającej się na przekonaniu, że czarne służące mogą zajmować się dziećmi lokalnych bogaczek i gotować dla nich posiłki, lecz nie mogą naruszać zasady korzystania z odrębnej toalety, która gwarantować ma zdrowie ich chlebodawczyń), ponieważ dobroczynność lub utrzymywanie źle opłacanej służby (pozbawionej prawa do płatnych urlopów i innych świadczeń) stanowią świetne posunięcia wizerunkowe, zaspokajają także potrzeby samorealizacji i przedsiębiorczości oraz uwielbienia socjety.

Chłodne relacje między białymi przedstawicielkami klasy średniej a czarnymi służącymi świetnie odtwarza film Tate'a Taylora *Służące*, który wywindował Violę Davis i Octavię Spencer do rangi najbardziej utytułowanych aktorek 2012 roku. To właśnie Tate, ekranizując powieść Kathryn Stockett, ujawnił skalę i zakres przemocy symbolicznej i fizycznej, która groziła czarnym służącym w domach białych gospodyń. Szczególnie ważne w procesie uświadamiania społeczeństwu wagi pracy materialnej (do której zalicza się prowadzenie domu, wychowywanie dzieci i opieka paliatywna) jest podkreślanie braku możliwości uczestnictwa kobiet werbowanych do prac domowych w życiu własnych dzieci i skazania ich na opiekę osób postronnych, a także braku alternatyw w kwestiach wyboru ścieżki kariery. Choć akcja filmu Tate'a rozgrywa się w stanie Mississippi w okresie apartheidu, wiele łączy tytułowe służące z „białymi niewolnicami”, pracującymi w Polsce do lat 40. XX wieku.

Najnowsza książka Joanny Kuciel-Frydryszak *Służące do wszystkiego* stanowi nie tylko niedo-

strzegalny dotąd obraz zależności feudalnych panujących na przełomie XIX i XX wieku między przedstawicielami ziemiaństwa, klasy średniej a źle urodzonymi, niemajątkowymi kobietami ze stanu chłopskiego (będącymi często analfabekami), lecz także opowieść o losach kobiet najbliższych sercu prozaiczek i poetek. Kuciel-Frydryszak rekonstruuje losy służących Zofii Nalkowskiej, Magdaleny Samozwaniec, Kazimierzy Hłakowiczówny, Marii Dąbrowskiej i wskazuje silną zależność charakterologiczną tych duetów oraz podkreśla dobroczynną rolę służących (lub pomocnic domowych po transformacji, która nastąpiła w 1945 roku) w procesie organizacji czasu pracy pisarek, a także zwiększenia ich wydajności.

Monografistka, obierając za cel relacje międzyludzkie, które wciąż ewoluowały, wskazuje na obustronne zagrożenia wynikające z dzielenia mieszkania ze służącą, m.in. plotkarstwo, nadużycia seksualne, kradzieże, gwałty i anachroniczne zakazy, regulujące tryb życia służącej i mające uchronić chlebodawców przed potencjalnymi przykrościami ze strony przestępczych szajek wykorzystujących zaufanie służących w celu pozyskania informacji o zasobności ich sejfu. W książce Kuciel-Frydryszak ofiarami są wszystkie kobiety. Nie tylko gospoście doświadczały przemocy, lecz również żony pracodawców odczuwały upokorzenie w sytuacji odkrycia niechcianej ciąży służącej lub romansu, przed którymi ostrzegali poradnicy prowadzenia gospodarstwa domowego i nadzoru nad służącymi. Mężczyźni zarządzający kapitałem stali ponad prawem, dzięki czemu i regularnych zarobków znamionował szybką deprawację, brak środków do utrzymania dzieci i rodzin (wiele służących wspierało finansowo krewnych), a także brak oszczędności, które pokryją koszt pogrzebu. Wiele niepiśmiennych dziewcząt nie mogło liczyć na inną pra-

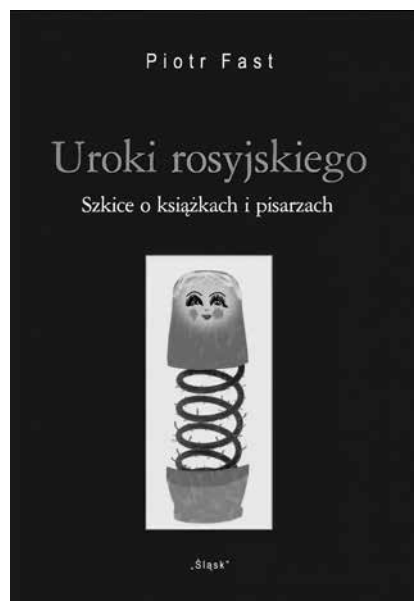
cę, stąd konieczność wielokrotnego testowania kolejnych chlebodawców i uciekania od nich.

W *Służących do wszystkiego* największym przeciwnikiem kobiet najmujących się do prowadzenia cudzych gospodarstw domowych (oprócz pracodawczyń i pracodawców) pozostaje anachroniczne ustawodawstwo, które dopuszcza do pracy jedenastoletnie dzieci oraz przewiduje nawet szesnastogodzinny dzień pracy. W takich warunkach i przy braku odpowiednich ustaw zabezpieczających los służących (samo to określenie miało zostać wyeliminowane ze względu na jego pejoratywne nacechowanie) okazywał się przesądzony; albo tułały się z dobytkiem po metropoliach w nadziei na znalezienie wyrozumiałych chlebodawców i pozostawały z nimi do śmierci, albo popadały w konflikt z prawem, uciekały się do oszustw (*casus koszykowego*) i traktowane były przez lokalną społeczność jako osoby z półświatka.

Badaczka ujawnia w najnowszej książce nie tylko szczegółowy rozkład dnia służącej, obowiązującą przedstawicielki tego zawodu modę oraz fragmenty wspomnień i laudacji dla najsłynniejszych z nich (np. szczególną rewerencją rodzina Sienkiewiczów darzyła Marię Luty), lecz również proces demokratyzacji zawodu i unieważniania feudalnych stosunków. Ostatni rozdział stanowi najważniejszy element opowieści, ponieważ dotyczy momentu przed całkowitą transformacją społeczeństwa, a więc czas eksterminacji ludności żydowskiej, która zmieniła jakość relacji międzyludzkich i stanowiła test przyzwoitości dla chrześcijańskich służących, posiadających informacje o pochodzeniu chlebodawców i zasobności ich mieszkań (autorka wspomina o współpracy służących z gestapo) oraz użyczających schronienia Żydom (Kuciel-Frydryszak odnotowuje chlubną postawę Karoliny Sapety z Witanowic, która uratowała dwoje żydowskich dzieci), a także chrześcijańskich pracodawców, którzy przemilczali fakt przyjęcia do domu Żydówki lub, na skutek nagonki antysemickiej, utrudniali jej pracę i w końcu pozbywali się jej. Źródłem nienawiści do Żydów, generującej wrogie odruchy, była nie tylko akcja agitacyjna środowiska narodowo-katolickiego, lecz również, jak twierdzi autorka, komunizm, „który zaszczerpił w nich gorący bunt przeciw burżuazjom” (s. 367). Kluczem do zrozumienia sytuacji służących jest tradycja polskiego ziemiaństwa (o której wspomina Hłakowiczówna) oraz gruntująca się pozycja chadeków i ludowców, mająca decydujące znaczenie dla wypracowania konsensusu w kwestii rozporządzania czasem pomocy domowej i ochrony jej nietykalności cielesnej.

Kuciel-Frydryszak udowadnia, że praca dla obcych ludzi, wiążąca się z ostracyzmem społeczeństwa ze względu na niskie pochodzenie najemnic i nadużyciami ze strony dobrze sytuowanych mężczyzn i ich synów, była szkodliwa dla zdrowia psychicznego i fizycznego, a także stanowiła formę długoletniego poddaństwa (czasem jego zwieńczeniem była decyzja o pochowaniu służącej w rodzinnym grobowcu), którego wyznacznikami były rezygnacja z życia prywatnego i niekończąca się inwigilacja. ■

Joanna Kuciel-Frydryszak: *Służące do wszystkiego*. Marginesy, Warszawa 2018, s. 415.



W poszukiwaniu nowych znaczeń

KSIĄŻKI

AGNIESZKA LENART

Literaturę rosyjską XX wieku tworzą dzieła różnorodne, odmienne artystycznie, ideowo i językowo, wpisujące się w rozmaite założenia programowe i estetyczne licznych szkół literackich tego okresu. Rosyjscy twórcy dwudziestowieczni intensywnie czerpali, bądź kategorycznie odcinali się od rosyjskiej tradycji i folkloru, toczyli dialog lub polemikę z wielkimi reprezentantami literatury „złotego okresu” — Puszkinem, Tołstojem, Gogolem, Dostojewskim, byli zachwyceni Zachodem, bądź krytykowali zachodnioeuropejskie wzorce. O ile jednak początek XX wieku dawał nadzieję na zmiany, był to bowiem czas twórczych poszukiwań i indywidualnych kreacji, w kręgach literackich wzrosło zainteresowanie filozofią i religią, nastąpił zwrot ku metafizyce, o tyle lata socrealizmu mocno ograniczyły swobodę twórczą autorów, stopniowo pogłębiając totalitaryzację literatury. W epoce socjalizmu realistycznego literatura stała się narzędziem polityki kulturalnej, dla której najważniejszym celem było wychowanie w duchu socjalizmu i orientacji perswazyjnej. Twórczość tego okresu, wpisana w kontekst polityczno-społeczny, sięgnęła granic „analfabetyzmu estetycznego” i „prymitywizmu”, a niepokornych twórców dotknęły represje, aresztowania i deportacje. Walkę z systemem i tendencyjnością w literaturze podjęli dysydenci, pojawiły się wydawnictwa drugiego obiegu, działające w kraju (samizdat) i za granicą (tamizdat), nasiliła się emigracja. Kolejne dziesięciolecia, mimo wielu oczekiwań i nadziei na zmiany społeczno-polityczne, również przyniosły rozczarowanie, dawały pozorne jedynie poczucie wolności i sprawiedliwości.

O tej trudnej rosyjskiej rzeczywistości, w którą wpisały się biografie dwudziestowiecznych twórców i ich dzieła pisze Piotr Fast w książce *Uroki rosyjskiego. Szkice o książkach i pisarzach*. I chociaż w *Przedmowie* autor nazywa publikację „książeczką”, nie dajmy się zwieść, refleksja dotyczy bowiem, cytując słowa badacza, zagadnień „od których nie można się uwolnić”, które „zagnieździły się w pamięci”, „każą szukać nowych znaczeń, dostrzegać nowe sensy”.

Wywody Piotra Fasta — historyka literatury, tłumacza, znawcy tematu, autora wielu publikacji naukowych o piarstwie rosyjskim XX wieku i literaturze najnowszej — mocno osadzone w teorii literatury, skoncentrowane są wokół twórców, w pewnym sensie niezależnych, którzy „potrafili zawrzeć w swoich utworach elementy odmienne od oficjalnej doktryny widzenia świata”. Publikacja zawiera piętnaście szkiców, poświęconych niezablonowym osobowościom, literatom, których twórczość inspirowała, stale istnieje w świadomości odbiorców, bądź wciąż wymaga dogłębnej analizy, czy zainteresowania tłumaczy (na uwagę polskiego czytelnika, według autora, bezwzględnie zasługuje twórczość Władimira Makanina). Mnogość przywołanych w książce autorów i doskonała znajomość ich twórczości, świadczy o szerokich horyzontach badawczych naukowca, potwierdza jego rozległe doświadczenie w obszarze literaturoznawstwa. Do zbioru weszły nazwiska wybitnych, światowej rangi pisarzy: Michaiła Bułhakowa, Borysa Pasternaka, Josifa Brodskiego i — prawdopodobnie mniej rozpoznawalnych — Ilji Erenburga, Władimira Dudincewa, których twórczość stała się symbolem epoki

„odwilży”, a także Grigorija Kanowicza, literacko wiernie oddanego wspomnieniom o żydowskich sztetlach i „Jeruzalaim de Lite”. Ma w tej publikacji swoje miejsce Jurij Drużnikow, pisarz cieszący się sporym zainteresowaniem polskich uczonych, aktor, dysydent, obecny w pracach naukowych badacza od dawna (w 2001 roku w Wydawnictwie „Śląsk” ukazał się zbiór opowiadań Drużnikowa *Tango z prezydentem* w przekładzie Fasta). Do zbioru weszły dwa szkice, poświęcone prozie pisarza, przedstawiciela tzw. trzeciej fali emigracji rosyjskiej, interesujące ze względu na odmienne stanowisko badawcze autora książki, skierowane raczej na warstwę semantyczną dzieł Drużnikowa, niż na interpretację skupioną jedynie wokół problematyki utworu. Badacz zachęca do odczytywania tej literatury, wpisanej w nurt paraboliczny, poprzez głębsze wnikanie w warstwę aksjologiczną tekstu, poszukiwanie ukrytych sensów i rozbudowanych denotacji. Doskonałym uzupełnieniem drużnikowskich rozważań tantologicznych, o których pisze Piotr Fast, byłyby utwory Kanowicza (*Nie odwracaj twarzy od śmierci*, *Świeca na wietrze*, *Lzy i modlitwy głupców*), w których niemało miejsca zajmują rozważania o śmierci. Z punktu widzenia badań postimperialnych, postkolonialnych, które zyskują coraz większą uwagę naukowców, przez pryzmat wartości moralnych i norm etycznych rozpatruje badacz twórczość współczesnego pisarza, Piotra Aleszkowskiego.

Omawiana literatura jest niewątpliwie świadectwem epoki, często także głosem sprzeciwu wobec działań sowieckiego systemu, wspomnieniem utraconej rzeczywistości, biografią człowieka poszukującego swojej tożsamości, doświadczonego przez wojny, kult pieniądza, żądzę władzy (twórczość Władimira Makanina i Zachara Prilepina). Przede wszystkim jednak, co podkreśla autor publikacji, teksty, o których mowa, są studium świadomego pisarstwa, efektem poszukiwania absolutnej prawdy i piękna, przykładem dojrzałej oceny trudnej rzeczywistości, widzianej oczyma artysty, ale i człowieka, dla którego ważne są uniwersalne wartości. Przestrzeń literacką analizowanych przez Fasta utworów tworzą rozważania nad istotą bytu, dotykające ontologicznych początków istnienia, pojawiające się nierzadko pytania o arche i miejsce człowieka we współczesnej rzeczywistości, ale także sięgające metafizycznej głębi. Przywoływane w książce utwory, mimo że dotyczą różnych etapów rosyjskiej historii XX wieku i reprezentują rozmaite nurty artystyczne oraz style pisarskie, są, co podkreśla autor, wyrazem niekonwencjonalnych postaw myślowych. Każdy z osobna i wszystkie razem są zajmującą lekcją o człowieku, wpisana w specyficzną, rosyjską rzeczywistość, ale i egzystencjalne uniwersum. Pionierskie badania Piotra Fasta niech będą zachętą do dalszych poszukiwań nowych sensów i znaczeń, do odkrywania głębi literatury rosyjskiej.

Piotr Fast: *Uroki rosyjskiego. Szkice o książkach i pisarzach*. „Śląsk” Wydawnictwo Naukowe, Katowice 2018, s. 220.

Biografie pisze się ludziom, a nie instytucjom czy miastom. Instytucje i miasta mają swoje historie. Wszelako tak myśląc, nie przybliżamy się do istoty rzeczy. Bez biografii mieszkańców historia miast byłaby czymś skrajnie odpersonalizowanym. Przypomnijmy zdanie Stanisława Brzozowskiego: „Co nie jest biografią – nie jest w ogóle”. Zbiór *Częstochowa, nasze miasto* jest pięknym hołdem złożonym miastu i Towarzystwu Literackiemu im. Adama Mickiewicza, które tutaj – za sprawą oddanego kulturze środowiska nauczycielskiego – od lat 30. minionego stulecia współtworzyło podstawy dla rozwoju kultury, a w przyszłości także Uniwersytetu. We wstępie do zbioru przeczytamy, że zebrane szkice są okazją do „spotkania” przedstawicieli różnych środowisk. Spotkania łączą, są okazją do przypomnienia tego, co umyka pamięci. I właśnie ta książka łączy tych, których już nie ma z tymi, dla których ma wartość ich przypomnienie.

Wzruszająca jest część pierwsza: oddanie hołdu Józefowi Mikołajtisowi oraz Józefowi Wójcickiemu, współtwórcom częstochowskiego oddziału Towarzystwa Literackiego im. Adama Mickiewicza. Wspomnienia o ludziach są tu jednocześnie charakterystyką ich działalności. W ogóle, jak się zdaje, pisanie tylko o faktach z życiorysu bez pogłębianej refleksji nad tym, co człowiek wnosi do kultury, nie ma żadnego uzasadnienia. Z tym większą radością należy przyjąć, że Mikołajtis urasta nie tylko do rangi ojca-założyciela Towarzystwa, ale także do głównego inicjatora działań, jakie i dzisiaj widzimy w pracy nowych jego liderów. Bezценne jest pod tym względem studium Elżbiety Wróbel – prawdziwa historia Towarzystwa Literackiego i historia kultury w mieście.

Część pierwsza nie ma charakteru okolicznościowego, ale zasadniczy. Świetne jej nazwanie: *Poloniści i Częstochowa* od razu kładzie nacisk na personalny związek z instytucją i miastem. Najpierw są ludzie, potem jest miejsce, z którym łączymy się więzami serdecznej przyjaźni. Ale w tej nazwie ukryta jest także idea ważniejsza – to właśnie inteligencja nauczycielska tworzy miasto. Kiedy więc Ewelina Dziewońska-Chudy mówi o „nauczycielu i człowieku” (Józefie Wójcickim), to na miejscu pierwszym stawia misję, a na drugim człowieka, który tę misję spełnia. Tak właśnie powinno się ukazywać rolę człowieka w kulturze.

Część druga książki została nazwana skromnie: *W stronę historii literatury*. Owo „w stronę” ma swoją naukową tradycję, jest już w jakimś sensie archaiczne. Tak tytułowali własne rozprawy dawni profesorowie uniwersytetów, kiedy chcieli pokazać „kierunek”, a nie „miejsce docelowe”. Kierunek zawsze staje się jakąś możliwością drogi, którą mogą podążać inni. I tutaj tak jest właśnie: nie pokazuje się zasadniczych dzieł, które w historii literatury polskiej odegrały znaczenie, ale „kierunek”, ową drogę, jaką przechodzą ci, dla których historia literatury, a osobliwie kultura literacka, są – jakby powiedział Roland Barthes – „do napisania”. Przewodniki dla pielgrzymujących, pamiętnik powstańca, tematy dramatyczne, osoby związane z działalnością czasopiśmienniczą to, zapewne, tylko niektóre z zagadnień, jakie należało podjąć, skupiając się na okresie od wieków XVIII do XX. Ale w tym – wyselekcjonowanym – materiale idzie właśnie o „kierunek”, a nie o „zatrzymanie się”. Kiedy więc w poincju studium Anny

W hołdzie miastu

KSIAŻKI

Wypych-Gawrońskiej czytamy, że „temat częstochowski” w utworach dramatycznych był „przykładem udanego połączenia wymagań stojących przed teatrem jako przedsięwzięciem z obowiązkiem realizacji zadań i misji instytucji artystycznej, określanych na miarę wymagań i oczekiwań swoich czasów”, to rozumiemy, że takie ujęcie od razu pokazuje nowoczesny sposób patrzenia na kulturę literacką miejsca, m.in. w aspektach: komunikacji literackiej (przemiany ról i praktyk komunikacyjnych, wykształcenia się nowych ról, obiegów i funkcji społecznych literatury), wielojęzyczności (kompetencji komunikacyjnych, wymiany lub konfliktu językowego), widowiskowości (sposobu docierania do mniejszej lub większej grupy odbiorców w teatrze życia codziennego, jego różnych formach spektaklowych: zwyczajowych, rytualnych, obrzędowych). W ujęciu komunikacyjnym widzieć też należy znakomity artykuł Joanny Warońskiej o Antonim Stankiewicz – reaktorze i literacie.

Najbogatsza i najbardziej rozbudowana jest część trzecia zbioru: *Częstochowa i współczesność*. Podzielona na dwa rozdziały – o poezji i prozie – jest w istocie rzeczą próbą jakiegoś przybliżenia niektórych zjawisk w twórczości autorów związanych z Częstochową, bądź wątek częstochowski w swoich utworach eksponujących. Znakomici badacze wybrali do swoich analiz twórców oczywistych i nieoczywistych, dzieła znane i takie, które zaledwie przyniknęły do powszechnej świadomości. Chciałoby się, aby krąg literatów powiększyli ci, którzy zwykle są kojarzeni z miastem: Halina Poświatowska, Irit Amiel, Wioletta Grzegorzewska. Tutaj mamy innych i pewnie dobrze, że tak jest. Jeśli kiedyś pojawi się sumujący tom *Literacka Częstochowa*, to odnajdą się w jednej przestrzeni obecni i nieobecni w niniejszym zbiorze autorzy. Wielkim bowiem atutem tomu *Częstochowa, nasze miasto* jest to, że „nieoczywiste” przeciwstawia się „oczywistemu”, które gdzieś ucieka i łapie zazdrośnie zza węgła literatury.



MARIAN KISIEL

Wreszcie część czwarta: *Ludzie, wydarzenia, instytucje*, w której przeczytamy i o „Gau-de Mater”, i o zbiorach biblioteki uniwersyteckiej, i o Częstochowie jako małej ojczyźnie na lekcjach języka polskiego. Bardzo nieokazjonalne artykuły, świetnie dopełniające tę różnorodność, która składa się na biografię miasta i jednocześnie opisuje jego duchową kulturę na przestrzeni ostatnich kilku wieków. I znów mamy świadomość, że to zaledwie kilka odprysków z bogatej biografii/historii miasta, ale też jesteśmy głęboko wdzięczni za przywrócenie pamięci (zatrzymanie w kadrze pamięci) tych zdarzeń, które były organizowane z myślą o inteligentnym i inteligenckim odbiorcy z Częstochowy.

Jakie gatunki krytycznego myślenia występują w recenzowanym zbiorze? Obok wspomnienia – rekonstrukcja historyczna, obok prac ogólnych – szczegółowe eksplikacje, obok rzutów historycznoliterackich – portret, obok ujęć historycznoliterackich – ujęcia krytycznoliterackie. Mamy do czynienia z pełnym spektrum literatury roznawczego wysłowienia. I – dodajmy – z bogatą reprezentacją naukowego i nauczycielskiego środowiska Częstochowy. To niebywale podnosi atrakcyjność tomu, który przedstawia nie tylko „obrazy z życia” dawnego i obecnego miasta, ale też – oddajmy honor fotografiom Eweliny Dziewońskiej-Chudy – „Częstochowy, w której żyjemy i pracujemy”.

Częstochowa, nasze miasto. Wydarzenia, wspomnienia, ludzie. Księga jubileuszowa z okazji 60-lecia działalności Towarzystwa Literackiego im. Adama Mickiewicza Oddział w Częstochowie. Pod red. Agnieszki Czajkowskiej, Joanny Warońskiej, Elżbiety Wróbel. Muzeum w Częstochowie, Częstochowa 2018.

KSIĄŻKI NADESŁANE



Jan Goczoł, *Kosturem po korze. Wybór wierszy*. Wydawnictwo Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej i Centrum Animacji Kultury w Poznaniu, Poznań 2018



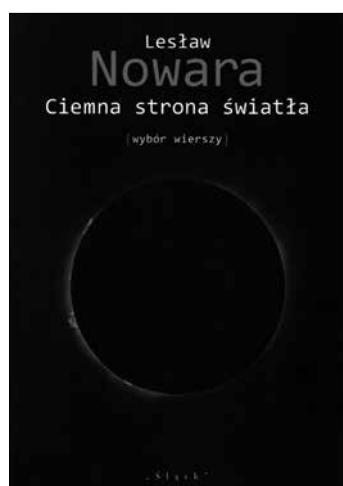
Barbara Gruszka-Zych, *Basiu wróciłem*, Wydawnictwo Naukowe „Śląsk”, Katowice 2018



Tadeusz Kijonka, *Wiersze wigilijne*, Wydawnictwo Naukowe „Śląsk”, Katowice 2018



Bolesław Bieniasz, *Drgnienie chwil*, Wydawnictwo Naukowe „Śląsk”, Katowice 2018



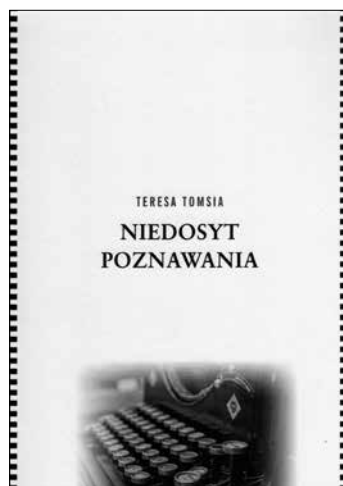
Lesław Nowara, *Ciemna strona światła. Wybór wierszy*, Wydawnictwo Naukowe „Śląsk”, Katowice 2019



Kalendarz Kulturalny Województwa Śląskiego 2019, Regionalny Ośrodek Kultury w Bielsku-Białej, Bielsko-Biała, 2019



Ewa Olejarz, *Mongolski Cyrk*, Instytut Mikołowski, Mikołów 2018



Teresa Tomsia, *Niedosyt poznawania*. Wydawnictwo Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej i Centrum Animacji Kultury w Poznaniu, Poznań 2018



Kalendarz Trzech Religii. Żydzi Chrześcijananie Muzułmanie. Ziemia to nasz wspólny dom. Wydawca: Miasto Katowice 2019.

Najpiękniejszy kraj

Kresy w malarstwie polskim ze zbiorów Muzeum Narodowego w Krakowie

URSZULA KOZAKOWSKA-ZAUCHA



Jan Stanisławski, *Obłok nad Dnieprem*, 1903, ze zbiorów Muzeum Narodowego w Krakowie

Kresy... Bogate, stare, piękne słowo. Jest w nim obszar i przestrzenność, bezkres równin falujących, oddalenie od świata i wicher stepowy. Dla każdego z tamtej strony zawiera w sobie treść ojczystej Ziemi, jej barwę, kształty i woń.

Zofia Kossak-Szczucka, *Pożoga*, 1917

Muzeum w Gliwicach zaprasza na lekcję „geografii serdecznej” i podróż do krainy prawie (prawdziwie) „mitycznej”, jaką dla dzisiejszej Polski stają się Kresy – wschodnie ziemie dawnej Rzeczypospolitej. Ekspozycja „Kresy w malarstwie polskim...” to swego rodzaju „Pieśń o ziemi naszej” w obrazach. Napisany w 1835 roku poemat Wincentego Pola – obecnie zapomniany – a w okresie zaborów niezmiernie popularny, przechował wyobrażenie mającej się odrodzić Ojczyznę obejmującej swym obszarem Żmudź, Litwę, Polesie, Wołyń, Podole, Pobereże, Ukrainę i „rzeki domowe” Rzeczypospolitej – Niemen i Dniestr. Na wystawie w Willi Caro zaprezentujemy widoki z tego kresowego świata uchwycone na płótnach wybitnych polskich twórców, m.in.: Józefa Chelmońskiego, Adama Chmielowskiego, Leona Wyczółkowskiego, Teodora Axentowicza, Juliana Fałata, Ferdynanda Ruszczyca, Kazimierza Sichulskiego czy najsilniej związanego z Kresami Jana Stanisławskiego. Ruiny twierdzy i zamków pamiętające wojny z Rosją i Turcją, bogactwo kolorów, bezkres pejzażu, „typy” i „charaktery” ludowe, zaciszne ziemiańskich dworów... Na wystawie zobaczymy świat w obrazach, ale wciąż bije w nim ważne dla polskiej tożsamości źródło – jak u Wincentego Pola: *Tam już dostać wody zdrowej Tam krynice i dąbrowy I brzoszowe czyste gaje, A plug czarną ziemię kraje.*

Prezentowane obrazy pochodzą ze zbiorów Muzeum Narodowego w Krakowie, a kuratorem wystawy jest historyk sztuki, kustosz MNK Urszula Kozakowska-Zaucha. Wernisaż odbędzie się w piątek, 15 lutego w Willi Caro o godz. 17.00.

Wystawa objęta została honorowym patronatem Marszałka Województwa Śląskiego Jakuba Chelstowskiego i Prezydenta Miasta Gliwice Zygmunta Frankiewicza.

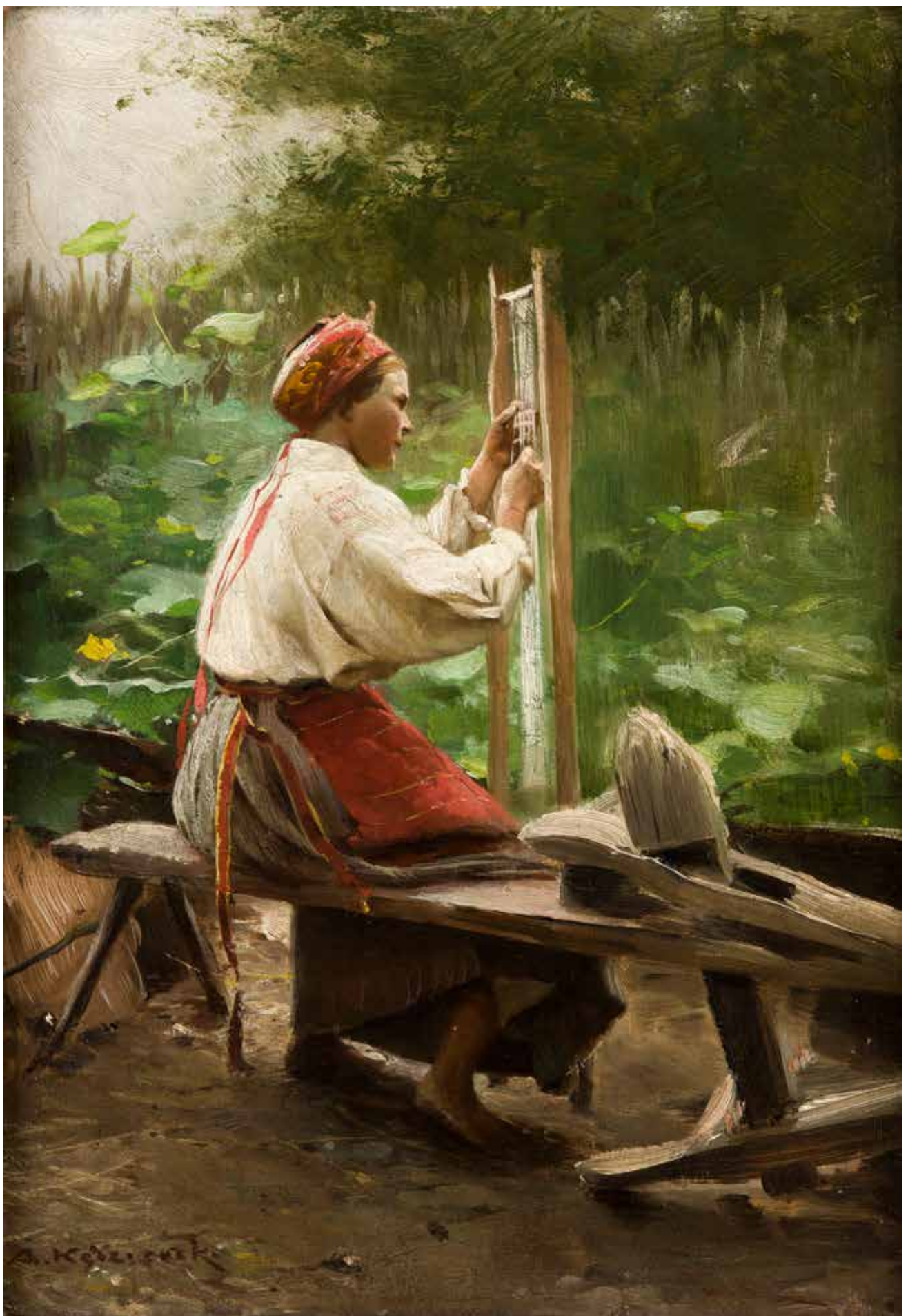
„Kresy” to słowo o ogromnym ładunku emocjonalnym. Odnosi bowiem nie tyle do terytorium, ale przede wszystkim do całej spuścizny historycznej i dziedzictwa kulturowego Rzeczypospolitej na wschodzie, dla której kresowe rubieże od średniowiecza były obszarem osadnictwa i kulturo-

wej ekspansji. Dlatego jeśli już myślimy o Kresach w kategoriach geograficznych, to właśnie „geografii serdecznej”, która – jak w romantyzmie – każe nam szukać związków pomiędzy ludem, narodem a zamieszkiwanym przez niego terytorium. Jakby w ziemi, chmurach, niebie, barwach przyrody zawarty był jakiś szczególnie cenny dla tożsamości pierwiastek. Dlatego tak ważne jest, by Kresy były nie tylko „mityczną krainą”, ale też istotną częścią polskiej świadomości narodowej – żywym źródłem z którego czerpiemy. Pielęgnowanie pamięci Kresów jest wyjątkowo ważne na Śląsku, jako że w kształtowaniu się powojennego oblicza naszego regionu znaczny udział miały osoby wysiedlone z Kresów. Gliwice są tego szczególnym przykładem. To, obok Bytomia, jedno z tych miast na obszarze górnośląskiej niecki przemysłowej, gdzie trafiło najwięcej przybyszów ze Lwowa, Stanisławowa, Drohobycza czy Tarnopola. W Gliwicach jesienią 1945 r. rozpoczęła działalność Politechnika Śląska, której kadra naukowa, pracownicy administracji, jak i w dużej mierze studenci rekrutowali się z Politechniki Lwowskiej. Z tego powodu bardzo się cieszę, że dzięki współpracy z Muzeum Narodowym w Krakowie możemy szerokiej publiczności przybliżyć świat Kresów widziany oczami wybitnych polskich artystów, jego klimat i ducha. Ostateczną zagładę tego świata rozpoczęła rewolucja bolszewicka, a dokończyły decyzje trzech mocarstw, zaś po masowych wywózkach, mordach i wysiedleniach Polaków, eksterminacji Żydów, przesiedleniu innych grup narodowościowych i etnicznych wielonarodowe, wieloetniczne, wieloreligijne Kresy już nie istnieją. Jednak dzięki dziełom sztuki wciąż możemy do nich powracać i lepiej – poprzez nie – rozumieć naszą polskość. Zanurmy się w świat Kresów, zaczerpnijmy ze źródła. Jestem wdzięczny prof. Andrzejowi Betlejowi, dyrektorowi Muzeum Narodowego w Krakowie, za życzliwe potraktowanie gliwickiego muzeum, za użyczenie cennych obrazów i włączenie się w organizację ekspozycji, co w mojej ocenie oznacza, że po wielu latach Muzeum Narodowe w Krakowie otwiera się na współpracę z placówkami małymi, które działają niejako na rubieżach centrów kultury w Polsce. W mojej ocenie to bardzo ważna, dobra i długo oczekiwana zmiana. Dodać wszelkich starań aby nasza współpraca nie była jednorazowa, i żeby narodowa instytucja kultury znalazła w gliwickim muzeum godnego ambasadora na Górnym Śląsku, zaś wystawa Kresy w malarstwie polskim

była zapowiedzią kolejnych wspólnych przedsięwzięć programowych – powiedział dyrektor Muzeum w Gliwicach, Grzegorz Krawczyk.

Kresy Wschodniej Rzeczypospolitej stały się szczególnie atrakcyjnym tematem dla artystów, którzy właśnie tam odkryli bogate źródło inspiracji: piękne krajobrazy, architekturę, historię pojmowaną w wymiarze symbolicznym. Kresy z rozległymi stepami, niezmiernymi przestrzeniami w trudnym dla Polski okresie historycznym kojarzyły się ze swobodą, wolnością, niepodległością. Prowokowały więc i na przestrzeni XIX–XX wieku artyści często podejmowali tematykę kresową, dostosowując jej interpretację do aktualnie panujących tendencji i stylów; stąd kresowe tematy zarówno w malarstwie romantycznym, historycznym czy w młodopolskim symbolizmie. Kresy dostarczały inspiracji również i formalnych polskiej wersji impresjonizmu; stały się też jednym z pretekstów malarskich dla polskich kolorystów. Romantyczne fascynacje Kresami rozpoczęły się pod koniec XVIII wieku wraz z modą na rysunkowe serie samodzielnych krajobrazów, utrzymanych w sentymentalno-nastrojowej aurze i będących najczęściej rodzajem dziennika z patriotyczno-inwentaryzacyjnej podróży. Z przesłanek marzeń o wolności i niepodległości zrodziła się również twórczość malarzy historycznych związanych ze środowiskiem monachijskim. Ponowny renesans i popularność tematów kresowych nastąpił w sztuce okresu Młodej Polski. Dokonał się wówczas zwrot ku symbolizmowi, przy równoczesnych powrotach do romantycznej idei posłannictwa narodowego. Kresy w dalszym ciągu nosiły ze sobą symboliczno-nostalgiczne fascynacje, ale przed kolejnym pokoleniem artystów odkryły również nowe możliwości formalne – niepowtarzalne światło i kolor. Młoda Polska odkryła również Huculszczyznę – żywiołowość tamtejszego folkloru, egzotykę strojów i obyczajów. Ostatnim przejawem malarskich fascynacji polskimi Kresami, były lata trzydzieste XX wieku, kiedy to do rangi »Aten wołyńskich« urosł Krzemieniec.

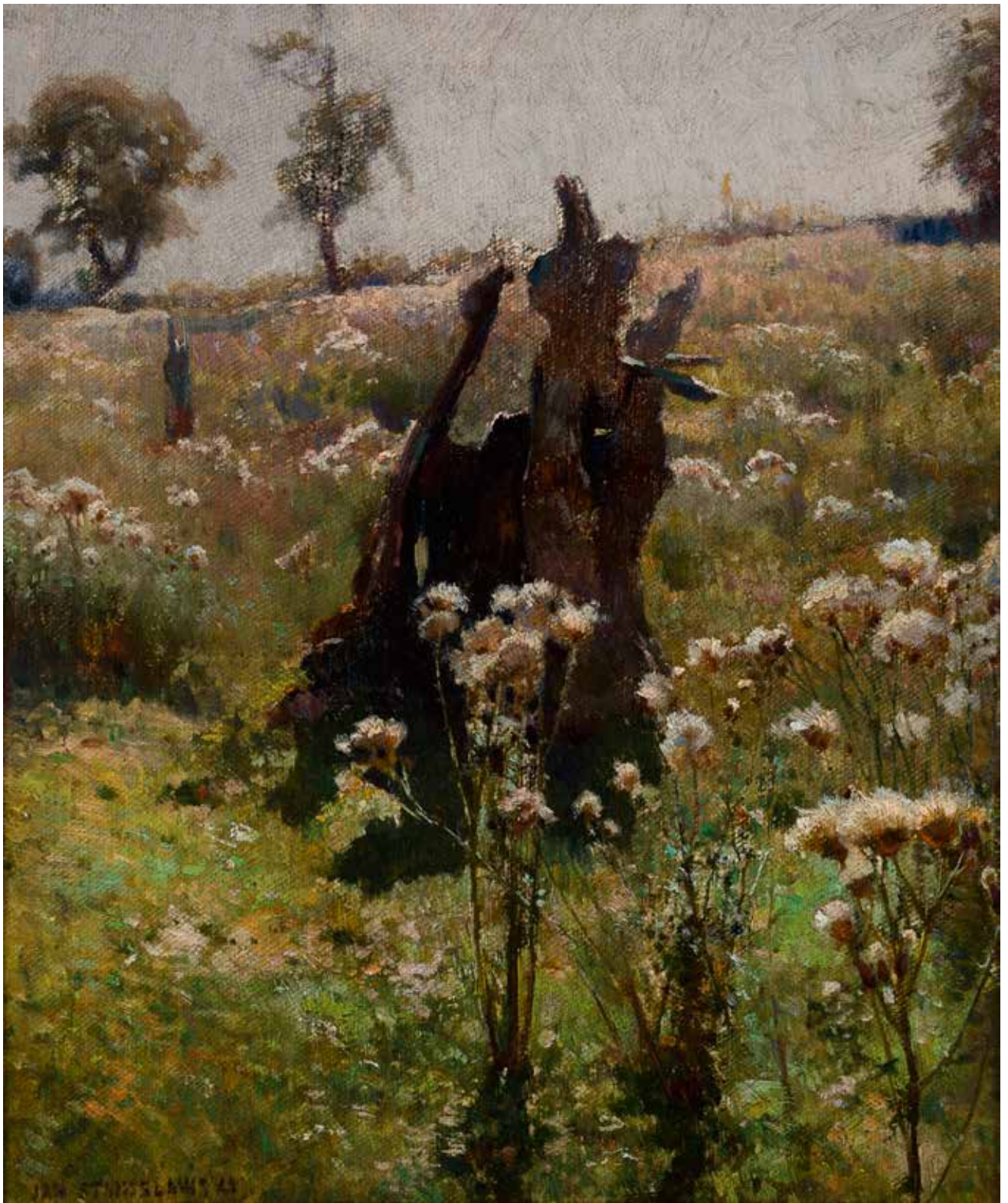
Wystawa Kresy w malarstwie polskim ze zbiorów Muzeum Narodowego w Krakowie dostępna dla publiczności od 16 lutego do 23 czerwca 2019 r.



Apoloniusz Kędziński, *Przędka*, ok. 1900, ze zbiorów Muzeum Narodowego w Krakowie







Jan Stanislawski, Bodiaki, 1885, ze zbiorów Muzeum Narodowego w Krakowie

Muzyka według Jerzego

PIOTR GRELLA-MOŻEJKO



Biorąc pod uwagę „staż pracy”, Jerzy Kaplańek ma najpoważniejszy wkład w sukcesy PSQ. Obecnie wykładowca skrzypiec i muzyki kameralnej w Wilfrid Laurier University, już od dłuższego czasu kojarzy działalność jako pedagog i kameralista z karierą solistyczną i to nie tylko na niwie tzw. muzyki poważnej, ale jazzu oraz innych gatunków – a wszystko, co robi, robi wspaniale.

Dowodem jego mistrzostwa, a zarazem punktem kulminacyjnym dotychczasowej solistycznej kariery Jerzego jest, wydana w 2013 roku przez czołową północnoamerykańską niezależną wytwórnictwo Marquis Classics, płyta *Exoticism* poświęcona w całości muzyce Karola Szymanowskiego. Dość nieszczyśliwy tytuł nie pochodzi oczywiście od Jerzego (jego propozycje, znacznie mądrzejsze, wydawca zignorował), ale to muzyka się liczy, nie etykieta; trzeba wszak przyznać, iż jest to bardzo eleganckie wydawnictwo. *Exoticism* to jedna z tych płyt, do których się wraca. Użyłem wcześniej wyrażenia „uczyć się Szymanowskiego” – i ta kolekcja dzieł na skrzypce i fortepian stanowi doskonałą odskocznnię do poznawania owego fenomenu, gdyż nie ma w odbiorze dzieła sztuki muzycznej nic przyjemniejszego niż rozkoszowanie się pięknym utworem w pięknym wykonaniu. Obaj artyści – Jerzy gra tu z wybitnym kanadyjskim pianistą Stéphanem Silvestre – wprowadzają nas w bajkowy wprost świat krystalicznie czystych, wysublimowanych emocji, emocji „szymanowskich” (tak bardzo rozpoznawalny jest ten idiom!); porywająco grają młodzieńczą sonatę op. 9 z 1904, w której słyszymy fascynujące, nawet wrzuszające zmagania z miłością do muzyki Ryszarda Straussa i pragnienie wyswobodzenia się z niej. Równie doskonale brzmią w pełni „szymanowskie” *Mity* op. 30 z 1915 – obok I sonaty Prokofiewa op. 80 chyba rzeczywiście najpiękniejsze dzieło na skrzypce i fortepian napisane w XX stuleciu. Zestaw uzupełnia kilka innych dzieł, ze znaną i zagraną – najlepsze słowo: prześlizgnij *Pieśnią Roxany* w transkrypcji Pawła Kochańskiego, innego wielkiego skrzypka, który działał poza granicami kraju.

Od lat podziwiam Jerzego i stawiam go sobie i innym za wzór Polaka i artysty – oto jeden z tych cichych, spokojnych, skromnych geniuszy, którym polska muzyka zawdzięcza właściwie wszystko, czyli stałą obecność na estradach świata.

Jerzy Kaplańek (ur. 1965) to wspaniały artysta, może nawet geniusz – jeden z tych cichych, spokojnych, skromnych talentów, które trzeba odkryć, by potem zrozumieć ich znaczenie. Przykładem takiego geniusza był Karol Szymanowski, którego świat musiał nauczyć się od podstaw dopiero, i jakże późno, by móc pojąć wielkość jego muzyki.

Znamy się z Jerzym od wczesnej młodości. Skroś wszelkich przygód zawodowych, życiowych perypetii, podróży, wspólnych projektów udanych i nieudanych – pozostajemy w miłym kontakcie. Po raz pierwszy spotkaliśmy się w latach osiemdziesiątych zeszłego stulecia – on wschodząca gwiazda śląskiej wiolinistyki, ja początkujący kompozytor-samouk i *enfant terrible* tutejszego środowiska. Trzeba przyznać, że Jerzy nie zwracał uwagi na kontrowersje – i wielkie mu dzięki.

Uparcie, w pocie czoła, wspinał się po szczeblach artystycznej kariery – najpierw sam, potem zaś, po zdobyciu w 1986 ważnej nagrody na Ogólnopolskim Konkursie Muzyki Kameralnej w Łodzi, jako współzałożyciel kwartetu smyczkowego, znanego dziś jako Kwartet Pendereckiego/The Penderecki String Quartet (PSQ). Zajmująca historia tego zespołu zasługuje na książkę (na „swoją” książkę czeka też wspaniały Kwartet Śląski!), albo chociaż pracę magisterską, ale któż by w Polsce chciał pisać o zespole grającym nie rocka tylko muzykę klasyczną, i to głównie współczesną, i który obecnie składa się w trzech czwartych z artystów niepolskich? A jednak naprawdę warto by coś takiego zrobić, a to z prostej przyczyny: ten zespół założony w Polsce, teraz mający swą bazę w kanadyjskim Wilfrid Laurier University (Quartet-in-residence) położonym niedaleko torontońskiej metropolii, od początku swego istnienia, czyli od kilkudziesięciu już lat, mimo zmian składu, ale zawsze z Jerzym na czele (nigdy nie zrobił z siebie George’a czy Dyzmowego Żor’a: był, jest

i pozostanie Jerzym – wszyscy znający go Kanadyjczycy, Amerykanie i Bóg wie kto jeszcze, musieli się nauczyć jak wypowiadać i, co więcej, jak pisać to trudne polskie imię), nigdy nie odstąpił od popularyzacji muzyki polskiej, a szczególnie muzyki śląskiej. Ich interpretacje kwartetów Grażyny Bacewicz, Witolda Lutosławskiego, Andrzeja Panufnika, Krzysztofa Pendereckiego i innych, a nade wszystko Ślązaków Aleksandra Lasonia i Henryka Mikołaja Góreckiego, po prostu elektryzują. Dzieła tego ostatniego nabierają pod smyczkami PSQ wyjątkowego kolorytu, są co tu dużo mówić o niebo dojrzałsze emocjonalnie i technicznie od przereklamowanych wykonań i nagrań Kronos Quartet – nb. zespołu trącającego nam hochsztaplerstwem. A przy tym jest Kwartet Pendereckiego otwarty na wręcz niewiarygodne dla tego typu zespołów eksperymenty, o czym np. świadczy współpraca ze słynnym amerykańskim artystą Paulem Dennisem Millerem, znacznie lepiej znanym jako DJ Spooky. Efekty ich współpracy – DJ Spooky przetwarzający elektronicznie na żywo grane równocześnie przez PSQ dzieła współczesnych kompozytorów i kompozytorków (w tym polskich!) – są „nie z tej ziemi”. Olsniewają – tu kunszt interpretacyjny czworga muzyków, tam twórcza wyobraźnia artysty kojarzonego mechanicznie z hip hopem, ale o ileż dalej wędrującego w estetyce i najnowszej technologii. Nie bez kozery DJ Spooky pojawił się wśród współpracowników legendarnego nowatora muzycznego Iannisxa Xenakisa. Ach, co to by była za uczta posłuchać tych artystów np. na „Warszawskiej Jesieni”! Tak? Nic z tych rzeczy. Nieobecność Kwartetu Pendereckiego w polskich salach koncertowych – i przede wszystkim na „Warszawskiej Jesieni”! – jest równie bolesna, co znamienita: diabeł uprzedzeń środowiskowych, demony zazdrości, zawiści i złośliwości nigdy nie kładą się spać.



Kwartet Pendereckiego 2016

W Teatrze im. Adama Mickiewicza w Częstochowie w Sali Kameralnej im. Iwo Galla wciąż można oglądać polską prapremierę *Poniżej pasa* Richarda Dressera w reżyserii André Hübnera-Ochodlo. W lipcu 2018 spektakl został wystawiony w Teatrze Atelier im. A. Osieckiej w Sopocie, a od 6 października grany jest w naszym teatrze. To pierwsza premiera sezonu 2018/2019 z Magdaleną Piekorz w roli dyrektora artystycznego, która zastąpiła na tym stanowisku Piotra Machalićę.

W 2004 roku dramat Dressera stał się podstawą scenariusza filmu *Human Error* w reżyserii Roberta M. Younga. Sztuka reprezentuje nurt postapokaliptyczny, w finale pojawiają się informacje o palącej się rzece i niebezpieczeństwie katastrofy ekologicznej, zwierzętach przedostających się na teren fabryki, ale i interwencyjny, ponieważ autor zachęca widzów do zastanowienia, co stanowi istotę człowieczeństwa.

Oto w jakiejś fabryce, w bliżej niedookreślonej czasoprzestrzeni, na odludziu nad rzeką, pojawia się nowy audytor, Dobek (grany przez Adama Machalićę). Zamieszka w pokoju z Hanrahanem (Michał Kula) i będzie podlegał Merkinowi (Waldemar Cudzik). Hierarchię podkreśla kolor uniformu audytorów: kierownik działu nosi granatowy z czerwonymi wypustkami, a podwładni – niebieski z granatowymi wykończeniami. Nie wiemy, jaki jest profil produkcji fabryki, to zresztą dla audytorów zdaje się sprawą drugorzędną. Mamy listopadowy termin i partię produktów do wykonania.

Audytor to stanowisko na wskroś nowoczesne, niemal doskonały produkt bezdusznego Systemu. Nic więc dziwnego, że bohaterowie bardziej przypominają strażników niż urzędników. Zdają się sprzymierzeńcami właściciela, strzegą fabryki przed szkodliwym wpływem czynnika ludzkiego, który prowadzi do błędów i pomyłek, dążą do optymalizacji produkcji, a nawet jej mechanizacji. Sami nie wytwarzają, ale cierpliwie obliczają, sprawdzają, piszą raporty. Dbają o efektywność fabryki. Doskonały audytor nie wychodzi poza obszar firmy, nie zna swojej rodziny i nie uczestniczy w jej codziennym życiu. Mamy nawet poczucie, że za ogrodzeniem jego kompetencje zdążyły się niepotrzebne, ponieważ wyłącznie utwierdzają System.

Sztuka opowiada o relacjach między audytorami, zarówno zawodowych, jak i prywatnych, o słabościach, które wystawiają ich na ciosy innych. Wraz z upływem czasu między Dobkiem a Harnahanem tworzy się więź, co niepokoi Merkina. Początkowo starszy audytor to zgorzkniały malkontent, nieco przewrażliwiony na swoim punkcie, samotnik, a nawet socjopata. Kpi z religijności młodszego kolegi, nie liczy się z jego emocjami, mamy nawet wrażenie, że próbuje go wykończyć. Tym bardziej że podobno poprzedni współpracownik zjadł przez niego tubkę kleju. Harnahan jest coraz bardziej zazdrosny o uwagę psychopatycznego szefa. Dobek jest jego przeciwieństwem. Młody, sympatyczny, mąż Laury marzy o karierze, ale i powszechnym uznaniu. Nadal wierzy w wartości. Pod wpływem tej relacji Hanrahan łagodnie, pozwala nawet Dobkowi patrzeć na swój widok. Tymczasem młodszy audytor poddaje się manipulacjom Merkina i uczestniczy w intrydze przeciwko starszemu koledze – najpierw mimo woli narusza jego poczucie bezpieczeństwa, gdy otrzymuje jego dzwonek, aż wreszcie okłamuje go dla dobra firmy.

Bohaterowie oscylują na granicy człowieczeństwa. Oddaleni od rodzin muszą radzić sobie z rozstaniem, brakiem bliskości oraz uczuciem zazdrości. Z dala od prawdziwego życia zaczynają przy-



Duszno, coraz duszniej

JOANNA WAROŃSKA

pominać maszyny, liczące, kontrolujące, ale przede wszystkim pozbawione uczuć. W zależności od poziomu czynnika ludzkiego, emocji i empatii, są bliżsi ludziom, robotom albo szalenicom. Problem polega na tym, że w tym świecie uczucia i emocje uchodzą za słabości, które szkodzą firmie, ale i mogą zniszczyć jednostkę. To one umożliwiają ciosy poniżej pasa, będące wprawdzie zachowaniami nieregulaminowymi, ale przecież niezwykle bolesnymi.

Uosobieniem bezdusznego systemu zdaje się Merkin. Nic dziwnego, że to właśnie on jest najmniej naturalny, a jego śmiech sugeruje zaburzenia psychiczne. To dziwak i ekscentryk, który decyduje o tym, co trzeba, należy, wypada. Dyriguje ludźmi, cofa ich, jakby byli taśmą filmową, wymusza zachowania, stosując rozmaite techniki manipulacji. Traktuje podwładnych jak pajacyki, upokarza, tręstuje i odczłowiecza, wzbudzając w nich najprymitywniejsze instynkty. Walczą więc o jedyne krzesło w jego biurze i o liczbę przypisanych im dzwonek.

Kryzys w zespole ujawnia już scena zabijania owadów, będąca konsekwencją zaproszenia na okolicznościowe przyjęcie. Merkin najpierw wyraża wątpliwości, czy zaprosić Harnahana, a następnie oskarża Dobka, że zachował dla siebie informację o spotkaniu. To jedyny moment, gdy przełożony opuszcza swoje pomieszczenie. Zwykle siedzi za biurkiem i wydaje polecenia. I to on rozpoczyna polowanie na owady, choć obserwator ma wrażenie, że oto odbywa się jakiś sens zadawania cierpienia. Każdy uderza siebie, ale bije coraz mocniej.

Momentem przełomowym jest list żony Hanrahana, która postanawia zamieszkać w klasztorze i wstąpić do zakonu. Ta informacja może załamać audytora i spowodować opóźnienia. Dlatego Hanrahan nie dostanie tego listu. Za namową Merkina Dobek napisze

inny list, poprawiający samopoczucie kolegi. A prawda okaże się nie do zniesienia. Gdy Dobek posłusznie się jakąś frazą z listu, starszy audytor oskarża go nie tylko o czytanie korespondencji, ale i uczenie się jej na pamięć. To widz pozostanie z pytaniem, czy dobre intencje Dobka wystarczająco go tłumaczą. I czy takie kłamstwo można wybaczyc...

Scena podzielona jest na dwie części (scenografia André Hübnera-Ochodlo przy współpracy ze Stanisławem Kulczykiem). Strona prawa należy do Merkina, strona lewa – do personelu. Przestrzeń tworzą proste sprzęty, krzesła, biurka, maszyna do pisania. Biuro Merkina posiada jeszcze telefon i dzwonek, pomieszczenie audytorów – głośnik oraz pokój do spania w głębi. Kierunek przepływu informacji jest jasny, a barierki ustawione pomiędzy dwiema miejscami wydłużają odległość do pokonania, ale i porządkują ruch jak na lotniskach. Miejsce pomiędzy to przestrzeń, skąd bohaterowie patrzą na zatruwaną rzekę, gwiazdy, dzikie zwierzęta i rośliny. Fabryka jest ogrodzona, wskutek czego Dobek ma poczucie zamknięcia i uwięzienia.

Dym i lasery pokazują świat wewnętrzny Dobka, który jako najbardziej wrażliwy z przedstawionych bohaterów przeżywa raz jeszcze poszczególne sytuacje i rozważa wypowiedzane słowa. W takich chwilach porusza ustami, ale dźwięk dochodzi z zewnątrz, z głośników. To momenty, gdy także na widowni, staje się duszno, coraz duszniej... a atmosfera zdaje się nie do zniesienia... To konsekwencje wyeliminowania czynnika ludzkiego. Być może, tym najlepszym, co mogło spotkać bohaterów była najwłaściwsza serdeczność Dobka. Tylko ona pozwoliłaby zbudować właściwe relacje, przydatne także do zarządzania przedsiębiorstwem. To jednak wymagałoby od bohaterów wielkiej odwagi, a przede wszystkim zmiany sposobu myślenia. ■

IV Międzynarodowy Konkurs Wokalistyki Operowej im. Adama Didura

WIESŁAWA KONOPELSKA



W 2019 roku mija czterdzieści lat od I Ogólnopolskiego Konkursu Wokalistyki Operowej im. Adama Didura, organizowanego przez Operę Śląską w Bytomiu. Obecna edycja ma charakter wyjątkowy i jubileuszowy – jest dziesiątą w całej historii Konkursu i czwartą wśród tych o randze w pełni międzynarodowej. To powrót po dłuższej, siedmioletniej przerwie, ostatni Konkurs – już Międzynarodowy – miał bowiem miejsce w 2012 roku. Zgłoszenia będą przyjmowane do 20 lutego 2019 r. Uroczyste otwarcie nastąpi 31 marca o godz. 18 w Operze Śląskiej przed spektaklem *Aidy* Giuseppe Verdiego.

Pierwsza edycja odbyła się jesienią 1979 roku. Inicjatorem był ówczesny dyrektor Opery Śląskiej w Bytomiu, Napo-



Laureaci Grand Prix i I nagrody Stanisław Kuflyuk i Justyna Samborska III edycji Międzynarodowego Konkursu Wokalistyki im. Adama Didura, rok 2012

leon Siess, który zachęcany przez kierownika literackiego Tadeusza Kijonkę oraz późniejszego pierwszego dyrektora Konkursu Zygmunta Folgę, wystąpił z projektem do władz ministerialnych, aby właśnie w tym miejscu zorganizować cykliczny, ogólnopolski konkurs wokalistyki operowej.

Konkurs nazwany został imieniem Adama Didura, pierwszego dyrektora bytomskiego teatru operowego, mistrza scen operowych, pedagoga i twórcy śląskiej sceny operowej.

Adam Didur był postacią wyjątkową i charyzmatyczną, jednym z najznakomitszych basów przełomu XIX i XX wieku.

IV Międzynarodowy Konkurs Wokalistyki Operowej im. Adama Didura, organizowany jest przez Operę Śląską w Bytomiu przy współpracy Akademii Muzycznej im. Karola Szymanowskiego w Katowicach. Odbędzie się w dniach od 31 marca do 7 kwietnia 2019 roku. Jest adresowany do śpiewaków wszystkich narodowości – absolwentów i studentów akademii i uniwersytetów muzycznych, średnich szkół i konserwatoriów muzycznych, solistów oper i teatrów muzycznych oraz członków chórów zawodowych, którzy w dniu 1 kwietnia 2019 roku nie przekroczyli wieku 32 lat.

Konkurs jest wydarzeniem o wyjątkowej randze w historii Opery Śląskiej. Śpiewacy są oceniani przez prestiżowe jury, wśród którego członków w tej edycji znajdują się wybitne osobowości świata operowego, m.in. Wiesław Ochman, Małgorzata Walewska, Andrzej Dobber, Izabela Kłosińska, Bassem Akiki, Wasyl Wowkun, Feliks Widera.

Jak pokazuje historia, wielu z laureatów właśnie po udziale w tym Konkursie, otrzymało zaproszenia do uczestnictwa w wydarzeniach i innych konkursach organizowanych przez najważniejsze ośrodki muzyczne na całym świecie.

– *Udział w tym konkursie buduje śpiewaka, dodaje mu pewności siebie* – mówi Stanisław Kuflyuk, dwukrotny uczestnik, laureat III nagrody podczas II edycji oraz zwycięzca, uhonorowany Grand Prix w 2012 roku. – *Przycho- dząc na przesłuchania można było podpatrzeć konkurencję. Daje to możliwość nauki i sprawdzenia swoich możliwości. Ale jest także okazją do nawiązania kontaktów zawodowych. Są tu zapraszani dyrektorzy, osoby odpowiedzialne za anga- że* – podkreśla laureat, który obecnie współpracuje z najważniejszymi teatrami operowymi i filharmoniami w kra- ju i za granicą, gdzie śpiewa tytułowe partie.

Koncert laureatów zaplanowano na 7 kwietnia o godz. 18 w Operze Śląskiej w Bytomiu, a powtórzone zostanie 9 kwietnia w Teatrze Śląskim im. Stanisława Wyspiańskiego w Katowicach.

Szczegóły również na Facebooku <https://www.facebook.com/IV-Mi%C4%99dzynarodowy-Konkurs-Wokali- styki-Operowej-im-Adama-Didura-2224328921222853/>

FERMATA CHEBZIE

KRYSTIAN GAŁUSZKA

Tak zatrzymałem się pewnego dnia. Tak zatrzymałem na nieznanym dworcu. W dniu raczej zmęczonym pożegnaniem jesieni. Stałem w nawie głównej opuszczonego budynku. Sklepienie z falistej blachy trzymało mnie zapatrzonego. Nierozpoznany dworzec smutno spoglądał na mnie. Jakby sam miał odjechać, zostawiając perony i tę całą resztę. Jak te wagony przetaczane z zachodu na wschód i odwrotnie. Od kiedy pamięcią sięgali tutejsi, ściągnięci tu przez industrię z różnych zakątków Europy.

Tak zatrzymałem się pewnego dnia. Tak zatrzymałem na dworcu. A w zasadzie zostałem zatrzymany. Zdawało się, że to tęsknota wstrzymała czas. Najpierw cisza, która stanęła między nami, uporządkowała proporcje. A potem znowu wszystko ożyło. Ludzie, ludzie, ci kolorowi i ci szarzy, niczym w tańcu, biegali śpiesząc przed siebie. W ścisku czułem zapach potu i perfum oraz ten smak żelaza i węgla, bo przecież byli to żelazni i węglowi. Wypotieni w dookólnych kuźniach i hutach, wyrębani z węgla, twardzi, kostropaci. Ale też wymodleni w świątyniach, miłośnierni. Z pokrzywanymi po kieszeniach kromkami chleba. Już wiedziałem, co to za miejsce.

Tak zostałem zatrzymany na dworcu w Chebziu. Złapany za rękę. Aby posłyszał stukot pociągów. Wylaniających się z pary czasu i szumu wiatru rozcinanego bolidami współczesności. Tych składów zgrzytających i zmęczonych, obciążonych urobkiem i maszynami i tych wypełnionych ludźmi – wywożonymi i przywożonymi, wyjeżdżającymi i przyjeżdżającymi

mi w czasie pokoju i w czasie wojny. W czasie społecznym i tym intymnym, również dla mnie, bo przecież tu zegnałem się z Tobą Kuba, mój bracie z Fryny, który miałeś jechać tylko do Rajchu, a nie do nieba, jak się potem okazało. Jeszcze nie wiedzieliśmy, że modre cugi z Chebzia wpisują się doskonale w całościowy rozkład jazdy tego śląskiego miejsca.

Tak stałem na dworcu wpatrzony w miejsce, o którym Karol Goduła wiedział, że jest ono właśnie tu. Tak stałem z marzeniami. Dlaczego by nie otworzyć na nowo, tego szczególnego portalu w Chebziu? Gdzie mogłaby brać początek niejedna podróż, już nie tylko ta fizyczna, ale również i ta mentalna. Gdzie droga mogłaby się zaczynać, ale także kończyć i gdzie nie trzeba by się ruszać z miejsca okrążając galaktykę, dajmy na to Wielką Mgławicę w Andromedzie.

Tak stanęliśmy na Dworcu w Chebziu. Dworzec za czarodziejskim dotknięciem zakochanych w miejscu, których wielu przecież i jeszcze więcej – jak się po chwili okazało, na nowo otwarł swe podwoje.

– To co, ruszamy w podróż wraz z Joasią Helander? – powiedział na głos Arek Gola w pewnym urokliwym miejscu, gdzieś około godz. 15.07.

– Może zabrałibyśmy Ryszarda Krynickiego? – pomyślała sobie Joanna o godz. 9.02 kilka dni później, w miejscu po drugiej stronie.

– Pięknie. Ruszamy i oczywiście z Chebzia – dopowiedziałem w znacząco innych okolicznościach.

Stało się. Stacja Biblioteka otwiera swoje porta. I mamy nadzieję, idąc za myślą niedowidzącego bibliotekarza z Buenos Aires, że brama ta nigdy nie zostanie zamknięta. Zapraszam serdecznie na wystawę prac Joanny Helander i Arkadiusza Goli oraz na promocję albumu fotograficznego „Nieznany dworzec”, który nie tylko wizualizuje spotkanie artystyczne tych dwóch indywidualności ze świata fotografii, ale poprzez zamieszczone w nim wiersze Ryszarda Krynickiego restauruje połączenia mentalne bliskie mieszkańcom miejsca, które nazywa się Śląsk.

Zatem: Chebzie. Miejska Biblioteka Publiczna w Rudzie Śląskiej. Stacja Biblioteka. Galeria Fermata Goduła. Ruda Śląska, ul. Dworcowa 33, Piątek 25 stycznia 2019 roku, godzina 18.00.

Ruda Śląska, 1987–2018
nieznany dworzec
ARKADIUSZ GOLA



JOANNA HELANDER

an unknown station

Ruda Śląska, 1976–2000

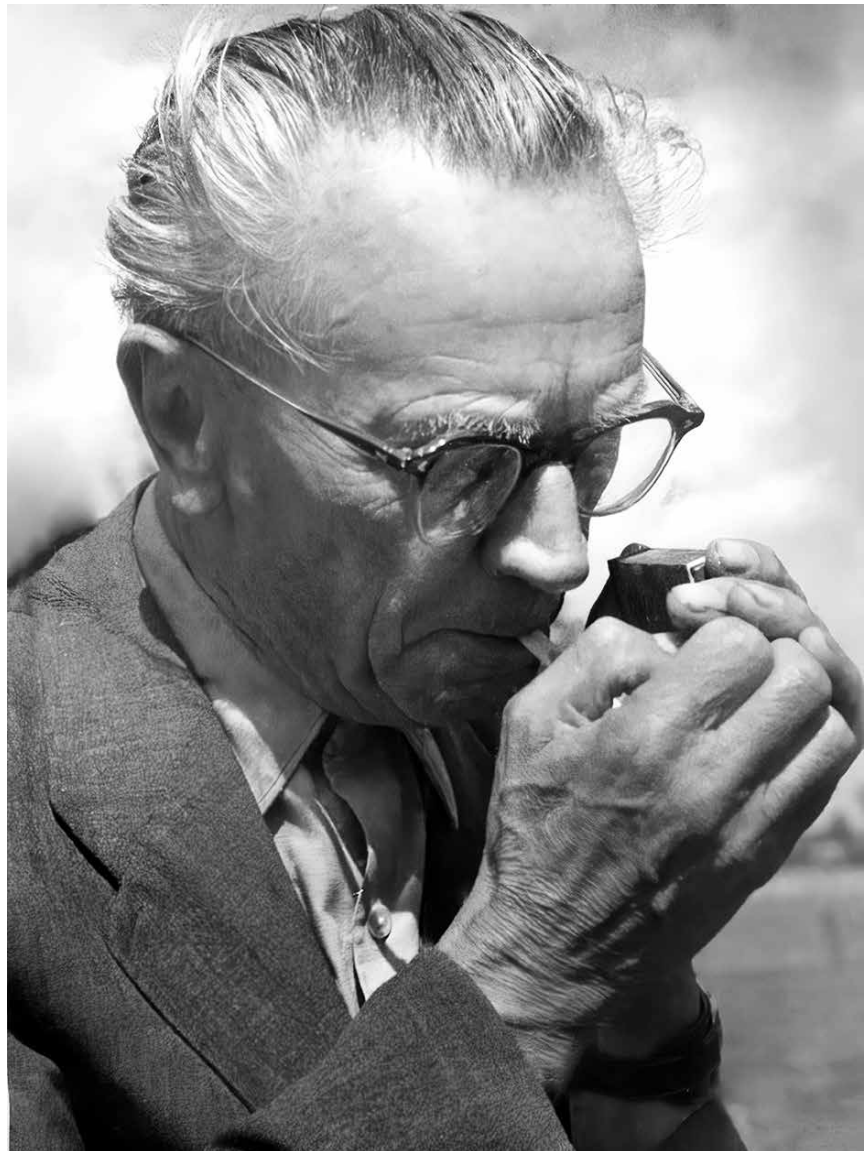
Stalinogród powraca do dawnej nazwy

Listy Gustawa Morcinka

JAN MALICKI

Kultura literacka zna taką kategorię gatunkową, genologiczną, w której bezwzględnie, immanentnie tkwi unikatowość, niepowtarzalność, wyjątkowość. Gdzie każdy przekaz jest na wskroś oryginalny, jedyny, a przez to niezmiernie cenny. Każdy jest „białym krukiem”. To oczywiście list, epistola, codicillus; gatunek o najprostszej z możliwych sytuacji komunikacyjnej: Ja – Ty. Prostej i naturalnej, ale jakże kontekstowo bogatej. Z owych najprostszych z prostych relacji, niczym w zapomnianych już dziś „Harlekinach” rodzi się opowieść o przeżyciach, rozterkach, a nierzadko dramatach ludzi. Ważnych dla nich samych, a frapujących dla tych, co po latach po nie sięgają. Wtedy chłodnym okiem, z dystansem śledzi się losy osób, ukrywających się pod dwoma symbolicznymi zaimkami: Ja – Ty, o zwrotnych zakresach i wektorach pełnionych ról, które dopełnia nasza wyobraźnia. Ja – Ty.

Ona przykładna uczennica, może pensjonarka, on dojrzały, wzięty, choć po przejściach literat. Ona zaciekle wkuwająca do matury, otwierającej wszak drogę do krakowskich studiów. On w cichości oddalony od miejskich ośrodków, tworzy kolejną powieść. I tylko czasem cisza przerywana bywa na spotkania literackie z młodzieżą, przyjacielskie z innymi pisarzami, dostojnymi władzami. Musieli się spotkać. Zapewne na wieczorze autorskim; później w innych miejscach, miastach: w Sosnowcu, Krakowie, Skoczowie. Ona – to Danuta Kucharska-Zarzyska, polonistka i literatka z Sosnowca. On – Gustaw Morcinek. Z uwagą, ogromnym zainteresowaniem i nieskrywaniem zachwytem czytałem ogromny zbiór 81 listów i pocztówek Gustawa Morcinka pisanych przez wiele lat do tej jednej osoby. Najpierw dziewczynki, traktowanej z uroczym uśmiechem, ale i z niezwykłą powagą; z czasem nastolatki, młodej kobiety, wreszcie dojrzałej damy, którą również pociągała



twórczość pisarska. Urzekła mnie niezwykłość form wypowiedzi głębokich a szlachetnych, umiejętności przekonywającego argumentowania swoich racji, niezwykła wierność – tak dzisiaj niemodnym – zasadom etyki, które przecież tak łatwo można przekraczać, łamać, miażdżyć. Od konwencjonalnych i prostych rad, poprzez kunsztowną, niemal

rokokową, zabawę literacką, prowadzoną aż do granicy, jaką stanowią marzenia nastolatki; granicy, której dojrzały mężczyzna nigdy nie powinien przekraczać, wreszcie przyjaźń dwojga dorosłych ludzi. Do śmierci.

Jednak nie ten obraz Gustawa Morcinka pozostał w pamięci pokoleń. Encyklopedie – te klasyczne i te internetowe – widzą w nim czło-

Gustaw Morcinek
 Skoczów, dn. 23.10.14

Kochana Danuto!
Dotychczas wyjątkowo omijaliśmy
temat od PPTB. Krótko - Nierozumie-
liśmy. Pragnęliśmy być z wami
być po prostu

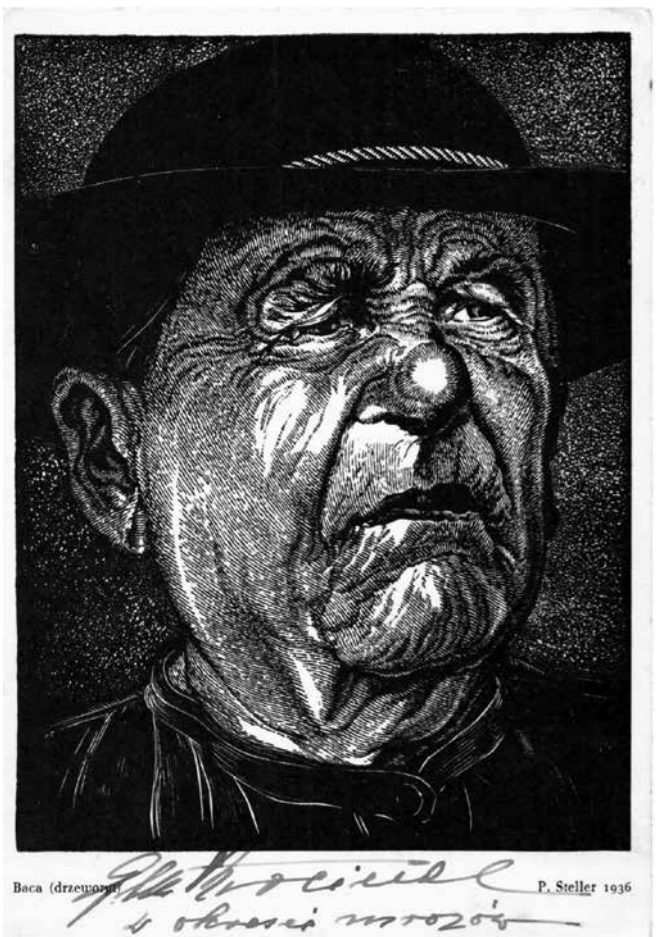
Gustaw

Panno Dena!

Powróciłem z czterodniowej wycieczki po Łodzi i okolicy i teraz dopiero mogę odpisać. Ułożę do Waszego gimnazjum na murowanego w piątek, dnia 11 grudnia o godzinie 11.57 i wygłoszę odczyt na przykład na temat: Jak powstała książka /tu autora:/.
 Piszę wam, bo chcę zdziżyć z kartką na pocztę przed jej odjazdem.
 Bardzo się raduję na wszystko, a na to, że będę u Pani i że dostanę kawy - najbardziej.
 Serdecznie Panię pozdrawiam, Panno Dena, Rodzicom i Bratu ukłony z szacunkiem

Gustaw

Skoczów, dnia 9 grudnia 1936



40 GR POLSKA
 PIENIĄSZY
 100
 LAT CZŁOWIEKA W KOSMOS

Skoczów

Toni
Danuta Kucharskiej-Zarzyckiej
Lesnowie
Warszawska 1

9-1093-60 r. 3. 389. T. 60 000
 II. 25 k. C 1/1 1961 r. u. 3
 Эксперимент. тип. ВНИИ

*K. J. Goston (1869-1949)
 Dada w głosach i piśmie 1914-1918
 Dobra i zła sztuka w sztuce
 K. J. Goston (1869-1949)
 Lada i w. 1914-1918
 Sztuka i sztuka w sztuce
 C. J. Goston (1869-1949)
 Lada i w. 1914-1918
 G. J. Goston (1869-1949)
 Lada i w. 1914-1918
 D. J. Goston (1869-1949)
 Lada i w. 1914-1918
 D. J. Goston (1869-1949)
 Lada i w. 1914-1918*

UCHWAŁA

Rady Państwa i Rady Ministrów Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej
z dnia 7 marca 1953 roku

o uczczeniu pamięci JOZEFY STALINA

Dla uczczenia pamięci Wielkiego Wodza i Nauczyciela mas pracujących i Jego wielkopomyślnych zasług dla Polski, Rada Państwa i Rada Ministrów Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej uchwalają co następuje:

1. Zgodnie z wnioskiem Komitetu Wojewódzkiego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, Prezydium Katowickiej Wojewódzkiej Rady Narodowej i Prezydium Rady Narodowej m. Katowic oraz Katowickiego Wojewódzkiego Komitetu Frontu Narodowego, miasto Katowice przemianować na miasto

STALINOGRÓD

a województwo katowickie na województwo

STALINOGRODZKIE.

2. Pałacowi Kultury i Nauki, stanowiącemu dar Związku Radzieckiego dla stolicy Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, ofiarowany z inicjatywy JOZEFY STALINA, nadać nazwę Pałacu Kultury i Nauki imienia JOZEFY STALINA.

3. Na placu przed Pałacem Kultury i Nauki imienia JOZEFY STALINA wznieść pomnik JOZEFOWI STALINOWI.

Przewodniczący Rady Państwa
ALEKSANDER ZAWADZKI

Prezes Rady Ministrów
BOLESŁAW BIERUT



Stalinogród wraca do poprzedniej nazwy

wieka, który zgłosił w sejmie projekt ustawy o zamianie nazwy Katowice na Stalinogród. Na jednej szali ogromna twórczość literacka, na drugiej fakt polityczny. I ocena człowieka przekreślająca całe długie, bogate, godne życie. W encyklopediach nie znajdziemy kontekstu zdarzeń, które rozegrały się w sali sejmowej roku pamiętnego. Nie ma informacji o wcześniejszym posiedzeniu Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Katowicach, na którym uchwalono na wniosek jednego z obecnych sekretarzy zmianę nazwy miasta. Dokument z podpisami obecnych zachował się do naszych czasów, a opublikowany przez mojego magistranta jest dostępny. Nie przypomina, iż dwóch panów w czarnych płaszczach zawitało do jednego ze znaczących katowickich twórców, nie zastając go w domu. To go uratowało, ale skazało Gustawa Morcinka. Tragiczny przypadek. Wizyta dwóch panów w Morcinkowym „Domu w Słońcu” była krótka. Ten doświadczany przez wojenne losy, szczególnie przez pobyt w Dachau, człowiek wiedział, co oznacza odmowa. Jesteśmy bowiem w latach pięćdziesiątych. Samochód wyjeżdża do Warszawy. Następnego dnia w sejmie Morcinek odczytuje projekt ustawy. Powoli ze spuszczoną głową – jak zapamiętał go jeden z obecnych kolegów pisarzy. I opisał to w swoich wspomnieniach. Dokumenty sejmowe tamtych czasów nie poświadczają i nie oddają atmosfery tamtych dni.

Już wiedział, że wchodzi do historii. Tej złej, czarnej, nienawistnej człowiekowi. Człowiek zły? Człowiek dobry? Oto migotliwość wektorów historycznych owej antropologicznej przestrzeni. Z całego długiego i godnego życia, wartościowych dokonań twórczych w annałach historii pozostało signum 1953 roku. Trudno się jednak oprzeć refleksji. Ile to razy z trybuny sejmowej słyszymy niedo-

ręczności szkodliwe dla kraju? Ile osób je głosi z przymusu, ile z własnego przekonania? Czy mają świadomość czynionego zła? Co po zostanie po nich w Historii?

Portret Gustawa Morcinka z 27 maja 1919 roku w mundurze wojskowym podporucznika, komendanta placu w Skoczowie, z jego własnym podpisem stoi na moim biurku. ■



Codzienna uważność ciała

LECH KORUSIEWICZ

Od jakiegoś czasu wielką karierę robi pochodzące z języka angielskiego pojęcie *mindfulness*. Oznacza ono stosowanie uważności w różnych codziennych czynnościach życia: patrzeniu, jedzeniu, słuchaniu, chodzeniu, czy wreszcie oddychaniu. To rosnące zainteresowanie znaczeniem naszych codziennych działań tłumaczymy rosnącym tempem świata, w którym funkcjonujemy, nadmiarem informacji, których nie jesteśmy w stanie przyswoić i powierzchownością kontaktów między ludźmi. Szczególnie ważne wydaje się uświadomienie sobie wpływu stresu, chorób, wieku i diety na funkcjonowanie ciała, a przez to na samopoczucie, komfort życia, a nawet relacje osobowe. Ciągłe zmęczeniu, w ciągłym pośpiechu, nie zwracamy uwagi na potrzeby naszego ciała. Wystarczy popatrzeć jak chodzimy po ulicach, jak stoimy na przystankach, siedzimy w biurach. Jak wyglądają nasze przygarbione plecy, z jakim trudem wstajemy po dłuższym siedzeniu, zwłaszcza po przekroczeniu sześćdziesiątki, a może nawet pięćdziesiątki, jak niedbale stawiamy stopy. Po prostu to tylko ruchy i postawy ciała, ale ich znaczenie jest ogromne. Stanowią część naszej świadomości samych siebie, odpowiadają także za naszą zdolność do skupienia się na szybko przecieży mijających momentach naszego życia.

Życie z brakami samoświadomości to także życie z zakłóceniami widzenia otaczającej nas rzeczywistości z jej pięknem i różnorodnością. Zmierzamy wtedy ku egzystencji powierzchownej, skupionej głównie na zaspokojeniu podstawowych potrzeb, grozi nam zmarnowanie daru codziennego dobrego życia, jaki przypadł nam w udziale. Ciało jest przecież sposobem naszej komunikacji ze światem, poprzez zmysły, poprzez ruch, poprzez emocje. Skutki pomijania jego znaczenia bywają opłakane: choroby kręgosłupa, stawów dotyczą 90% populacji, otyłość, także w Polsce, staje się normą, choroby psychiczne niszczą życie co trzeciej osoby na świecie. Przy całym postępie cywilizacyjnym, żyje się nam coraz gorzej. Do tego coraz większe problemy z pracą i godziwą płacą, z poczuciem własnej wartości i sensu tego, co robi-

my. Co począć w tak trudnej i nieprzyjanej nam rzeczywistości?

Jak zawsze pomaga rodzina, przyjaciele, różnego rodzaju pasje, a także grupy wsparcia – formalne i nieformalne. Ale jest to przede wszystkim pomoc z zewnątrz, a więc pomoc doraźna, która pomaga czasowo i nie wszystkim. Uważam, że – nie negując jej znaczenia – ostatecznie każdy musi swoją drogę rozwoju wybrać sam, podjąć decyzję o zmianie. To nie jest łatwe, ale możliwe, uczy tego religia, psychoanaliza, uczą mity, szczególnie opowieści o herosach i bohaterach pochodzące ze wszystkich zakątków świata, a powtarzane dzisiaj w niezliczonych opowieściach, czy filmach. Według wszystkich tych, tak zróżnicowanych, źródeł, rozwój zawsze wiąże się z trudem, cierpieniem, upadkami, utratą. Kiedy jesteśmy na to gotowi? Kiedy dotychczasowy byt staje się nie do zniesienia, kiedy czujemy się kompletnie zagubieni, kiedy nie wiemy, co dalej. Cóż wtedy możemy zrobić?

Odpowiedzi na najtrudniejsze pytania zwykle są najprostsze. Gdy się zgubimy to musimy się ZATRZYMAĆ. Rozejrzeć się uważnie, gdzie jesteśmy, jak dotarliśmy do tego miejsca? To jest początek, to czas decyzji, gdzie wyruszymy, przyjrzenia się, w jakim stanie jesteśmy, co możemy zrobić, żeby przygotować się dobrze do tej drogi.

Dobry początek to przełamanie dalej funkcjonującego – choć może w nieco ściszonej formie – tabu naszej fizyczności. Ciało wydaje się mało ważne, nieistotne, nie związane z rzeczami. Naprawdę Istotnymi, zwłaszcza jeśli przekroczyliśmy już granice młodości. A jednak warto spróbować spojrzeć na nasze ciało. W jakim jest ono (czyli ja) stanie? Jak mogę mu (czyli mnie) pomóc? To jedyne, co tak naprawdę posiadamy w naszym życiu – od początku do śmierci, wszystko inne przemija mniej lub bardziej poza nami. Drugie pytanie zasadnicze to: jaki mam stosunek do swojego ciała? Czy je po prostu lubię mimo jego niedoskonałości i problemów? Czy o nie dbam? Jeśli nie, to można tu właśnie ułożyć pierwszą przyczynę naszych niepowodzeń w życiu, przede wszystkim w na-

szym samopoczuciu. Niewiele da się osiągnąć także w rozwoju duchowym bez dobrych relacji z ciałem. A nasza cywilizacja (dotyczy to zwłaszcza żeńskiej części naszych społeczeństw) nie ułatwia tego promując pewien rzadki i trudny do zrealizowania ideał urody i atrakcyjności, którego podstawą jest nieodmiennie młodość.

Proces zmiany nastawienia do własnego ciała może być długi, ale jak zawsze ważny jest pierwszy krok w tym kierunku. I znów sami musimy zdecydować, jak to robić. Sposobów jest wiele, od zmiany garderoby i budowania zaufania do własnej fizyczności – chociażby w sferze intymności. Inne drogi to zdecydowanie się na uprawianie sportu, czy poddanie się działaniom fizykoterapeuty. Niektórzy podejmują decyzję o operacji plastycznej i często oznacza to zwrotny punkt w życiu, akceptację własnej cielesności. Osobiście uważam, że niezwykle pomocna jest w tym także joga. Oczywiście nasza joga, prowadzona w setkach klubów fitness i małych studio jogi, bardzo różni się od tej klasycznej, hinduskiej, liczącej ponad 2400 lat. Nie ma tu ani filozofii, religii, jest raczej powszechne szukanie zdrowia psychicznego i fizycznego, choć dla nielicznych może to być ścieżka rozwoju duchowego. Niemniej pewne elementy, wypracowane przez setki lat, pozostały. Od samego początku nauki *hatha* jogi kładzie się nacisk na świadome kontrolowane oddychanie, kontakt z ciałem i szukanie komfortu w poszczególnych pozycjach. W następnym etapie próba wyciszenia umysłu i skupienia na tu i teraz, a w końcu ewentualnie medytacja w asanach – czyli pozycjach zalecanych przez tradycję jogi. Dojście do perfekcji może zająć lata, ale nie jest to celem. Ważne jest, by być cierpliwym i konsekwentnym i doczekać momentu, w którym wreszcie czujemy, że robimy postępy w praktyce, że przyjazny kontakt z naszym ciałem pozwala mu się rozluźnić, a umysłowi wyciszzyć, odpocząć od zgiełku informacji i problemów (jedno warunkuje drugie).

Poczucie tego, że mięśnie robią się elastyczne i silne zarazem, że poprawia się gibkość i nasza sylwetka jest znakiem, że proces atrofii ciała zostaje

zatrzymany a z czasem cofa się. I wtedy joga stanie się niezbędną częścią naszego życia. Na początku ważne jest oczywiście, żeby dobry nauczyciel wyrobił w nas prawidłowe nawyki i precyzję wykonania asan przez instrukcje słowne i korekty. Potem możemy już praktykować sami, aczkolwiek praktyka w grupie często dostarcza więcej pozytywnych bodźców, ponadto grupa w pewien sposób wspiera i motywuje ćwiczącego.

Nie bez znaczenia jest fakt, że pozytywne skutki jogi ale także medytacji, czy na przykład chińskiej praktyki tai-chi, zarówno dla psychiki jak i dla ciała, potwierdza nauka. Ivan Buric z University of Coventry w piśmie *Frontiers of Immunology* pisze „joga i podobnej praktyki tłumią stres, uspokajają, zarazem chronią organizm przed infekcjami, stanami zapalnymi, chorobami. Dzieje się to przez modyfikację pracy genów odpowiedzialnych za zaburzenia w funkcjonowaniu organizmu. Zostało to potwierdzone w eksperymentach medycznych w University of Texas w Dallas i University of California w Los Angeles. W porównaniu z grupą niećwiczącą, u uczestników zajęć jogi stwierdzono większą aktywność genów odpowiedzialnych za wytwarzanie neu-

trofili, czyli komórek systemu immunologicznego, który chroni organizm przed chorobami i stanami zapalnymi”.

Warto wspomnieć, że jedną z metod kontaktu z ciałem w trakcie ćwiczenia i wykonywania postaw w jodze jest „skanowanie” ciała, czyli skupienie uwagi na każdej jego części istotnej dla danej asany razem z kontrolą oddechu (powinien być długi, niewymuszony, o stałym tempie). Staramy się być świadomi ustawienia stawów, kręgosłupa, kończyn, uczyć się świadomości tego, czy mięśnie są rozluźnione, czy możemy wzmocnić pracę rozciągania, skrętu czy wygięcia. Uznaje się, że postępy w jodze, jeśli się zaczyna od „zera” przychodzą po około trzech miesiącach regularnej praktyki (2–3 razy w tygodniu po 1–1,5 godziny). Ciekawe, że znów badania naukowe potwierdzają ten fakt. Sara Lazar z University of Michigan stwierdziła, że w grupie 16 osób ćwiczących jogę po ośmiu tygodniach wystąpiły znaczące zmiany w gęstości istoty szarej (zwiększona ilość komórek nerwowych i ich wypustek) hipokampu. Ma to duży wpływ na odczuwanie emocji i na pamięć. Z kolei wzrost liczby komórek istoty szarej w tylnej korze obręczy i w jądrach migdałowatych pozwala zmniejszyć odczuwa-

nie bólu i stanów depresji oraz stresu, co jest nie do przecenienia w warunkach współczesności.

Nie wszyscy oczywiście uznają jogę za sposób na życie i drogę samodoskonalenia, ale jeśli już ją ćwiczymy, warto pamiętać, że na każdym poziomie możemy bardzo sobie pomóc przez zrozumienie pracy i potrzeb naszego ciała oraz zmierzanie ku jego spokojnej akceptacji. Możemy zacząć dbać nie tylko o ciało i jego stan fizyczny, ale o właściwe jedzenie, wypoczynek, o miejsce do życia. Potem można to rozszerzyć, zastanowić się nad kontaktami z ludźmi, nad tym, jak unikać toksycznych relacji, a w przypadku wielu osób – jak zacząć oswajać się i rozumieć samotność. Po to, by zrozumieć, że w każdych warunkach możemy zmieniać i polepszać nasze życie bez oceniania siebie i innych, nawet bez wzorców, nauczycieli, czy niedosiężnych ideałów. W ten sposób każdy dzień stanie się darem, każdy oddech przyjemnością a życie w codziennej terażniejszości będzie nieustannym postrzeganiem piękna i wielkim rozkoszowaniem się nim bez potrzeby nieustannego szukania w tym przyjemności, jak mówił Jiddu Krishnamurti. ■



NOTATNIK KULTURALNY

Redagują:
Anna Gaitoer
Joanna Kotkowska

Martwa natura i fotografia

CZĘSTOCHOWA. Do 20 stycznia w Sali Gobelinowej Miejskiej Galerii Sztuki można było oglądać dwie wystawy – wybrane prace nadesłane na 8. Międzynarodowy Salon *Martwa Natura w Fotografii*, organizowany od 2004 roku, oraz ekspozycję *W poszukiwaniu różnych stanów piękna* dedykowaną Januszowi Mielczarkowi, pomysłodawcy i inicjatorowi Salonu.

Na wystawie pokonkursowej pokazano 70 fotografii 48 artystów, wybranych spośród 280 prac 76 autorów z Polski, Niemiec, Izraela, Francji oraz Rumunii. Oceniało je jury w składzie: Mieczysław Cybulski (przewodniczący), Małgorzata Dołowska, Anna Paleczek-Szumlas, Krzysztof Zając oraz Janusz Mielczarek (komisarz wystawy). Zwyciężył Dariusz Gawroński pracą *Once upon a time* (Złoty Medal FIAP oraz Nagroda Prezydenta Miasta Częstochowy), nawiązującą do amerykańskich produkcji *Dawno, dawno temu*. Drugą nagrodę oraz tytuł Best Author otrzymał Henryk Tkocz, a trzecią nagrodę Magdalena Wolff. Medale Fotoklubu RP otrzymali: Paweł Roman, Krzysztof Gałek oraz Anna Roszak.



ze zbiorów Miejskiej Galerii Sztuki w Częstochowie

U wejścia do Sali Gobelinowej urządzono wystawę zdjęć Janusza Mielczarka z lat 1960–2018. Wśród 100 prac były pejzaże oraz portrety znanych częstochowian, m.in. Jerzego Dudy-Gracza, Mariana Michalika, Jerzego Kędziory, Tomasza Sętowskiego czy Wojtka Kowalskiego. Artysta oprowadzał też po przygotowanej ciemni fotograficznej.

CZĘSTOCHOWA. 18 stycznia w Sali Reprezentacyjnej w Ratuszu odbyła się promocja książki *Częstochowa nasze miasto. Wydarzenia, wspomnienia, ludzie* zredagowanej przez Agnieszkę Czajkowską, Joannę Warońską oraz Elżbietę Wróbel. Publikacja została wydana przy wsparciu Urzędu Miasta w Częstochowie z okazji 60-lecia miejscowego Oddziału Towarzystwa Literackiego im. Adama Mickiewicza kierowanego przez dr Elżbietę Wróbel.

W czasie spotkania rozmawiano o literaturze i kulturze miasta, zastanawiano się nad wyzwaniami i trudnościami stojącymi przed regionalistami oraz starano się zdiagnozować współczesność. Okazało się, że zainteresowania badawcze wynikają często z chęci poznania miejsca urodzenia i młodości, a pasja i dociekliwość pozwalają rozwikłać wiele tajemnic.

W książce znalazły się wspomnienia poświęcone m.in. członkom założycielom Oddziału TLiAM, Józefowi Mikołajtisowi oraz Józefowi Wybickiemu, oraz artykuły na temat literatury i kultury w Częstochowie, zarówno współczesnej, jak i nieco dawniejszej. Zamieszczono m.in. szkice poświęcone twórczości Ludmiły Marjańskiej, Tadeusza Chabrowskiego, Tadeusza Gierymskiego, Waldemara Gaińskiego, Krzysztofa Seweryna Wrońskiego, a także obrazowi miasta w kryminałach i sztukach scenicznych.

Fascynacja lalkami

CZĘSTOCHOWA. Do 20 stycznia w Sali Poplenerowej oraz Antresoli Miejskiej Galerii Sztuki można było zwiedzać wystawę *Wobec lalki*, prezentującą prace: Klaudii Gaugier, Pauliny Kary, Małgorzaty Maćkowiak oraz Mirosławy Truchty-Nowickiej. Artystki reprezentują różne pokolenia, środowiska artystyczne, tradycje i estetyki, łączy ich natomiast tworzenie postaci humanoidalnych. Korzystają przy tym z różnych materiałów: tekstyliów, skóry naturalnej, drewna, papier mâché, wosku, wełny czy modeliny.



ze zbiorów Miejskiej Galerii Sztuki w Częstochowie

Te lalki nie muszą być piękne (zamiast Barbie są Barby), nie służą do zabawy i nie są przeznaczone tylko do dziecięcego pokoju. To przedmioty kolekcjonerskie, teatralne albo animacyjne. Stworzone na podobieństwo ludzi zwracają uwagę na to, co niepokojące i ukryte pod powierzchnią uładowanej cywilizacji. Ujawniają nietrwałość, zagubienie, przypominają o groźnej fantastyce nawiązującej do mitologii słowiańskiej.

Wystawa była okazją do spotkania z Mirosławą Truchtą-Nowicką, rozmów o jej pracy i życiu zawodowym oraz warsztatów lalkarskich, na których można było, być może po raz pierwszy, uformować postać z papieru.

CZĘSTOCHOWA. Obchody jubileuszu istnienia częstochowskiej placówki rozpoczęły się 19 grudnia 2018 roku w Ratuszu Muzeum Częstochowskiego otwarciem wystawy *Częstochowski obszar rudonośny na mapach górniczych*. Następnie odbył się koncert industrialny Cypriana Baszyńskiego (trąbka) oraz Michała Rorata (fortepian).

Muzeum powstało pod koniec lat 60. XX wieku, gdy z okolic Częstochowy stopniowo zniknęły kolejne kopalnie rud żelaza. Warto dodać, że rudę wydobywano w naszych okolicach od XVI wieku, a przed 1914 rokiem był to największy okręg górniczy na ziemiach polskich. Otwarcie Muzeum Górnictwa Rud Żelaza odbyło się 10 grudnia 1968 roku w pawilonie w parku im. S. Staszica z inicjatywy Włodzimierza Błaszczyka, dyrektora Muzeum Częstochowskiego, oraz Ryszarda Niewiarowskiego (dyrektora Zjednoczenia Kopalnictwa Rud Żelaza w Częstochowie). Na stałej ekspozycji *Górnictwo i hutnictwo żelaza na ziemiach polskich* prezentowano okazy geologiczne, maszyny górnicze, m.in. dźwig drewniany z XIX wieku, przedmioty użytkowe, sztandary organizacji, dokumentację, stroje galowe oraz robocze.

Nieco ponad dziesięć lat później (3 grudnia 1980 roku) siedzibą muzeum stała się likwidowana kopalnia Szczekaczka w Brzezinach, w gminie Poczesna. Tam funkcjonowało do końca 1983 roku. W 1989 roku powróciło do parku jasnogórskiego, tym razem do tunelu łączącego budynki wystawiennicze (tu do 1996). Od 15 maja 2008 roku Muzeum Górnictwa Rud Żelaza znajduje się w obecnej siedzibie. Podziemne korytarze w skali naturalnej zawierają maszyny i środki transportu. Placówka należy do Szlaku Zabytków Techniki Województwa Śląskiego.

Styczniowe serca pomocy

CZĘSTOCHOWA. 13 stycznia w czasie 27 finału Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy, którego hasło brzmiało: *Pomaganie jest dziecinnie proste*, zbierano pieniądze na sprzęt medyczny dla szpitali dziecięcych. Na placu Biegańskiego serwowano pyszną grochówkę, a od południa zaproponowano program muzyczny. Wystąpili m.in. Wisien TWK, Eternal Spiritis, Rob Gitarnik&Positive Virus, Wszyscy byliśmy harcerzami, Pączki w tłuszczu (z Tomaszem Karolakiem) oraz Big Cyc. Poza tym odbyły się licytacje, bieg „Policz się z cukrzycą”, paintball, zajęcia taneczne i przygotowujące do biegu, Parada Serc, Świątełko do nieba. Częstochowski sztab zebrał ponad 450 tys. złotych.

Krótko

*zagrali: Filharmonia Częstochowska – *Sopranissimo vs Tre Voci, Karnawałowa Gala Operetkowa* Teatru Narodowego Operetki Kijowskiej; plac Biegańskiego – Ewelina Lisowska; OPK Gaude Mater – Jan Ptaszyn Wróblewski Quartet; klub muzyczny Stacherczak – Paweł Łowicki Band oraz The Rhythm'n'Bass; MDK – *Kołodowa Częstochowa*; Muzyczna Meta – Cochise;

*wystawiali: Wejściówka – Maria Ogłaza, Matylda Ślosarska; ROK – malarstwo Marka Teleszyńskiego; galeria Zwiastun – *Magia Suwalszczyzny* Krzysztofa Świertoka; MGS – IV Międzynarodowy Konkurs Artystyczny *Pejzaż współczesny*;

* w OPK Gaude Mater spotkanie z Marcelem Woźniakiem, autorem biografii o Leopoldzie Tyrmandzie.

KATOWICE. U źródeł inicjatywy związanej z organizacją Tygodnia Kultury Żydowskiej znajduje się realizowany w Miejskiej Bibliotece Publicznej w Katowicach cykl spotkań zatytułowany „Wielokulturowy Śląsk”. W historii miasta bardzo wyraźnie zaznaczała się społeczność żydowska, dziś niewiele osób ma tego świadomość. Biblioteka chce przypomnieć przeszłość i skłonić mieszkańców Katowic do poszanowania wszelkich tradycji, na jakich ufundowana jest nasza teraźniejszość. Spotkaniom w Bibliotece towarzyszyły wystawy: „Przerwana Pamięć – cmentarz żydowski w Katowicach”, „Chasydzi w Lelowie”, „Katowickie synagogi”, „Życie przechowane. Mieszkańcy Górnego Śląska i Zagłębia Dąbrowskiego z pomocą Żydom w czasie II wojny światowej”.

Nagroda im. Józefa Kocurka za działalność społeczną

KATOWICE. W Katowicach działa ponad 1600 organizacji pozarządowych. Co roku prezydent Katowic Marcin Krupa zaprasza przedstawicieli tych organizacji aby im podziękować i podsumować współpracę. Tegoroczne spotkanie prezydenta z organizacjami pozarządowymi odbyło się 5 lutego w Miejskim Domu Kultury „Kosztka”. Prezydent Marcin Krupa po raz siódmy wręczył nagrodę im. Józefa Kocurka w dziedzinie działalności społecznej za szczególne zaangażowanie na rzecz mieszkańców miasta. Przyznawana jest ona od 2012 roku. W tym roku laureatem nagrody został **Hufiec ZHP Katowice** realizujący od ponad 95 lat misję, której celem jest wychowanie młodego człowieka i kształtowanie jego charakteru poprzez wspieranie go we wszechstronnym rozwoju i stawianie mu różnorodnych wyzwań. W szeregach Hufca działa ponad 100 wolontariuszy – instruktorów, którzy codziennie pełnią misję społeczną na rzecz mieszkańców miasta, a poza działalnością wynikającą z metodyki harcerskiej gromady i drużyny podejmują się realizacji wielu zadań i projektów społecznych na rzecz swojej dzielnicy, zwłaszcza że Hufiec ZHP Katowice posiada 64 jednostki, które działają w różnych dzielnicach miasta.

Promocja młodych twórców kultury

KATOWICE. Wydział Kultury Urzędu Miasta Katowice realizuje od 2000 roku zadanie pn. Promocja Młodych Twórców Kultury promujące uzdolnioną artystycznie młodzież, zameldowaną na stałe w Katowicach, poprzez przyznawanie nagród przeznaczonych na dofinansowanie ich udziału w krajowych i zagranicznych konkursach, festiwalach, kursach, przeglądach, plenerach, wystawach, warsztatach, itp.

Celem nagrody jest pomoc w rozwoju talentów młodych artystów, a tym samym promocja Katowic w kraju i za granicą. Nagrodę może otrzymać osoba spełniająca następujące warunki: uczeń, student lub absolwent szkoły bądź uczelni artystycznej, a także szkół i uczelni posiadających wydziały lub kierunki o profilu artystycznym, będący mieszkańcem Katowic i mający stałe zameldowanie w Katowicach oraz posiadający nie więcej niż 35 lat (brany jest pod uwagę rok urodzenia). W 2018 roku do programu Promocji Młodych Twórców Kultury złożono 60 wniosków o nagrodę, z czego pozytywnie rozpatrzono 53 wnioski na łączną kwotę 50 000 zł. Młodzi twórcy, którzy otrzymali nagrody, przeznaczyli je na warsztaty muzyczne podnoszące kwalifikacje artystyczne, udział w prestiżowych konkursach muzycznych, realizacje wystaw plastycznych.

Śląski Teatr Lalki i Aktora „Ateneum”

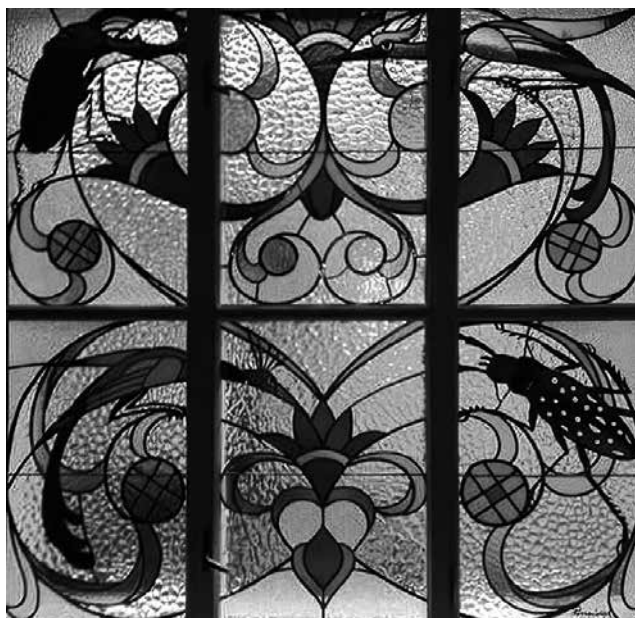
KATOWICE. Pierwszą tegoroczną premierę Śląski Teatr Lalki i Aktora „Ateneum” zaplanował na 9 lutego. Tym razem będzie to klasyka. Sztuka Marty Guśniowskiej wg jednej z najbardziej lubianych baśni Andersena „*Calineczka*” nie odbiega fabularnie od oryginału, zachowując znane wszystkim wątki. Jest to pogodny rozśpiewany spektakl w nieco surrealistycznym klimacie, stworzonym przez scenografa Pavla Hubičkę, z atrakcyjną fabułą i zabawnie przerysowanymi postaciami bohaterów, których wady i relacje odnoszą się do świata ludzi, adresowany jest do dzieci od 3 lat. Mnóstwo piosenek z muzyką Łukasza Damrycha, zaskakujące formy w kostiumach i lalkach, klimatyczne projekcje, ruch sceniczny Klaudii Cygoń i 8-osobowy zespół aktorski. W roli tytułowej – Krystyna Nowińska.

Elektryczny autobus

KATOWICE. 31.01.2019 elektryczny autobus marki Solaris wyjechał w swoją pierwszą trasę po Katowicach. Pasażerowie linii 910 jako pierwsi mieli okazję skorzystać z tego ekologicznego pojazdu, który od czwartku jest użytkowany przez PKM Katowice. Projektowana przez Miasto Katowice kwota 13,25 mln zł to koszt 5-ciu elektrycznych autobusów przegubowych (dostawca Solaris Bus & Coach S.A). Natomiast autobusy 12 m (krótkie) zgodnie z umową zawartą z firmą Ursus Bus S. A. kosztować będą po dostawie łącznie 8,4 mln. Łączny koszt zakupu 10 autobusów elektrycznych wyniesie 21,65 mln zł.

Witraż odkryty w Panewnikach

KATOWICE. Jacek Kuczyński odkrył, że twórcą wykonanego w 1936 roku witrażu jest **Fryderyk Romańczyk wybitny artysta witrażysta**, zafascynowany młodopolską sztuką secesyjną oraz motywami przyrodniczymi. Niedawno zakończyła się jego renowacja, która przywróciła jego pierwotny stan. Prace konserwatorskie polegały na wymianie okna na półpiętrze klatki domu mieszkalnego wraz z naprawą witraży i wstawieniem brakującej jednej z kwater. DREW-



no oryginalnej ramy okiennej nie nadawało się do naprawy ze względu na spróchnienia i ubytki.

Prace konserwatorskie dotyczące witraży polegały na za-

chowaniu istniejących szkieł w stanie niezmiennym, sklejeniu oraz uzupełnieniu brakujących elementów, wymianę skorodowanego ołowiu oraz szczegółowym ich umyciu.

Kompozycja została zaprojektowana zgodnie z rysunkiem linii i kształtów kwater wokół niej. Wytluczone elementy zostały odtworzone przy użyciu szkła o zbliżonym do oryginału charakterze struktury i koloru w oparciu o wzornik szkła artystycznego.

Po raz siódmy Katowice wydały „Kalendarz Trzech Religii”

KATOWICE. „Kalendarz Trzech Religii” jest owocem współpracy chrześcijan, Żydów i muzułmanów a także środowisk naukowych i kulturalnych. Kalendarz został wydrukowany w 6 tys. sztuk i jest narzędziem formowania dialogu międzyreligijnego. Projekt jednoczy społeczności wyznaniowe miasta Katowice, jest efektem współpracy i pogłębiania wzajemnego szacunku wobec siebie i dziedzictwa kulturalnego. Pierwszy kalendarz wydano w 2013 roku w nakładzie 3 tysięcy sztuk. Obecnie, ze względu na ogromne zainteresowanie projektem – nakład został podwojony. Kalendarz opracowywany jest przez przedstawicieli Kościołów: **Katolickiego, Ewangelicko-Augsburskiego, Prawosławnego, wspólnoty żydowskiej i muzułmańskiej**, we współpracy z Wydziałem Teologicznym Uniwersytetu Śląskiego.

Nowy cykl koncertowy

KATOWICE. Cykl koncertów organizowanych przez Instytucję Promocji i Upowszechniania Muzyki „Silesia” w Katowicach dedykowany jest **Akademii Muzycznej im. Karola Szymanowskiego** – najstarszej wyższej uczelni działającej na Górnym Śląsku – z okazji jubileuszu 90. rocznicy jej działalności. Gośćmi czwartkowych wieczorów w Muzeum Archidiecezjalnym, podczas których zaplanowano nie tylko część muzyczną ale również rozmowy o historii i dokonaniach Akademii, byli wybitni artyści, zasłużeni profesorowie katowickiej uczelni, którzy piastowali w niej funkcję Rektora. Do udziału w pierwszej odsłonie cyklu zaproszenie przyjął prof. Julian Gembalski – wirtuoz gry na organach, wybitny improwizator, prorektor (1991–1996), następnie rektor Akademii w latach 1996–2002, pełniący w niej od wielu lat funkcję Kierownika Katedry Organów i Muzyki Kościelnej, twórca mieszczącego się na terenie uczelni unikatowego w skali Europy Muzeum Organów Śląskich, autor projektu organów dla Kościoła pw. Opatrzności Bożej w Katowicach-Zawodziu, pierwszych w Polsce organów utrzymanych w koncepcji brzmieniowej francuskiego baroku. Gościem styczniowego koncertu i spotkania w katowickim Muzeum Archidiecezjalnym była również dr hab. Elżbieta Grodzka-Łopuszyńska, absolwentka Akademii Muzycznej w Katowicach w klasie prof. Stanisławy Marciniak-Gowarzewskiej, a obecnie jej pedagog, laureatka wielu konkursów wokalnych bardzo aktywnie rozwijająca swoją działalność artystyczną.

XII edycja lokalu na kulturę

KATOWICE. Urząd Miasta Katowice oficjalnie ogłosił XII odsłone projektu „**Lokal na kulturę**”, czyli konkursu na najlepszy lokal użytkowy, w których prowadzona będzie działalność kulturalna, artystyczna i twórcza. W lokalach tych obowiązują preferencyjne stawki czynszu. Jeszcze w grudniu 2018 miasto zawarło umowę na 3 lokale na kulturę wybrane w poprzedniej, jesiennej edycji: przy ul. Andrzej 1, Koszalińskiej 18 i Przedwiośnie 4. Pomieszczenia te muszą najpierw przejść adaptację do nowych funkcji, więc

na start działalności trzeba jeszcze trochę poczekać. Prężnie działa natomiast część podmiotów, które zawarły umowy w poprzednich edycjach konkursu. Przy ul. Chopina 8 od niedawna Stowarzyszenie Artyści Tułacze prowadzi Teatr Młody. Ich niewielka scena i widownia na 40 osób zapewnia artystyczną autonomię i przestrzeń, w której mają nadzieję stworzyć zupełnie nową, alternatywną społeczność artystyczną. Teatr Młody to grupa ludzi zafascynowanych dwudziestolecie międzywojennym, którzy swoje sceniczne marzenia rodem ze Starego Hollywood postanowili urzeczywistnić w centrum Katowic. Młoda i kameralna scena przy ulicy Chopina 8 ma odpowiedzieć na zapotrzebowanie alternatywnego teatru w górnośląskiej stolicy i nie tylko. Artyści tworzą autorskie scenariusze w oparciu o klasyczne wzorce, jak rewia czy kabaret i dzięki niewielkiej przestrzeni, którą dysponują mogą zadbać o intymność między aktorem a widzem. Wspólnie szlifują swoje rzemiosło aktorskie, taneczne i wokalne. Teatr Młody tworzy innowacyjne kreacje artystyczne i jest otwarty na inicjatywy z zewnątrz. Na deskach swojej sceny chcą gościć ludzi, z którymi dzielą wspólną pasję do sztuki, przy ul. Warszawskiej 67 działa Prywatna Szkoła Muzyczna, natomiast przy ul. Kościuszki 39 powstał Alternatywny Dom Kultury. Prowadząca go Fundacja Imago Silesia w 2018 r. zakończyła remont lokalu. Odbywają się w nim różne wydarzenia kulturalne np. wystawa „Promenada na południe. Historia ulicy Kościuszki”. Wystawy organizuje też Fundacja Kultura Obrazu, która w 2016 r. pozyskała pomieszczenie przy ul. Kordeckiego 2, w którym prowadzi działalność warsztatową, wystawienniczą, archiwizacyjną (cyfrowo) oraz merytoryczną (biuro fundacji).

Instytucja Promocji i Upowszechniania Muzyki „Silesia” w Katowicach

KATOWICE. Cykl koncertowy „**Muzyka – moja miłość**” melomani kojarzą od lat z koncertami Instytucji Promocji i Upowszechniania Muzyki „Silesia” organizowanymi wspólnie z Miejskim Domem Kultury „Koszutka”. Jego pierwsza odsłona w 2019 roku tradycyjnie wypełniona była muzyką wokalną, bogatym programem operowo-operetkowo-musicalowym w wykonaniu młodych, utytułowanych artystów, którzy po raz pierwszy wystąpili przed katowicką publicznością. Ewa Banasiak to absolwentka akademii muzycznych w Katowicach i Bydgoszczy. Jest m.in. laureatką II Nagrody oraz dwóch Nagród Specjalnych na V Międzynarodowym Konkursie Wokalnym im. Jana Kiepury w Krynicy-Zdroju (2017), finalistką III Międzynarodowego Konkursu dla śpiewaków operowych Zinka Milanov Competition w Rijecie (2018), a podczas I Międzynarodowego Konkursu Wokalnego Viva Calisia wywalczyła nagrodę specjalną za wykonanie pieśni polskiej (2018). Baryton Adrian Janus jest jeszcze studentem wokalistyki w Akademii Muzycznej im. Karola Szymanowskiego Katowicach w klasie śpiewu solowego ks. dr. hab. Pawła Sobierajskiego i laureatem III miejsca na 20. Międzynarodowym Konkursie im. Imricha Godina we Vrablach na Słowacji. W 2018 roku zadebiutował partią Roberta (Narda) w operze W. A. Mozarta „Rzekoma ogrodniczka” na deskach Opery Śląskiej w Bytomiu.

Łaziki marsjańskie, lasery i inne atrakcje na Śląskim Festiwalu Nauki

Katowice. Kolejna, trzecia już odsłona śląskiego święta nauki odbyła się od 12 do 14 stycznia. Jego organizatorzy ośmieleni sukcesem poprzedniej edycji, zdecydowali się poszerzyć formułę tych punktów programu, które świetnie sprawdziły się przed rokiem, jak i zaproponować publiczności festiwalu zupełnie nowe elementy. 12 stycznia o godz. 19.00 w Teatrze Śląskim rozpoczęła się oficjalna

inauguracja festiwalu, którą poprowadził dr Tomasz Rożek – absolwent UŚ, a obecnie jeden z najbardziej rozpoznawalnych dziennikarzy naukowych i Polsce. W programie znalazły się: rozmowa dr. Rożka z dr Marią Chelkowską o postrzeganiu muzyki przez fizyka i psychologa, prezentacja muzyczno-wizualnego projektu CallTrain MO4/HG4 przygotowana przez prof. Mariana Oslislo z ASP oraz towarzyszących mi muzyków, rozmowa z astronautką ASA Nicole Stot oraz wręczenie Śląskich nagród naukowych. Następnie festiwal przeniół się do Międzynarodowego Centrum Kongresowego. To właśnie tam 13 i 14 stycznia na publiczność czekały główne atrakcje: sześć obszarów wiedzy, strefa kosmiczna (pokazy łazików marsjańskich), strefa sportu, strefa dziecka (której towarzyszyła bawialnia dla najmłodszych, a w niej profesjonalni animatorzy), strefa e-sportu czy – co stanowiło absolutną nowość – strefa laserowych pokazów naukowych przygotowanych przez Uniwersytet Lund ze Szwecji.

Jakub i Zuzia

KATOWICE. W minionym 2018 roku w Katowicach urodziło się 5959 dzieci (3313 chłopców i 2646 dziewczynek). Wśród nich najpopularniejszymi imionami były Jakub i Zuzanna.

Lista najpopularniejszych imion w 2018 roku wygląda następująco:

1. **Jakub**, 2. Jan, 3. Antoni, 4. Filip, 5. Franciszek, 6. Szymon, 7. Wojciech, 8. Aleksander, 9. Mikołaj, 10. Piotr

1. **Zuzanna**, 2. Hanna, 3. Julia, 4. Zofia, 5. Alicja, 6. Maja, 7. Lena, Maria, 8. Emilia, 9. Oliwia, 10. Natalia. W Katowicach obserwujemy wyraźny awans Jasia z piątej pozycji na drugą. Jan został nadany 131 razy, o 12 mniej niż Jakub (143), który w Katowicach niepodzielnie króluje od 10 lat. Modne niegdyś imiona zagraniczne Kevin, Denis nie pojawiły się ani razu, podobnie jak modny zapis imienia Alexander (przez x) pojawił się w 2018 roku tylko raz, zaś z polską pisownią 100 razy więcej. Pojedyncze imiona nietypowe, które pojawiły się w 2018 roku to wśród żeńskich: Lili, Sofija, Malina, Darina oraz męskich: Alp, Horyn, Wiliam, Salwin.

Muzeum Historii Katowic

KATOWICE. Nowa cykliczna inicjatywa pod nazwą „Salon sztuk” zorganizowany z inicjatywy dyrektora MHK dr Jacka Siebla, pani kierownik działu teatralno filmowego MHK M. Katarzyny Gliwy oraz przy współpracy z dyrektorem Wydawnictwa Naukowego „Śląsk” – rozpoczął działalność spotkaniem z prof. Jackiem Rykałą i Arkadiuszem Ławrywiańcem. Prowadzenie spotkań powierzono znanemu reżyserowi dokumentalście: Krzysztofowi Korwin-Piotrowskiemu

Cykl „Salon sztuk” odbywa się raz w miesiącu, w czwartki o godzinie 18.00 w Oddziale Teatralno-Filmowym Muzeum Historii Katowic. W byłym mieszkaniu znakomitych artystów Barbary i Stanisława Ptków znajduje się prawdziwy salon z eleganckimi meblami i dziełami sztuki. Ta atmosfera sprzyja organizowaniu spotkań artystycznych. Gośćmi „Salonu sztuk” są poeci, aktorzy, reżyserzy, scenografowie, malarze i in.

Trzej Królowie

KATOWICE. 6 stycznia katowickie ulice znów były areną niesamowitego wydarzenia. Kolejny raz przez nasze miasto przeszedł **Orszak Trzech Króli**. Te największe jasełka na świecie odbywają się już w 751 miejscowościach w Polsce, a co roku przybywa kolejnych chętnych do organizacji orszaku. W samych Katowicach od ośmiu lat maszeruje co

rocznie przy śpiewie kolęd kilka tysięcy mieszkańców, ciesząc się przyjścia na świat Dzieciątka Jezus.

Motywnym przewodnim orszaku była zachęta do głębokiej refleksji nad pamiętnymi, wypowiedzianymi czterdzieści lat temu, słowami św. Jana Pawła II, w których zachęcał do zbiorowego wysiłku na rzecz budowania lepszego świata, budowania dobra w naszej ojczyźnie i do osobistej pracy nad przemianą serc: „*Wołam, ja, syn polskiej ziemi, zrazem ja, Jan Paweł II, papież. Wołam z całej głębi tego tysiąclecia, wołam w przeddzień święta Zesłania, wołam wraz z wami wszystkimi: Niech zstąpi Duch Twój! Niech zstąpi Duch Twój! I odnowi oblicze Ziemi!... Tej Ziemi!*” (Jan Paweł II, Warszawa, 2.06.1979 r.)

„Polish Cities of the Future 2019/20”

KATOWICE zajęły pierwsze miejsce pod względem strategii przyciągania inwestycji bezpośrednich w prestiżowym rankingu fDi Magazine pn. „Polish Cities of the Future 2019/20” oceniającym atrakcyjność miast dla bezpośrednich inwestycji zagranicznych.

Ranking Polskie Miasta Przyszłości 2019/20 został przygotowywany przez zespół analityczny magazynu fDi Intelligence, będącego sekcją grupy The Financial Times. Autorzy rankingu opracowali listę 50 polskich lokalizacji, dla których następnie zebrano dane w pięciu kategoriach: potencjał gospodarczy „Economic Potential”, zasoby ludzkie „Human Capital and Lifestyle”, efektywność kosztowa „Cost Effectiveness”, infrastruktura i dostępność transportowa „Connectivity”, przyjazne nastawienie do biznesu „Business Friendliness”. Kolejnym obszarem, który analizowano była strategia przyciągania zagranicznych inwestycji („FDI strategy”). W tej kategorii analizowano kwestionariusze wypełniane przez 13 poszczególnych ośrodków miejskich.



W rankingu miasta były podzielone ze względu na wielkość populacji. Katowice zostały sklasyfikowane w kategorii „Large” (dużych), czyli miast których liczbą ludności przekracza 250 tys. – podobnie jak 11 innych ośrodków miejskich w Polsce.

Katowice osiągnęły najwyższy możliwy wynik wśród polskich miast w kategorii strategii przyciągania bezpośrednich inwestycji zagranicznych – „Top 5 Polish Cities of the Future 2019/20 – FDI Strategy”, a także jednocześnie znalazły się na podium w kategorii związanej z infrastrukturą i dostępnością transportową: „Top 5 Large Polish Cities of the Future 2019/20 – Connectivity”, zajmując 3 miejsce wśród dużych polskich miast. Wręczenie nagród odbędzie się 12 marca 2019 r. podczas Międzynarodowych Targów Nieruchomości i Inwestycji MIPIM.

Katowice są dziś jednym z najszybciej rozwijających się oraz

najważniejszych miast w Polsce. Są też stolicą województwa śląskiego oraz siedzibą i sercem pierwszego w Polsce związku metropolitalnego. Według raportu „Sektor nowoczesnych usług biznesowych w Polsce 2018”, przygotowanego przez Związek Liderów Sektora Usług Biznesowych (ABSL) Aglomeracja Katowicka zajmuje 5. miejsce w Polsce pod kątem zatrudnienia w sektorze – działa tutaj 95 centrów, w których zatrudnienie wynosi około 21 tys. pracowników. Katowice zajmują również wysokie, 3 miejsce w kategorii miast z największym potencjałem wzrostu w sektorze technologicznym w rankingu „EMEA Tech Cities. Opportunities in technology. Hotspots”, przygotowanym przez CBRE. To właśnie Katowice zostały wybrane jako miejsce prowadzenia swoich inwestycji przez takich inwestorów jak: IBM, Fujitsu, Accenture, PwC, Rockwell Automation Sapiens, TÜV Rheinland czy też Eurofins. Jednym z kluczowych czynników, decydującym często o lokalizacji inwestycji w danym mieście, jest dostępność nowoczesnej powierzchni biurowej. Podaż nowoczesnej powierzchni biurowej w Katowicach wynosi obecnie 520 000 m², co daje miastu 5. miejsce w Polsce, a warto dodać, że kolejne 72 000 m² pozostaje w budowie.

Benefis Jerzego Lucjana Woźniaka

SOSNOWIEC. W auli sosnowieckiej Mediateki odbył się uroczysty benefis znakomitego poety, członka Górnośląskiego Towarzystwa Literackiego **Jerzego Lucjana Woźniaka** z okazji jego 80. rocznicy urodzin. W uroczystości, podczas której zaprezentowano bogatą dorobek poety, recytowano jego wiersze oraz szeroko omawiano bogata twór-

www.biblioteka.sosnowiec.pl



czość. Wzięli w niej udział przedstawiciele władz miasta, naukowcy, dziennikarze. Spotkanie zwieńczył koncert Pawła „Aldarona” Czekalskiego.

Muzeum Śląskie ma 90 lat

KATOWICE. W siedzibie Narodowej Orkiestry Symfonicznej Polskiego Radia odbył się uroczysty koncert z okazji rocznicy 90. lecia utworzenia Muzeum Śląskiego w Katowicach. Gośćmi koncertu byli: przedstawiciele Prezydenta RP, posłowie na Sejm i do Senatu RP, sekretarz Stanu w MKiDN pan Jarosław Sellin, marszałek województwa śląskiego, prezydent miasta Katowice oraz inne znakomości świata kultury, gospodarki i polityki, przedstawiciele duchowieństwa. Na ręce pani dyrektora Muzeum Śląskiego **Alicji Knast** – Jarosław Sellin złożył przyznany Muzeum Śląskiemu **Złoty Medal Zasłużony Kulturze „Gloria Artis”**. Program koncertu wypełniły utwory wykonane przez orkiestrę i artystów Opery Śląskiej z Bytomia.

Znakomity koncert karnawałowy

KATOWICE. Prezydent Miasta Katowice Marcin Krupa zaprosił mieszkańców stolicy metropolii i województwa na Koncert karnawałowy w wykonaniu Narodowej Orkiestry Symfonicznej Polskiego Radia w sali NOSPR pod batutą Frantiska Macka z udziałem znakomych artystów Iwony Sochy (sopran) i Arnolda Rutkowskiego (tenor). W trakcie koncertu orkiestra perfekcyjnie wykonała utwory W. A. Mozarta, G. Bizeta, P. Czajkowskiego, G. Verdiego, G. Pucciniego i innych wielkich kompozytorów. Należy dodać, że sala wypełniona była do ostatniego miejsca.

4 Design Days

KATOWICE. 4 DESIGN DAYS to wydarzenie na rynku nieruchomości, architektury wnętrz i wzornictwa. Przez cztery dni ikony światowego i polskiego designu, architekci i projektanci, producenci i firmy usługowe oraz deweloperzy dyskutują o tym, co inspiruje i kreuje światowe trendy w architekturze i designie. Na 8 tys. m² powierzchni wystawienniczej spotka się ponad 100 wystawców, 250 prelegentów w kilkudziesięciu sesjach tematycznych. Targi odwiedza 3 tys. gości biznesowych i 20 tys. uczestników części wystawowej. Spotkaniu towarzyszy szereg imprez towarzyszących, w tym Regionalne Property Forum Katowice i Housemarket Forum Silesia oraz wręczenia nagród dla branży.

„Inteligenci” i „Wiele demonów”

KATOWICE. W Teatrze Śląskim im. S. Wyspiańskiego zrealizowane zostały dwie znakomite premiery. Na Dużej Scenie wystawiono sztukę **Jerzego Pilcha pt. Wiele demonów** w reżyserii Jacka Głomba, dramat ukazujący w stylistyce „wiślańskiego realizmu magicznego” etos, obyczaje i tajemnice lutereckiego Śląska Cieszyńskiego. W reżyserii Roberta Talarczyka w koprodukcji z Teatrem Korez na Scenie Kameralnej zrealizowano premierę sztuki, dramatu **Marka Modzelewskiego: Inteligenci**. Znakomita gra aktorów oraz dyskretna, ale wyrazista reżyseria nadaje tej kontrowersyjnej opowieści o przypadłościach zanikającego gatunku polskiego inteligenta – wymiar smutnej alegorii losu strażników współczesnej polskiej kultury.

XXII Dzień judaizmu w kościele katolickim w Polsce i XIX Dzień islamu w kościele katolickim w Polsce

KATOWICE. Obydwa te wydarzenia odbyły się pod auspicjami ks. dr **Tadeusza Czakańskiego** Delegata Metropolity Katowickiego ds. Dialogu z Judaizmem i Islamem. **Obchody Dnia Judaizmu** pod hasłem „*Nie przychodzę, aby zatrać*” odbyły się na Wydziale Teologicznym Uniwersytetu Śląskiego z wykładami ks. dr Tomasza Kusza i Sławomira Pastuszki, przedstawiciela Gminy Wyznaniowej Żydowskiej w Katowicach. Spotkanie zakończył koncert Mariusza Rosnowskiego. **Uroczystości Dnia Islamu** w Kościele Katolickim pod hasłem „*Chrześcijananie i muzułmanie: Od współzawodnictwa do współpracy*” zainicjowała konferencja w Muzeum Historii Katowic z udziałem Grzegorza Olszewskiego Sekretarza Rady Wspólnej Katolików i Muzułmanów oraz Muftiego Nedal Abu Tabaq z Ligi Muzułmańskiej w RP. W sali Akademii Muzycznej im K. Szymanowskiego odbył się koncert: *Razem dla pokoju: Pax Shalom Salam*. Zagadnieniom dialogu kultur oraz religii redakcja miesięcznika poświęci więcej uwagi w kolejnych numerach.

MANIFEST

JOANNA STYRYLSKA-GAŁAŻYN

Jestem tu i teraz. Myślę obrazami. Jestem mistrzynią kontrastu, między kreską a kropką, między czerwienią a błękitem. Moim szczęściem jest dialog między nimi. Zongluję obrazem, skojarzeniem i symbolem. Otacza mnie moja przestrzeń, taka sama, rytmiczna, poznana, trzymam w ręku ołówek, intuicyjnie dokonuję zapisu rzeczywistości. Słowa, myśli, gesty tworzą misterne obrazy. Twórczość jest dla mnie zagładaniem w głąb siebie. Znajduję, układam, rozrzucam, niszczę i znowu ponownie układam obrazy wewnątrz siebie. Taka wewnętrzna niekończąca się krzątanina. Słowa, dźwięki, myśli przelizgują się bezszelestnie pozostawiając ślad w postaci collage'u twórczości.

Jaka jest natura człowieka? – zmienna. Wszystkie etapy mojego życia, niosą za sobą nowe fascynacje i inspiracje. Zawód Artystki – kobiety-matki – jak naczynie połączone, w którym wszystko na siebie jednocześnie wpływa, naznaczone jest mocno rzeczywistością, z którą obcuje. Moja twórczość jest szczera, osobista, pozbawiona kalkulacji, z roku na rok dojrzewa wraz ze mną. Pojęcie piękna jest tym co najbliższe, chociaż tak trudne do zdefiniowania i umowne. Wierzę w piękno w sztuce i piękno człowieka.

Myślę obrazami. Obrazami zapamiętanymi z dzieciństwa, marzeniami i traumami, buduję wewnętrzne archiwum inspiracji. Można tam obok siebie znaleźć – wy-



Joanna Styrylska-Gałażyn, 12 h 48 m 21 s

blakłe fotografie z lat 60., krzykliwe kiczowate wycinki z gazet, prastare stworzenia z XIX-wiecznych rycin, wyprężone dostojne konie, misterne wzory, kwiaty i dziwaczne portrety. Lubię łączyć za sobą motywy, które pozornie do siebie nie pasują, dzięki temu uzyskuję niepowtarzalny efekt wizualny.

Uwielbiam zestawiać ze sobą różnorodne, kontrastowe wzory. Moje prace charakteryzują się bogactwem formalnym, są pełne niezwykłych skojarzeń, kontrastów i eksplozji koloru. Symbolika obrazów daje szerokie spektrum podczas ich interpretacji. Fascynacja collage'ową koncepcją łączenia tematów w obrazie, jest widoczna we wszystkich moich działaniach twórczych. W malarstwie, ilustracji, grafice, obiektach artystycznych oraz projektowaniu graficznym. To właśnie collage'owość jest cechą wspólną mojej twórczości. W oszałamiającej ilości bodźców, jakich dostarcza rzeczywistość, szukam takich, które zatrzymają moją uwagę na dłużej, wyzwolą naturalną potrzebę kontemplacji. Pozwolą zatrzymać zmysłowo-umysłowy taniec słów, wizji i obrazów.



Urodziłam się w Katowicach w 1980 r. Mieszkam i pracuję w Krakowie. Ukończyłam ASP Kraków, Wydział Grafiki, Dyplom z litografii w Pracowni prof. Żygulskiego (2006) oraz ASP Kraków, Wydział Malarstwa – Pedagogika Artystyczna (2008). Jestem stypendystką Ministra Kultury i Sztuki oraz Prezydenta Miasta Krakowa. Otrzymałam Nagrody Grand Prix na Salonie Sztuki w BWA Tarnów (2009, 2011)

Jestem malarką, graficzką i ilustratorką. W kręgu moich działań twórczych jest tradycyjne malarstwo sztalugowe, ilustracja, grafika użytkowa oraz wszelkie kompilacje technik plastycznych. Szeroki wachlarz umiejętności sprawia, że jestem w ciągłym ruchu. Często pracuję nad kilkoma projektami jednocześnie.

Pracując nad książką, korzystam z doświadczeń malarskich, a tworząc obrazy, myślę często jak ilustrator, czy projektant. Wszystkie moje doświadczenia przenikają się wzajemnie.

Lubię łączyć klasyczny warsztat graficzny z malarskim. Fascynują mnie technika collage'u, zjawisko iluzji w obrazie, zaskakujące efekty uzyskiwane z połączenia pozornie niepasujących do siebie elementów.

Moim znakiem rozpoznawczym jest duże nagromadzenie elementów budujących dzieło. Bliższy jest mi maksymalizm niż minimalizm.

Jestem autorką wielu wystaw indywidualnych i grupowych.

www.styrylska.com

MIESIĘCZNIK
SPOŁECZNO-
KULTURALNY

ŚLĄSK

CENA 7 ZŁ (w tym 5% VAT)

ISSN: 1425-3917 NR INDEKSU 33328X

www.slaskgtl.pl

Nr 2 (279) • ROK XXV • LUTY 2019



ŚLĄSKIE
ROZMAITOŚCI

ISSN 1425-3917



9 771425 391707



W pierwszej połowie XX wieku w okresie karnawału Katowice tętniły nocnym życiem, a lokale rozrywkowe, które dawno już pozniły z mapy miasta, zachęcały zarówno różnymi występami artystycznymi jak i bogatym menu. W wielu miejscach zabawa trwała do rana. Na zdjęciu kamienica przy ul. Staromiejskiej 19, gdzie mieścił się teatr Apollo, a także kilka innych lokali rozrywkowych.

Szczegóły str. 24



Barokowa rezydencja, wybudowana na początku XVIII wieku w śląskich Mańczę, choć formalnie wpisana jest do rejestru zabytków, zamienia się w ruinę. Los wielkiego, opuszczonego pałacu, dzielą też zabudowania folwarczne, min. gorzelnia, wybudowana w 1874 roku.

Szczegóły str. 50



Wybudowany przed wojną potężny schron bojowy w Dąbrówce Wielkiej był jednym z najpotężniejszych obiektów Obszaru Warownego „Śląsk”. Przez lata zarastał dziką roślinnością, jednak obecnie dzięki staraniom pasjonatów na jego dwóch kondygnacjach można oglądać muzealną ekspozycję.

Szczegóły str. 52



Piękno kresów dawnej Rzeczypospolitej, utrwalone na płótnach mistrzów, pochodzących ze zbiorów Muzeum Narodowego w Krakowie, można podziwiać w gliwickim muzeum. Na zdjęciu obok jedno z dzieł wyeksponowanych na wystawie (Jan Stanisławski, Dniepr (Limany Dniepru o świcie), 1903, ze zbiorów Muzeum Narodowego w Krakowie)

Szczegóły str. 68



Joanna Styrylska-Galażyn, Zawodnicy



Joanna Styrylska-Galażyn, Pejzaż miłosny

Marcin Krupa
Prezydent
Miasta Katowice
zaprasza

BEFORE jazz artZ FESTIVAL

miasto-ogrodow.eu

9.03.19 / 18.00

Kawiarnia Literacka

Miejscownik

Kadri Voorand Duo ^{EE}

wstęp wolny

9.03 / 20.00

Absurdalna

Melancholia ^{PL}

wstęp wolny

10.03.19 / 19.00

Jazz Club Hipnoza

White Sands ^{FR}:

Erwan Keravec

+ **Julien Desprez**

+ **Will Guthrie**

bilety: 20, 30 zł

ticketportal.pl,

kupbilecik.pl

i przed koncertem

14.03 / 19.00

SiXa – przestrzeń

kreatywna

klubu Raizefiber

Floors ^{IT}

wstęp wolny

ORGANIZATORZY



PARTNERZY



PATRONAT:

